

# Tuzin czarnych róż

Collins Nancy



calibre 0.9.43

**NANCY A. COLLINS**

*TUZIN CZARNYCH RÓŻ*

Przełożył Robert P. Lipski

*Dla mego męża, Joego Chrisa*

*Na zawsze, na wieki*

# OD AUTORKI

Powieść ta stanowi rodzaj pomostu pomiędzy światem Sonji Blue a Światem Mroku, stąd w treści mogą pojawić się pewne nieścisłości i odstępstwa wynikające z przebiegu wydarzeń zachodzących w każdym z tych światów. Staralam się, aby połączenie to było możliwie najlepsze. Niniejsza historia rozgrywa się po wypadkach opisanych w *Paint it Black*. W tym miejscu pragnę uchylić kapelusza przed takimi obrazami filmowymi, jak: *Straż przyboczna*, *Za garść dolarów*, *Świt żywych trupów* i *Wojownicy*.

## UMARŁE MIASTO

Spory procent osób, które spotykamy na ulicach, to ludzie puści w środku, a zatem ludzie, którzy są już martwi. Szczęściem dla nas nie dostrzegamy tego i nie zdajemy sobie z tego sprawy. Gdybyśmy wiedzieli, jak wielu ludzi jest de facto martwych i ilu z nich sprawuje władzę nad naszym życiem, ze zgrozy postradalibyśmy zmysły.

Georgij Gurdzijew

Wierzę w dzieci,

wierzę w życie,

lecz musiałbym być chyba

głuchy, głupi i ślepy,

by nie dostrzegać

toczącej się walki.

Obliczy śmierci, obliczy śmierci,

obliczy śmierci dokoła mnie.

temat miłosny z *Obliczy śmierci 4*

## ROZDZIAŁ 1

Miasto zostało założone ponad dwieście sześćdziesiąt lat temu, przez tych, którzy umknęli przed nietolerancją szerzącą się w ich ojczyznach. Leży u ujścia rzeki, o rzut kamieniem od rozległej zatoki, która jako pierwsza powitała osadników przybyłych do tego dziwnego, nowego świata. Bliskość wody ukształtowała jego przyszłość, podobnie jak otoczenie wpływa na rozwój dziecka.

Od samego początku los miasta złączony był z okrętami i z tymi, którzy na nich pływali. Gdy nadeszła Rewolucja, było ono już dobrze prosperującym portem morskim ze stocznia. Na nabrzeżach kwitł wszelkiego rodzaju handel, zarówno legalny, jak i czarnorynkowy. Kompanie przewozowe znajdujące się na nabrzeżach eksportowały do Europy tytoń, mąkę, indygo oraz ryby, przyjmując w zamian brudny, ludzki towar ze Złotego Wybrzeża i znacznie odleglejszych zakątków świata.

W następnych latach losy miasta w jeszcze większym stopniu związały się z morzem i okolicznymi rzekami, które od czasu do czasu wylewały i groziły mu pochłonięciem. Czas płynął. Statków nie budowano już w całości z drewna, powstały zatem stalownie i rafinerie naftowe, by można było tworzyć okręty bojowe i frachtowce, wynalazki epoki parowej. Jak wszystkie miasta portowe, to również było na początku przystanią dla wszelkiej maści wyrzutków i typów spod ciemnej gwiazdy, w miarę upływu lat jednak stało się ono bardziej cywilizowane i kosmopolityczne. Nabierając dojrzałości, wyrobiło w sobie znacznie bardziej wyrafinowany gust w kwestii przyjemności, narodziły się w nim gmachy oper, muzeów i amfiteatrów. Zbudowano także pierwszą uczelnię, a wkrótce kolejne budowle uniwersyteckie. Po lepszych okresach przychodziły gorsze, lecz i one z czasem przemijały. Były pożary i powodzie, recesje i inflacje, lecz miasto za każdym razem odżywało, tak jak ciało ludzkie dochodzi do siebie po dłuższej bądź krótszej chorobie.

Symbiotyczne pasożyty uważające miasto za swoje pieniły się w najlepsze, płodząc

gwiazdy sportu, chirurgów, dziennikarzy, filozofów, polityków i poetów. Koła postępu, przemysłu i biznesu obracały się synchronicznie, nie uszkadzając sobie wzajemnie trybów. Było to miasto z przeszłością i przyszłością.

Aż nadeszła teraźniejszość.

Czterdzieści lat temu mieszkańcy wewnętrznego miasta zaczęli opuszczać wytworne kamienice i apartamentowce stanowiące spuściznę po ich przodkach, przenosząc się na zielone, przestronne przedmieścia. Niebawem pozostali w mieście tylko ci, których nie było stać na przeprowadzkę. Gdy klasa pracująca ustąpiła pola klasie zubożałej i zazwyczaj nie pracującej, miasto zaczęło popadać w ruinę.

Trzydzieści lat temu tryby kół postępu i przemysłu zaczęły się zazębiać, w miarę jak postęp technologiczny zmniejszył znacznie zapotrzebowanie na najtańszą nawet siłę roboczą. Stocznie zmechanizowano, podobnie jak rafinerie i stalownie. Niewykwalifikowanym i niewykształconym proponowano coraz mniej stanowisk pracy.

Dwadzieścia lat temu embargo na ropę naftową sprawiło, że cena za baryłkę podskoczyła z dwóch na trzydzieści dwa dolary. Amerykanie, których nie było już stać na utrzymanie rodzimych, pożerających paliwo jak smoki krążowników szos, przerzucili się na znacznie bardziej ekonomiczne, tańsze w eksploatacji samochody zagraniczne.

Zapotrzebowanie na rodzimą stal drastycznie spadło. Koła postępu przestały być smarowane i tryby zaczęły obracać się z coraz większym trudem, przy każdym obrocie na wszystkie strony tryskały snopy iskier. Robotnicy portowi, stoczniowcy, pracownicy rafinerii i odlewni stanęli przed całkiem realnym widmem bezrobocia. Zwolnienia grupowe były na porządku dziennym. Nawet ludzie wykształceni mieli trudności ze znalezieniem pracy, gdyż inflacja zrównała dyplomy licencjackie do poziomu zwykłej matury. Całe kwartały dzielnic wyludniały się; opustoszałe domy powoli obracały się w ruinę.

Piętnaście lat temu rząd federalny okroił wsparcie finansowe dla najuboższych i bezrobotnych pozostających w miastach wewnętrznych. Innymi słowy miasto pozbawione usług, zaniedbane i na wpół opustoszałe pozostawiono samemu sobie, skazując je na powolny upadek. Niegdysiejsza ekonomia przemysłowa ustąpiła miejsca gospodarce opartej na bazie usług. Absolwenci college'ów podejmowali się każdego, nawet najmarniejszego zajęcia, sprzedając hamburgery i zmieniając pościel w szpitalach, podczas gdy zubożali maklerzy giełdowi, bankierzy i handlarze nieruchomości odwiedzali swymi beamerami i volvo miejskie slumsy po kolejną porcję kokainy.

Przestępczość wzrastała w zastraszającym tempie. Wśród polityków szerzyła się korupcja. Gangi pieńczyły się w najlepsze, a w miarę rozrastania się wszczywały wojny o terytoria.

W którymś momencie, podczas zaciętych walk pomiędzy uzbrojonymi w pistolety maszynowe członkami gangu, miastu zadano śmiertelny cios.

Miasta są żywymi istotami. Rodzą się i dorastają, dojrzewają i starzeją się. Niekiedy nawet umierają. Miasta jednak, w przeciwieństwie do istot organicznych z krwi i kości, tkanek i mięśni, nie wiedzą, że są martwe.

Symbionty, które krzątają się zawzięcie wewnątrz truchła, są zwykle bardzo zdeterminowane, by zachować w nim pozory życia, na długo po tym, gdy wykrwawiło się ono na amen.

Umarłe Miasto było największym z robaków żerującym na takim truchle.

Większość ludzi mieszkających w mieście nie zdaje sobie sprawy, że jest pewien obszar, którego istnieniu zaprzeczają przedstawiciele lokalnych władz. Nie znajdziecie go na żadnym planie miasta. Żaden wóz patrolowy, karetka czy wóz strażacki nie zapuszcza się w ten zapomniany obszar rozciągający się nad rzeką. W ciemnych uliczkach tej dzielnicy często

rozbrzmiewa wołanie o pomoc, lecz rzadko ktoś na nie odpowiada, i w gruncie rzeczy to jest całkiem zrozumiałe. Obszar ten stanowi gnijące serce miasta, które niegdyś tętniło życiem. Czyż można sobie wyobrazić miejsce, które lepiej nadawałoby się na kryjówkę dzieci nocy niż miasto będące żywym trupem?

Nieznajoma wyszła z cienia na Ulicę Bez Nazwy. Zlustrowała wzrokiem stare ceglane kamienice, nierówny bruk i dziewiętnastowieczne latarnie i bez słowa pokiwała głową. To było to miejsce.

Choć niezwykłość budowli mogła zwieść nieświadomego turystę, aby myślał, że trafił do osobliwego miejskiego centrum handlowego dla japiszonów, iluzja trwała jedynie chwilę; w ciemnych zaułkach piętrzyły się sterty gnijących śmieci, a włączący się po chodnikach pijaczkowie i bezdomni o twarzach szarych jak popiół stanowili jawny dowód, że dzielnica ta nie należała do nazbyt wytwornych.

Tak czy inaczej, jak na część miasta, której rzekomo nie było, Ulica Bez Nazwy dosłownie tętniła życiem. Choć większość sklepowych witryn zabito deskami, kilka bodeg obsługiwało sporej długości kolejki samotnych mężczyzn i kobiet.

Przystanęła przed jedną z wystaw, zerkając na ścianę wzniesioną z wyblakłych pudeł Froot Loops i słoików z przeterminowanymi przecierami dla dzieci, stanowiącą barykadę dla ciekawskich oczu. Cokolwiek sprzedawano wewnątrz, na pewno nie były to produkty spożywcze. Uwagę nieznajomej przykuł błyskający frenetycznie neon w głębi ulicy. Ruszyła w tę stronę, spoglądając czujnie w głąb mrocznej alejki, gdzie coś zaskomlało i zaszeleściło jak suche liście.

Pośrodku przecznicy znajdowało się kilka barów i sklep monopolowy, który jako jedyny w całej okolicy zdawał się nieźle prosperować. Jeden z barów ze striptizem nosił nazwę Danse Macabre; jego logo przedstawiało kobietę tulącą do siebie węża z migoczącym

neonowym językiem. Dokładnie po drugiej stronie mieścił się salon bilardowy o nazwie Stick's. Na chodniku przed jednym i drugim lokalem zebrały się grupki młodych mężczyzn w barwach gangów, łypiące na siebie nawzajem przez pas graniczny starej brukowanej ulicy. Nieznajoma obserwowała młodzieńców rozmawiających między sobą, pociągających z butelek i palących cuchnące skręty. Za paskami wszyscy mieli zatknietą broń. Obie grupy wydawały się jednakowo liczne, a ich członkami, co dziwne z uwagi na panującą w mieście segregację, byli zarówno biali, jak Murzyni i Latynosi.

Członkowie gangu zgromadzonego przed Danse Macabre nosili czarne skórzane kurtki ozdobione na plecach chromowanymi ćwiekami ułożonymi w kształt odwróconego pentagramu. Ci spod Stick'sa nosili identyczne skórzane kurtki, lecz z wymalowanymi na plecach trupimi czaszkami, pod którymi miast puszczeli krzyżowały się dwie czarne łyżki. Pomimo groźnych, złowrogich spojrzeń żadna z grup nie przeszła do bardziej ofensywnych działań.

W ulicę skręcił cadillac z końca lat pięćdziesiątych, z wysoko uniesionymi pławkami ogonowymi przypominającymi płetwę grzbietową rekina. Z głośników wielkości walizki płynęła muzyka hip hop z tak mocno przestrojonymi basami, że przy każdym dźwięku nieznajoma czuła gwałtowne wibrowanie żeber.

- Nadjeżdża Batmobil - rzucił młody Latynos o pociągłym obliczu, hojnie obsypanym trądzikiem. Członkowie gangu spod Danse Macabre wypłuli pety, wyrzucili flaszki i dobywszy broni, utworzyli wzdłuż chodnika żywy szpaler.

Markowy cadillac podjechał do krawężnika. Szyby miał przyciemnione tak mocno, że wyglądały jak lustra. Jeden z gangsterów poderwał się energicznie i otworzył tylne drzwiczki. Pierwszą osobą, która wyszła z samochodu, była wysoka, olśniewająca kobieta w czarnych skórzanych biodrówkach i butach ze stalowymi noskami. Gdy odwróciła się do pozostałych,



jej skórzana kurtka rozchyliła się, ukazując nagie piersi o sutkach ozdobionych kolczykami z nierdzewnej stali. Prawą stronę głowy miała ogoloną do gołej skóry, podczas gdy włosy po lewej, opadając jedwabistą czarną kaskadą, sięgały jej aż do pasa. Twarz, o ostrych, wyrazistych rysach, można by nawet uznać za klasycznie piękną, gdyby nie całe mnóstwo metalowych ćwieków, sztyftów i kolczyków zwieszających się z jej nosa, warg oraz brwi. W prawej ręce trzymała naładowaną kuszę. Pospiesznie rozejrzała się dokoła, po czym dała znak komuś, kto pozostał w aucie, że teren jest czysty.

Z tylnego siedzenia wygramoliła się przeraźliwie blada kobieta o włosach w kolorze dymu. Od stóp do głów ubrana była na białło, począwszy od satynowych pantofelków, poprzez zwiewną jedwabną suknię wieczorową, po futro z norek, które ścisnęła palcami jak kamizelkę ratunkową. Twarz miała tak doskonałą, że bardziej niż żywą kobietę przypominała lalkę z chińskiej porcelany. Jednakże pomimo olśniewającej urody było z nią coś nie tak. Gdy druga z kobiet pokierowała ją w stronę wejścia do klubu, jej ruchy wydawały się nerwowe i wymuszone, jak u marionetki. Oczy, lawendowego koloru, były szkliste i jakby nieobecne, jak ślepiec gazeli trafionej pociskiem usypiającym.

- Mamo! Mamo!

Kobieta w bieli zamarła w pół kroku, jej spokojne z pozoru oblicze zmąciły przebłyски emocji.

- Ryan?

- Mamo!

Mały, może pięcioletni chłopiec przebiegł pomiędzy nogami zdezorientowanych młodocianych opryszków. Był chudy i ubrany w łachmany, ale nie ulegało wątpliwości, po kim odziedziczył cerę i kolor włosów. Spróbował złapać kobietę w bieli za rąbek sukni, unikając równocześnie trafienia wzmocnionym stalą butem strażniczki z kuszą.

Powieki kobiety w bieli zatrzepotały jak u lunatyczki budzącej się powoli ze snu.

Strażniczka zaklęła i wyciągnęła rękę, by pochwycić chłopca, ten jednak gładko prześlizgnął się pomiędzy jej nogami i wybiegł na ulicę.

Kobieta z kuszą wymierzyła broń w młodego opryszka o twarzy obsypanej trądzikiem, który otworzył przed nią drzwiczki auta.

- Cavalera! Chyba kazałam wam, ćwoki, rozprawić się z tym małym sukinkotem!

Opryszek, do którego skierowała te słowa, przyjął postawę, którą od biedy można by uznać za zasadniczą.

- Słyszałeś, co powiedział Esher, temu gnojnikowi nie wolno się do niej zbliżać! Nie stój tak, przestań się wreszcie opierdalać! Złap go! Weź ze sobą Cro - Magnona! - warknęła przez ramię strażniczka, popychając kobietę w bieli w stronę otwartych drzwi. Jej wargi, rozchylone w gniewnym grymasie, odsłoniły rząd silnych białych kłów; oczy miały barwę wina.

Cavalera i Cro - Magnon natychmiast pobiegli w głąb ulicy w poszukiwaniu chłopca.

Dzieciak miał nad nimi pół przecznicy przewagi, lecz nogi tamtych były dwa razy dłuższe i już po kilku sekundach zaczęli go doganiać.

Ten, którego nazywano Cro - Magnon, zwalisty Angol o kanciastej szczęce, rzucił się szczupakiem, podbijając chłopcu nogi i przewracając go na ziemię.

- Niezła robota, Mag! - zawołał Cavalera, chudy Latynos o fatalnej cerze. - Może powinieneś grać w futbol?

- Nic z tego. Nie umiem czytać. Jakbym chciał zostać w zespole, musiałbym chodzić na specjalne zajęcia wyrównawcze. Pieprzę to, stary! - Cro - Magnon wstał, uśmiechając się szeroko. Trzymając chłopca za kołnierz koszuli, uniósł go w górę jak królika.

- Co z nim zrobimy?

Cavalera wzruszył ramionami i wyjął zza paska .38.

- Słyszałeś, co powiedziała Decima, ty wsioku.

- Puśćcie go, frajerzy!

Cro - Magnon i Cavalera odwrócili się w stronę, skąd dobiegł głos. Osiołek zaklął pod nosem i puścił chłopca. Dzieciak miękko wylądował na asfalcie i natychmiast co sił w nogach pognął przed siebie. Po chwili rozpląnął się w ciemnościach.

Z jednej z bocznych uliczek wyszedł starszy biały mężczyzna o szpakowatej brodzie i długich srebrzystych włosach, które sięgały mu prawie do pasa, i żwawym krokiem ruszył w ich kierunku. Gdyby nie ręcznie farbowany podkoszulek, sprane dzinsy i wyświechtane kowbojki, można by wziąć go za Gandalfa Szarego.

Obiema dłońmi pewnie trzymał obrzynek.

- Świetnie. Dobrze zrobiłeś, koleś. Ty, ze spluwą, dobrze ci radzę, też zrób, co trzeba!

- Pieprz się, stary! - warknął Cavalera, usiłując ukryć drżenie głosu.

- Może i jestem stary, ale wiem, że wyżej dupy nie podskoczę. Kazałem ci rzucić broń i lepiej to zrób albo odstrzelę ci obie nogi w kolanach!

Dolna warga Cavalery zaczęła drżeć, Latynos przygryzł ją z całej siły. Pomimo swej buńczuczności wydawał się bliski łez.

- Załatwimy cię, skurwielu - ostrzegł, upuszczając .38 na chodnik.

Z cienia wyłonił się nagle chłopiec i choć nikt mu nie kazał, podniósł rewolwer z ziemi. W jego rękach broń wyglądała jak przerośnięta, groźna zabawka.

- Zadarłeś z Pointersami, dupku, zadarłeś, kurwa, z Esherem!

- Już się boję, gnoju! Spójrz, cały się trzęsę! A teraz ty, wielkoludzie, kopnij swoją broń w moją stronę.

Cro - Magnon, sarkając pod nosem, wykonał polecenie.

- Gdybyście mieli choć odrobinę oleju w głowie, dalibyście nogę z tego cuchnącego

śmietniska i zapomnieli, że kiedykolwiek słyszeliście o Esherze - westchnął brodacz. - Coś mi jednak mówi, że myślenie raczej nie jest waszą mocną stroną. Spadajcie stąd - a jeśli kiedykolwiek przyuważę was w pobliżu tego dzieciaka, przywalę wam z obu luf! I to bez ostrzeżenia!

Cro - Magnon i Cavalera odwrócili się, jakby zamierzali odejść. Gdy tylko stary hipis wypuścił powietrze i opuścił broń, rzucili się na niego.

Cro - Magnon sięgnął po strzelbę, podczas gdy Cavalera rzucił się w pogoń za chłopcem.

- Oddawaj, staruchu! - Cro - Magnon uśmiechnął się, ukazując rząd krzywych zębów.

- Cav ma rację, zadarłeś z niewłaściwym gangiem!

Wysoki, piskliwy wrzask bólu rozdarł ciszę nocy, lecz odgłos ten nie wyrwał się z ust chłopca. Cro - Magnon spojrzał na przyjaciela i zobaczył, jak Cavalera osuwa się do rynsztoka ze sprężynowcem wbitym w pierś aż po rękojeść.

- Cav!

Stary hipis kolbą obrzyna trzasnął osiłka w szczękę.

Cro - Magnon cofnął się o kilka kroków, wydawał się zaskoczony. Dotknął krwawiących, rozbitych ust, po czym przeniósł wzrok na napastnika.

- To boli.

- Powinno - odparował stary hipis i z całej siły zdzielił go kolbą obrzyna między oczy.

Tym razem opryszek osunął się na ziemię i już się nie podniósł.

Brodacz stał przy krawężniku ze strzelbą w dłoni i wpatrywał się w powalonego goliata. Jego dłonie drżały, oddech był krótki, urywany.

- To, co zrobiłeś, było odważne. Głupie, lecz odważne.

Brodacz odwrócił się na pięcie i wymierzył w stojącą za nim nieznajomą. Ujrzał

kobietę po dwudziestce, w postrzępionych dzinsach, starych, znoszonych martensach, czarnej skórzanej kurtce i okularach - lustrzankach. Jedną ręką przytrzymała chłopca, który wtulał się całym ciałem w jej lewy bok.

- Rany boskie, dziewczyno - wychrypiął hipis, opuszczając strzelbę. - Nigdy więcej tak się do mnie nie podkradaj!

- To umiem najlepiej - odparła, opuszczając chłopca na ziemię. Malec natychmiast pobiegł i oplótł chudymi ramionami talię starszego mężczyzny.

Hipis zmierzwił mu włosy, odsunął go na odległość wyciągniętej ręki i spiorunował wzrokiem.

- Kiedy dziś wieczorem wychodziłeś z domu, mówiłem, że masz na siebie uważać, a ty co? Przyznaj się, co zrobiłeś, Ryanie? Znów chciałeś zobaczyć się z matką?

- Widziałem ją, Cloudy! Tym razem nawet ją dotknąłem! Wypowiedziała moje imię! Brodacz przewrócił oczami.

- Chryste Przenajświętszy, dzieciaku! Przez twoje głupie pomysły obaj kiedyś zginiemy!

Nieznajoma przestąpiła leżące na chodniku ciało Cro - Magnona i pochyliła się, by wyjąć nóż z nieruchomego już serca Cavalery. Otarłszy zakrwawione ostrze w nogawkę spodni, stalowym noskiem buta szturchnęła Cro - Magnona w bok i zmarszczyła brwi.

- Ten jeszcze żyje. Na twoim miejscu wpakowałabym mu z obu luf prosto w serce.

Brodacz pokręcił przecząco głową.

- Nie robię tego, chyba że nie mam innego wyjścia. Kobieta wzruszyła ramionami.

- Twoja sprawa.

- Proszę posłuchać, naprawdę jestem ci wdzięczny, że nam pomogłaś, ale...

- Podziękujesz mi później. A teraz może znaleźlibyśmy sobie jakąś przytulną

kryjówkę, czy mamy tu stać do rana? Przypuszczam, że kumple tych dwóch oprychów zjawia się tu lada chwila.

Nieznajoma podążyła za siwowłosym w głąb wąskiego, parszywie cuchnącego przejścia, prowadzącego na sąsiednią ulicę. Jeżeli to w ogóle możliwe, była ona jeszcze bardziej obskurna i odpychająca niż Ulica Bez Nazwy. Hipis zbiegł po schodach prowadzących do piwnic starej, popadającej w ruinę, a niegdyś bardzo wytwornej kamienicy. Zarzuciwszy sobie chłopca na barana, wyjął z kieszeni spodni pęk kluczy i otworzył ciężkie metalowe drzwi. Znalazłszy się w środku, opuścił malca na ziemię i pospiesznie zatrzasnął drzwi, zamykając je na sztabę zrobioną ze starego podkładu kolejowego.

Nieznajoma odwróciła się, by przejrzeć wnętrze podziemnego pomieszczenia.

Frontowy pokój był dość spory, wszędzie wały się książki, półki w regałach sięgających aż po sufit ugiwały się pod ich ciężarem. Miejsce to przesycone było delikatną wonią rozkładu, starego, zawilgłego papieru i pleśniejącej skóry.

Starszy mężczyzna odetchnął głęboko i nieco się rozluźnił, jego ramiona opadły, lecz nie rozładował obrzyna, którego wciąż trzymał obiema dłońmi.

- Nie chcę, by ktokolwiek wiedział, gdzie mieszkam. Oprócz tego chłopca jesteś jedyną od wielu lat osobą, która przestąpiła próg tej sutereny. Jeśli zrobisz choć jeden podejrzany gest, twój mózg ozdobi te ściany. Naprawdę nie chciałbym tego robić, bo przecież ocaliłaś tego chłopca, ale ze mnie kiepski gospodarz, proszę więc, abyś nie dawała mi powodu do naciśnięcia na spust.

- Będę to miała na uwadze.

- Mam nadzieję.

- Cloudy? - wyszeptał chłopiec, ciągnąc podstarzałego hipisa za koszulę. - Cloudy?

- O co chodzi, mały?

- Mógłbym dostać parę ciasteczek? Zmierzył przedwcześnie posiwiałe włosy chłopca.

- Nie wiem - mógłbyś? Chłopiec westchnął ostentacyjnie.

- Czy mógłbym dostać parę ciasteczek, proszę?

- Proszę bardzo. Ale tym razem zostaw też kilka dla mnie. Uśmiechnął się

pobłaźliwie, gdy chłopiec pobiegł wąskim przejściem pomiędzy regałami i stertami starych książek do pomieszczenia na drugim końcu mieszkania.

- To twój syn?

Hipis pokręcił głową i zaśmiał się.

- Nie, do licha! Nie mam pojęcia, kim jest jego ojciec, on zresztą też tego nie wie.

Mimo to nie mogłem pozwolić temu malcowi, aby umarł z głodu w jakimś ciemnym zaułku lub by spotkało go coś jeszcze gorszego.

- Ta kobieta, którą widziałam w świecie wampirów, to jego matka?

- Była ubrana na biało?

- Tak.

- To ona. Ma na imię Nikola. Czy towarzyszyła jej wampirzyca w seksownym

wdzianku, z gołymi kolczykowanymi cyckami i mnóstwem metalowych ozdóbek na twarzy?

- Tak.

- To Decima. Przyboczna Eshera.

- Kim jest ten Esher, o którym wszyscy mówią? Posłał jej zdumione spojrzenie.

- Naprawdę nie wiesz?

- Jestem tu nowa. Może mnie oświecisz?

- Jasne. Przejdźmy do pokoju na tyłach. Tam przynajmniej jest na czym usiąść.

Wypijemy kawę i opowiem ci wszystko, co wiem.

Na tyłach mieszkania panował większy ład niż w części frontowej, choć nawet w niedużej kuchni sporo miejsca zajmowały książki. Chłopiec siedział w kącie na odwróconej do góry dnem skrzynce na mleko. Na podolku malca leżał stary komiks, a jego brodę pokrywały czekoladowe smugi oraz okruchy ciasteczek.

- Przepraszam za bałagan - rzekł hipis, zdejmując stertę książek z jednego z dwóch znajdujących się w mieszkaniu krzeseł. - Ale ostatnio rzadko miewam gości. Zazwyczaj nie wpuszczam nikogo za próg, ale nauczyłem się słuchać swego instynktu.

- A co twój instynkt mówi na mój temat?

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, jakby usiłował wychwycić informację dostrzegalną tylko dla niego.

- Sądzę, że można ci zaufać. Jeden Bóg wie, dlaczego. Mam nadzieję, że to nie flashback po kwasie.

- Traktuję twoje wotum zaufania jako komplement. - Nieznajoma sięgnęła po egzemplarz „Fate Magazine”, zdmuchując z wyblakłej okładki warstwę kurzu. - Od jak dawna tu mieszkasz, jeśli wolno zapytać? Nawiasem mówiąc, nie wiem nawet, jak się nazywasz?

- Eddie McLeod. Kumple mówią na mnie Cloudy. Dzieciak ma na imię Ryan. Nie znam jego nazwiska. Podobnie, jak on sam. I nie mam nic przeciwko temu, że zapytałaś: mieszkam w Umarłym Mieście od końca lat sześćdziesiątych.

- Czy zawsze było tu tak jak teraz?

Cloudy pokręcił głową, zapalając kuchenkę gazową.

- Nie zawsze było tak ciężko, ale dziwnie na pewno. Bądź co bądź to sześć przecznic w samym środku wielkiego miasta, które rzekomo nie istnieje. Nigdziejowo! Pamiętam pewną historię, wedle której jeszcze w czasach kolonialnych ta dzielnica stanowiła azyl dla



rebelianckich przemytników i od tej pory nieoficjalnie pełni rolę „strefy neutralnej„ dla wszystkich, którzy byli na bakier z prawem.

W okresie Wojny Domowej ukrywali się tu sympatycy konfederatów i inne twarde sztuki. Pod koniec ubiegłego stulecia roilo się tu od imigrantów i najróżniejszych szumowin.

Ja dowiedziałem się o tym miejscu w 1968. Przeniosłem się tu, by uniknąć poboru. Nie lubiłem mroźnych zim, więc Kanady w ogóle nie brałem pod uwagę.

Nieznajoma uniosła brwi, okazując zdziwienie.

- Ukrywasz się w Umarłym Mieście od trzydziestu lat?

Cloudy wzruszył ramionami i nasypał do dwóch poobijanych kubków po dwie łyżeczki kawy rozpuszczalnej.

- Już się nie ukrywam, a w każdym razie nie przed wojskiem. Kilka lat temu objęła mnie amnestia i przynajmniej w tej kwestii uregulowałem rachunki z rządem. Po prostu mieszkam tutaj. Nigdzie w tym kraju, ba, kto wie, czy nie na całym świecie, nie żyje się tak tanio! Nie płacę czynszu. To społeczność dzikich lokatorów.

- Skąd masz wodę i prąd?

- Plotki głoszą, że miasto ma jakiś układ z Umarłym. Może chce w ten sposób powstrzymać ekspansję Umarłego, aby nie zaczęło rozprzestrzeniać się i pochłaniać kolejnych przecznic.

- Skoro tak, to dziwię się, że nie mieszka tu więcej ludzi.

- Och, oni tu są, tyle tylko że ich nie widzisz! - Cloudy zaśmiał się oschle. - Ci, którzy nazywają tę okolicę domem, nauczyli się być niewidocznymi. To się opłaca. Choć muszę przyznać, że rzeczywiście nie ma tu już tylu ludzi co kiedyś. Umarłe Miasto zawsze kazało słono sobie płacić za luksus mieszkania tutaj, lecz teraz ta cena stała się jeszcze bardziej wygórowana.

- Masz na myśli gangi?

- Gangi to banda szmondaków i tyle! Chodzi mi o skurwieli, którzy stoją za nimi.

- O wampiry.

Cloudy skrzywił się.

- Wątpię, byś kiedykolwiek mogła usłyszeć tutaj to słowo. Oni nazywają siebie Spokrewnionymi. Byli tu od samego początku. To jedna z przyczyn, dlaczego nie uświadczysz tu zbyt wielu bezdomnych! Miasto jest nawiedzone. Gdy się tu sprowadziłem, z końcem lat sześćdziesiątych, nie wierzyłem we wszystkie te historie. Jednak kilka lat później zobaczyłem, jak jeden z Nich zabił mojego przyjaciela. To, co ujrzałem, napędziło mi niezłego stracha, ale jeszcze bardziej bałem się wyjazdu do Wietnamu. Po prostu od tamtego czasu przestałem wychodzić po zmierzchu z domu. Poza tym wtedy było znacznie lepiej niż teraz.

Poobijany czajnik zaczął wydawać przeciągły gwizd i Cloudy szybko zdjął go z palnika. Mówił bez przerwy, nalewając wrzątku do kubków.

- W sumie przez długi, bardzo długi czas, odkąd pamiętam, rządził tu tylko jeden krwio pijca, Sinjon. Aż tu nagle, pięć lat temu, zjawił się ten nowy wampir, nazywający siebie Esher. Następne, co pamiętam, to że rozpętali między sobą krwawą wojnę, wykorzystując w charakterze mięsa armatniego tych nastoletnich psycholi!

Chłopcy Sinjona nazywają siebie Black Spoons i zajmują się głównie rozprowadzaniem narkotyków. Plotki głoszą, że Sinjon kontroluje większość handlu koką i herą na całym Wschodnim Wybrzeżu. Chłopaki Eshera to ci z Pentagramami - Pointersi. Handlują przede wszystkim bronią. Esher jest grubą rybą, jeżeli chodzi o nielegalną broń. Jeśli wierzyć w to, co o nim mówią, jest w stanie załatwić wszystko, od zwykłego gnata, poprzez rozpylacz, aż po rakiety z naprowadzaniem termicznym. Nie dam za to głowy, ale

sądzę, że gdyby zechciał, udałoby mu się zdobyć nawet bombę atomową. Po zachodzie słońca znikają w całej okolicy wszelkie pozory normalności i jeśli chcesz wyjść na zewnątrz, robisz to na własne ryzyko. W gruncie rzeczy za dnia wcale nie jest bezpieczniej. Niemniej jednak póki słońce wisi na niebie, Spokrewnieni trzymają się z dala od ulic.

Nieznajoma skinęła głową na Ryana, który odłożył komiks i położył się na stercie starych koców pod zlewem.

- A co z matką chłopca?

Cloudy upił łyk kawy i skrzywił się.

- Ma na imię Nikola. Była tancerką egzotyczną w klubie Pink Poney, kilka przecznic za granicami Umarłego Miasta. Chyba musiała mieć prawdziwy talent, bo wieść o niej dotarła aż do Eshera. Którejś nocy Esher zjawił się w klubie, aby zobaczyć jej taniec i zaraz po występie zaproponował Nikoli, aby została jego nową „gwiazdą”. Widzisz, jedną z pierwszych rzeczy, które zrobił Esher po sprowadzeniu się do Umarłego Miasta, było przejęcie starego lokalu ze striptizem, dokładnie naprzeciwko meliny, gdzie gromadzą się Black Spoons i przemianowanie go na „Danse Macabre”. Ona, rzecz jasna, nie wiedziała, w co się pakuje. Szybko się jednak zorientowała. W jej mieszkaniu zjawiło się następnego dnia kilku Pointersów - spakowała się w iście rekordowym tempie - i zabrali ją do warowni Eshera.

- A chłopiec?

- Esher chciał tylko tę kobietę, dziecko nie było mu potrzebne. Zostawiono go na ulicy, bez pieniędzy, rodziny czy przyjaciół, którzy mogliby mu pomóc. Muszę jednak przyznać, że ten dzieciak jest naprawdę silny. Dwakroć silniejszy od swoich rówieśników! Gdy zrozumiał, że matka nie wróci, zaczął jej szukać - i tak właśnie natknąłem się na niego. Wyjadał resztki ze śmietnika pod moim domem. Wiedziałem, że jeśli czegoś nie zrobię,

umrze z głodu lub wykończą go słudzy Eshera. Biedny dzieciak! Przez większość czasu obserwuje dom, w którym jest przetrzymywana jego matka, w nadziei, że choć przez chwilę będzie mógł ją zobaczyć. - Wzdrygnął się, jakby chciał wyrzucić z pamięci wyjątkowo niemiłe wspomnienie i podał swemu gościowi drugi kubek z gorącą kawą. - Przepraszam! Ależ ze mnie gospodarz! To twoja kawa. Jaką lubisz - czarną czy białą?

Nieznajoma uśmiechnęła się, nie odsłaniając zębów, i gestem odmówiła przyjęcia podanego jej kubka.

- Dziękuję, ale nie pijam... kawy.

Wstała i uklękła przy zlewie, zerkając na bladą wychudzoną buzię chłopca. Sięgnęła ręką i odgarnęła z jego czoła kosmyk włosów. Malec wymamrotał coś przez sen i otulił się szczelniej kocem.

- Nieumarli nie lubią dzieci, chyba że w charakterze ofiar. Stanowią dla nich kłopotliwe przypomnienie, że zatrzymali się w czasie, niezmienni i nie przemijający, uwięzieni poza ogniwami łańcucha Natury. Choć wampiry udają zdegustowanie ludzkim rozmnażaniem jako takim, potajemnie im tego zazdroszczą. Chłopiec miał szczęście, że Esher nie rozkazał zabić go na miejscu.

- Tja - westchnął Cloudy, wylewając nie tkniętą kawę do zlewu. - Naprawdę miał farta. - Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Sporo wiesz o wampirach, młoda damo. I... jak masz na imię, bo chyba jeszcze tego nie mówiłaś?

Nieznajoma wyprostowała się, wycierając palce w skórzaną kurtkę.

- Nie, nie mówiłam.

Cloudy poczuł dziwny i nieprzyjemny ucisk w dołku. Włoski na jego dłoniach i karku zjeżyły się.

- Jesteś jedną z nich, prawda? - wyszeptał, odsuwając się niepewnie od zlewu. Zaczął wycofywać się w stronę frontowych drzwi, gdzie przy ścianie zostawił swoją strzelbę.

Nieznajoma odwróciła się do niego, ale nie pospieszyła za nim.

- Cholera! Powinienem był się domyślić! Kto jest twoim panem? Dla kogo pracujesz, dla Eshera czy Sinjona?

- Nie służę nikomu prócz samej siebie.

- Nie wierzę ci, pijawo! Odpowiedz w tej chwili albo spieprzaj stąd i to już! Nie muszę być Van Helsingiem, aby wiedzieć, że jeśli rozwalę ci łeb w drobiazgi, już na zawsze pozostaniesz trupem.

Nieznajoma znowu się uśmiechnęła, tym razem ukazując ostre kły.

- Naprawdę jesteś odważny. Oboje wiemy, że mogłabym cię zabić, zanim zdążyłbyś osiągnąć swojej strzelby, Cloudy. W porządku. Czy zechcesz mnie wysłuchać, jeżeli udowodnię ci, że nie jestem taka jak inni?

Cloudy spojrział na śpiącego pod zlewem Ryana, po czym przeniósł wzrok na wampirzycę.

- Niech będzie.

Nieznajoma sięgnęła do kieszeni kurtki i wyjęła sprężynowiec, którego użyła wcześniej do zabicia Cavalery; rękojeść noża ozdobiona była wizerunkiem złotego smoka. Jej kciuk musnął rubinowe oko smoka i ostrze gładko wyprysnęło z rękojeści. W słabym świetle nóż wyglądał jak zmrożony płomień.

Cloudy uniósł broń ze zdumieniem.

- Wcześniej nie miałem okazji mu się przyjrzeć, ale? toż to czyste srebro! I ma w sobie jeszcze coś dziwnego, czego nie potrafię sprecyzować. A jednak czuję to. Aż mnie ciarki przechodzą.

- Jest obłożony specjalnym zaklęciem. To broń mająca służyć jednemu celowi - zabijaniu Spokrewnionych. Jak na kogoś, kto nie jest Van Helsingiem, wiesz całkiem sporo.

- Jeśli chcesz przeżyć w Umarłym Mieście, musisz szybko się uczyć - odparł zwięźle.

- Wobec tego nie muszę ci wyjaśniać, co to oznacza. - Przeciągnęła ostrzem po wnętrzu lewej dłoni. Cięcie było głębokie, z rany wypłynęła ciemna, prawie czarna krew i zaczęła ściekać pomiędzy palcami. Cloudy patrzył z rozdziawionymi ustami, jak brzegi rany zaczynają się łączyć, pozostawiając na ręku nieznamomej bliznę, która przez sekundę lub dwie pulsowała jasną czerwienią, ale zaraz potem gwałtownie zbielała.

Cloudy zmarszczył brwi.

- Kim ty jesteś, u diabła?

Nieznamoma wzruszyła ramionami i złożyła nóż.

- To długa historia. Póki co, mój przyjacielu, powiedzmy, że istnieje więcej niż jeden rodzaj Spokrewnionych. I więcej niż jeden rodzaj pogromców wampirów.

## **ROZDZIAŁ 2**

Nikola usiadła przed toaletką i, wpatrując się w pomalowaną na czarno taflę lustra, zaczęła nakładać tusz na rzęsy. Przez ostatnich kilka miesięcy przywykła do robienia makijażu bez konieczności wpatrywania się w swoje odbicie. Lord Esher nie lubił zwierciadeł. Mimo to zdołała kilka razy przyjrzeć się sobie w oknach witryn sklepowych i szybach aut, by stwierdzić, że nie przypominała osoby, którą kiedyś była.

Kimkolwiek była.

Wiedziała, że ma na imię Nikola, była tancerką i została zaręczona lordowi Esherowi.

Cała reszta tonęła w mgłach niepamięci, czasem tylko miewała krótkie, urywane przebliski minionych zdarzeń. Dręczyło ją osobliwe przekonanie, że jej życie składało się z wielu, znacznie barwniejszych wspomnień, gdy jednak próbowała wyłuskać je z pamięci,

natychmiast dostawała potwornej migreny, a mgła spowijająca jej myśli gwałtownie gęstniała.

Czasami - - choć niezbyt często - mgła na krótko się rozwiewała, a ona ze zgrozą uświadamiała sobie, co się z nią działo. W tych ulotnych momentach pełnej świadomości ogarniało ją dojmujące przerażenie i uczucie bezradności, tak silne, że sama, z własnej woli otaczała się kokonem mgieł.

W ten sposób mniej cierpiała.

Tak jak ten niedawny incydent przed klubem. Kiedy ten mały ulicznik podbiegł i dotknął jej sukni, przez mgnienie oka miała wrażenie, jakby przebudziła się z długiego snu. Spojrzała na umorusaną buzię chłopca i rozpoznała go. Nawet teraz wspomnienie jego twarzy usiłowało wypłynąć z oparów mgieł, jakby chłopiec tonął i rozpaczliwie próbował jej dosięgnąć. To oblicze miało imię. Ona zaś w głębi duszy instynktownie czuła, że powinna je znać.

Nikola odłożyła tusz do rzęs w obawie, że drżenie jej dłoni mogło zniweczyć starannie przygotowywany makijaż.

Lord Esher był bardzo surowy, jeżeli chodziło o jej wygląd podczas tańca. Lepiej mu się nie narażać.

Nikola zamrugnęła i ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że z jej oczu płyną łzy.

To dziwne.

Dlaczego miałaby płakać? Już wkrótce miała zostać najnowszą oblubienicą lorda Eshera. Czyż nie powinna być w tej sytuacji najszczęśliwszą kobietą na świecie?

Bardzo chciałyby to wiedzieć.

Drzwi otworzyły się i do garderoby wszedł lord Esher w towarzystwie swej przybocznej, Decimy. Lord miał na sobie obcisłe czarne skórzane spodnie, czarną elastyczną

koszulkę, kowbojki z farbowanej na czarno wężowej skóry i długi, prawie do kostek, czarny skórzany płaszcz. Jego ciemne, przycięte z przodu tuż nad brwiami włosy, po bokach i z tyłu głowy sięgały aż do mocno umięśnionych ramion. Choć fizycznie bardzo atrakcyjny, nie różnił się zbytnio od śmiertelników zamieszkujących niebezpieczniejsze dzielnice miasta. Jediną oznaką jego przynależności do Spokrewnionych był czarno - złoty lakierowany totem, klanowy kwadrat wpisany w okrąg, który z kolei wpisany był w trójkąt, wpięty w lewą klapę płaszcza oraz chromowana czaszka niemowlęcia, której używał w charakterze sprzączki do paska.

- Dobry wieczór, moja droga - uśmiechnął się, stając za Nikolą i położył swe żylaste dłonie na jej nagich ramionach, leciutko dotykając kciukami tętnicy szyjnej. - Jesteś gotowa na wieczorny występ?

- Prawie. - Jej głos był suchy i łamliwy jak papirus.

- Wyglądasz olśniewająco, moja piękna. Nieprawdaż, Decimo?

Wampirzyca wzruszyła ramionami. Skrzyżowała ramiona na obnażonych piersiach, aż zadzwoniły kolczyki zdobiące jej sterczące sutki.

- Skoro tak mówisz, panie.

Nikola poczuła na sobie piorunujący wzrok Decimy. Wampirzyca nie próbowała skrywać pogardy, jaką żywiła wobec nowej oblubienicy swego pana. Była jego wybranką przez dwadzieścia pięć lat, a teraz została odrzucona, utraciła swą pozycję na rzecz śmiertelnej tancerki. Esher miał nad nią zbyt dużą władzę, by mogła sprzeciwić mu się otwarcie, niemniej Decima z dziką rozkoszą starała się uprzykrzyć Nikoli życie.

- Wydajesz się zasmucona, Nikola - ciągnął Esher, gładząc jej włosy. - Czy coś cię trapi, najśłodsza?

Nikola zawahała się przez chwilę, po czym delikatnym, cichym jak u dziecka



głosikiem wyznała:

- Na ulicy... przed klubem... był mały chłopiec. Wyglądał znajomo. Kim on jest, panie? Mam wrażenie, że powinnam go znać.

Esher odwrócił fotel, na którym siedziała Nikola, aby mogła na niego spojrzeć. Jego oczy były wilgotne i czerwone, jak świeże rany. Gdy się odezwał, jego głos zabrzmiał jak uderzenie gromu.

- Nie znasz tego chłopca! Nigdy wcześniej go nie widziałaś! Jest ci zupełnie obcy!

Właściwie w ogóle nie widziałaś dziś żadnego dziecka! Rozumiesz, co mówię, Nikola?

- Nie było żadnego dziecka - wykrztusiła, wzrok miała mętny, zamglony.

- Doskonale! Tak jest o wiele lepiej, nieprawdaż? Czy nie jest ci lżej, gdy nie musisz myśleć o tym wszystkim?

- Oczywiście, panie. Jest mi o wiele lżej.

- A teraz pospiesz się i przygotuj jak należy! Chyba nie chcesz spóźnić się na występ?

- Esher uśmiechnął się. - Zostawimy cię teraz samą, abyś dokończyła przygotowań. Pójdź, Decimo!

Pan wampirów wyszedł na korytarz, lecz gdy tylko drzwi zamknęły się, błogi uśmiech na jego twarzy zastąpiony został przeraźliwym, gniewnym grymasem.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że był tam ten chłopiec?

Decima przestąpiła niepewnie z nogi na nogę i wlepiła wzrok w czubki swoich butów; nie odważyła się spojrzeć Esherowi w oczy.

- Ja... ee... nie sądziłam, że to takie ważne, panie. Wysłałam dwóch Pointersów, aby się nim zajęli.

- Kogo?

- Cavalerę i Cro - Magnona.

- Wykonali zadanie?

- N - nie. Cro - Magnon został znaleziony w rynsztoku nieprzytomny. Stracił prawie wszystkie zęby. Cavalera nie żyje. Pchnięto go nożem w serce.

- Zważywszy na to, że przydzieliłaś to zadanie skończonemu idiocie i tępemu analfabecie, wcale mnie nie dziwi, że ponieśli tak sromotną klęskę. - Esher parsknął zdegustowany. - Czy domyślasz się, kto im to zrobił?

- Cro - Magnon wspominał o jakimś starcu, ale nie jestem pewna, do jakiego stopnia można mu wierzyć. Doznał solidnego wstrząsu. Nastąpiły uszkodzenia mózgu...

- W jego przypadku i tak nikt by się nie zorientował! Dopilnuj, aby wziął udział w dzisiejszym Wyzwaniu. Musi ponieść karę za swą porażkę.

- Tak, panie.

- I zrób coś z tym dzieciakiem. On musi umrzeć! Jak mam zakończyć Warunkowanie mej oblubienicy, skoro ten parszywy pętaś stale wchodzi mi w paradę? Już prawie ją nawróciłem, jedyną przeszkodą jest ten szczeniak! Dopóki on żyje, zagraża całemu procesowi! Nie po to poświęcam tyle swego czasu i energii Nikoli, aby moje wysiłki zostały obrócone wniwecz przez jakieś żałosne ludzkie szcenię. Czy wyraziłem się jasno, Decimo?

- W zupełności, milordzie.

W dawniejszych, niekoniecznie lepszych czasach, Danse Macabre był barem odwiedzanym przez gangi motocyklowe i najróżniejsze szumowiny. Obecnie stał się on klubem tańca egzotycznego, hołdującego gustom znacznie mroczniejszym, aniżeli najbardziej wyuzdane perwersje, w których lubowała się dawniejsza zepsuta klientela.

Wnętrze klubu podzielono na trzy rejony: ogromny parkiet do tańca, gdzie przy stolikach bladolicy Sprzymierzeni spotykali się ze śmiertelnikami; połączenie wybiegu i sceny, na której odbywały się występy tancerek oraz balkon zarezerwowany dla Eshera i jego

sług. W standardowym barze serwowano alkohol, lecz znajdował się tam również znacznie bardziej wykwintny serwis dla tych, którzy gustowali w trunkach gorętszych niż wino.

Tuzin ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, było przykutych do ściany stalowymi łańcuchami połączonymi ze skórzaną, krępującą uprzężą. W zgięciach ich prawych łokci wbite były igły z wenflonami, których używa się do przetaczania krwi. Zaś do ich lewych ramion przyłączono kroplówki z antykoagulantem.

Kilkoro ludzi wydawało się tak przerażonych, że byli bliscy utraty zmysłów, inni sprawiali wrażenie, jakby nie zdawali sobie sprawy, gdzie się znajdują, jeszcze inni balansowali na granicy ekstazy. Wszyscy byli przeraźliwie bladzi.

Esher przystanął przy balustradzie balkonu i zlustrował parkiet poniżej. Zapowiadał się miły wieczór. Dostrzegł kilka nowych twarzy zgromadzonych w pobliżu dystrybutorów.

Danse Macabre przyciągał Sprzymierzonych aż z Nowego Jorku i Atlanty i okazał się przydatny w rekrutacji Sprzymierzonych nie posiadających swego Pana. Wkrótce jego Enklawa będzie równie liczna jak Sinjona, a może nawet liczniejsza.

Zadowolony z takiego obrotu spraw Esher powrócił na swoje miejsce, tron z różanego drewna wyłożony karmazynowymi aksamitnymi poduszkami, który otrzymał w darze od ludzkiego maga, Crowleya. Ten mały szarlatan sądził, że może nauczyć się od Eshera sekretów taumaturgii, lecz szybko się zniechęcił, gdy dowiedział się, jaką cenę musiałby zapłacić za tę wiedzę. Poza tym Esher wcale nie zamierzał obdarowywać tego żadnego władzy dyletanta zaszczytem Przeistoczenia.

Pstryknął palcami i jego osobista dawczyni postąpiła naprzód, by uklęknąć u jego stóp. Tego wieczoru funkcję tę pełniła kobieta o bladej cerze i mocno pobrużdżonej twarzy, wyglądająca znacznie starzej niż na swoje dziewiętnaście lat.

Nie czekając na jego gest ani słowo, automatycznie uniosła w górę prawe ramię. Esher

przykłęcił do białego w zgięciu łokcia wenflonu wężyk od kroplówki. Następnie uniósł jego koniec do ust i zaczął ssać. Osobista dawczyni przewróciła oczami i kołysząc głową w przód i w tył, wydała przeciągłe, głuche westchnienie.

Gdy krew dawczyni pociemniła wewnątrz wężyka, Esher ścisnął ją i skinął na Decimę, aby podała mu szklankę. Osobista dawczyni jęknęła, bliska orgazmu, i osunęła się do przodu, składając głowę na butach Eshera. Pan wampirów chrząknął i odepchnął ją kopnięciem jak natrętnie zwierzę. Dawczyni prawie tego nie poczuła. Nawet nie drgnęła. Sądząc po tym, jak rzadka była krew, którą z niej pobrał, dziewczyna została niemal całkiem odsączona. Należało polecić Decimie, by wybrała z piwniczki kolejną dawczynię.

Popijając świeżą krew ze szklaneczki, Esher rozsiadł się wygodnie na tronie i pozwolił sobie na chwilę odprężenia. Skierował wzrok w stronę monitorów zamontowanych pod sufitem.

Na jednym widać było podgląd na parkiet, drugi pokazywał, co dzieje się na scenie, ekrany dwóch kolejnych zajmował obraz ulicy przed wejściem do klubu. Esher lubił mieć na wszystko oko. Między innymi dzięki tej cesze stał się jednym z najpotężniejszych władców Wschodniego Wybrzeża.

Licząc sobie sto dziewięćdziesiąt jeden lat był w kategoriach wieku Spokrewnionych zaledwie nastolatkiem. Większość wampirów, które zdołały osiągnąć pozycję i władzę zbliżoną do jego, miała grubo ponad trzysta lat. Jednakże on zawsze był wyjątkiem, już jako śmiertelnik. Wystarczy przyjrzeć się, jakie wrażenie wywarł na swym nieoficjalnym „biografie”.

Urodził się w arystokratycznej rodzinie w Tidewater, trzydzieści lat po podpisaniu Deklaracji Niepodległości. Prawdę mówiąc, dokument ten podpisał jego dziadek ze strony matki. Wychowywany przez kochające i zapobiegliwe piastunki już w dzieciństwie miał

wszystko, czegokolwiek zapragnął. Na wiele mu pozwalano. Ciekawy świata i okrutny zarazem zaczął przejawiać zainteresowanie medycyną, przeto wysłano go na Uniwersytet Wirginia, aby w murach tej szacownej uczelni kontynuował naukę. Ledwie tam trafił, rozpoczął hulaszczę i libertyńskie życie, któremu folgując doprowadził w końcu do tego, że skreślono go z listy studentów.

To właśnie tam spotkał poetę.

Zaprzyjaźnili się podczas jednej z hazardowych gier, przy stoliku. Esher uznał, że młodszy student jest nader intrygujący i, jak się później okazało, obaj przejawiali dość mroczne gusta. Choć Eshera na przemian bawiła i mierzyła niezdolność jego przyjaciela do zerwania z nałogiem, pozostali przyjaciółmi, nawet gdy poeta przez długi hazardowe zmuszony był porzucić studia.

Z nich dwóch to właśnie Esher od samego początku odznaczał się silniejszą osobowością. Wrażliwy młody poeta wydawał się równocześnie zafascynowany, jak i przerażony zimną krwią przyjaciela. Esher wierzył, że świat i jego cudowności należą do ludzi silnych i potężnych, którzy mają dość odwagi, by po nie sięgnąć. Nie było tu miejsca dla niezdecydowanych, słabych i nie umiejących znaleźć wyjścia z każdej, choćby najtrudniejszej sytuacji.

Poeta częstokroć kłócił się o to z Esherem, nie podzielał bowiem jego radykalnych poglądów, jednak nie potrafił zakończyć ich przyjaźni. Zupełnie jak gdyby moc charyzmy Eshera zmuszała poetę do przebywania w jego towarzystwie. Były rzecz jasna jeszcze inne, bardziej prozaiczne powody ich zażyłości: nie ulegało wątpliwości, że poeta zazdrościł mu bogactwa, pozycji i uroku osobistego; w miarę upływu czasu połączyły ich także wspólne zainteresowania związane ze śmiercią i umieraniem. Podczas gdy obsesje poety znalazły odzwierciedlenie w fantastycznych opowiadaniach i poezji, Esher zaczął kroczyć ścieżką

okultystów. Mijały lata, przyjaciele widywali się coraz rzadziej, wręcz sporadycznie. Poeta przyjmował rozmaite dorywcze prace edytorskie w kolejnych miastach na Wschodnim Wybrzeżu, po pewnym czasie opublikował także tomik poezji gotyckiej. Esher tymczasem został wydalony z Uniwersytetu Wirginia, a następnie z wydziału medycyny na Harvardzie. W obu przypadkach oskarżono go o kradzież ludzkich organów do celów okultystycznych. Po relegowaniu go z Harvardu Esher postanowił wybrać się w dłuższą podróż, aby „poszerzyć horyzonty”. To właśnie podczas niej w odległym zakątku Rumunii zwanym Transylwanią po raz pierwszy usłyszał o kulcie krwi noszącym nazwę Tremere. Plotki głosiły, że była to sekta nieśmiertelnych czarowników praktykujących bardzo starą i prawie dziś zapomnianą, lecz wielce potężną odmianę magii, zwaną taumaturgią. Mówiono, że ta dziedzina nauk okultystycznych zawierała w swych rytuałach picie krwi oraz inne formy jej wykorzystania.

Wieści te zaintrygowały Eshera do tego stopnia, że postanowił dowiedzieć się czegoś więcej na temat „wampirycznych czarowników”. Z początku, pytając o miejsce pobytu magów Tremere, spotykał się wyłącznie z nieufnością i niemal nie skrywaną wrogością. Chłopi pracujący na roli i tępi, prymitywni bojarzy będący ich panami najwyraźniej nie mieli ochoty służyć pomocą komukolwiek, kto wypytywał o Tremere. W niektórych wioskach wystarczyło wymienić tylko nazwę kultu, aby jak na komendę zatrzaśnięto przed nim wszystkie drzwi.

Esher nie należał jednak do osób, które mogliby zniechęcić prości, zabobonni wieśniacy.

Kiedy usłyszał opowieści o ojcu Magnusie, kapłanie wschodniego obrządku ortodoksyjnego, który rzekomo miał być ekspertem w dziedzinie mrocznych sekretów Rumunii, postanowił go odnaleźć.

Ojciec Magnus był stary, ślepy na jedno oko i miał zwyczaj popijać w miejscowej oberży, lecz, o czym przekonał się Esher, dysponował naprawdę ogromną wiedzą na temat czarnej magii. Pomimo fizycznych ułomności jego umysł był prawdziwą encyklopedią wiedzy okultystycznej.

Początkowo stary ksiądz wypierał się, jakoby wiedział cokolwiek na temat Tremere, lecz już po kilku sherry rozwiązał mu się język. Ojciec Magnus oznajmił, że Tremere w rzeczywistości byli nie tylko magami, lecz prawdziwymi istotami nocy - Vryoloda.

Wampirami.

Jak głosiła legenda, tysiąc lat temu grupa ambitnych magów za wszelką cenę starała się osiąść sekret nieśmiertelności. Kolejne ich eksperymenty kończyły się fiaskiem, aż w końcu magowie w przyпіływie desperacji pojмали starego wampira należącego do klanu, który z dawien dawna dominował w owym regionie. Sporządziwszy z jego krwi wywar, magowie wypili go i stali się nie - umarłymi, jak ich ofiara. Następnie powrócili do swego klasztoru i dokonali Przeistoczenia pozostałych czarowników, swych towarzyszy, urastając w siłę i pomnażając swe szeregi, aż stali się dostatecznie potężni, by ogłosić się nowym klanem.

To właśnie Magnus powiedział mu, że Tremere nie zamieszkują już w Transylwanii, lecz jeszcze w okresie Renesansu wyemigrowali do Wiednia. Wyjawił również Esherowi, jak może ich rozpoznać dzięki ich totemowi - kwadratowi wpisanemu w okrąg wpisany w trójkąt.

Esher niezwłocznie wybrał się do Austrii. W drodze do miasta Habsburgów napisał list do przyjaciela w Ameryce, opisując swe przygody i wyjaśniając, że zamierza zostać członkiem kultu krwi. Później uświadomił sobie, że popełnił błąd, ale chciał, by ktokolwiek wiedział, co się z nim stało, na wypadek, gdyby zaginął bez śladu.

Przebywał w Wiedniu niespełna tydzień, gdy skontaktował się z nim mag znany jako

Caul; najwyraźniej jego poszukiwania w Transylwanii, choć nie przyniosły wymiernych

efektów, zostały zauważone. Rada Siedmiu, rzekomo złożona z tych samych samozwańczych adeptów będących założycielami kultu, poleciła Caulowi wybadać ciekawskiego przybysza i odkryć kierujące nim intencje. Najwyraźniej ambicja i moc osobowości Eshera wywarły na nim spore wrażenie, gdyż to właśnie Caul zaproponował Radzie Siedmiu, aby przyjęła Amerykanina do klanu i oddała mu go w opiekę.

W ten oto sposób Caul o przepięknych, jasnych włosach i mlecznobiałej skórze stał się jego mentorem. Tremere, w przeciwieństwie do innych wampirzych klanów, poświęca sporo czasu i troski przygotowaniu nowych „rekrutów” przed ich Przeistoczeniem. Istotne było, aby każdy śmiertelnik mający wstąpić w ich szeregi przeszedł pełną indoktrynację maga, a dopiero potem doświadczył Rytuału, który uczyni go Spokrewnionym.

Esher uczył się pod okiem Caula przez kilka lat, aż uznano, że jest gotów przyjąć dar Przeistoczenia. Rada Siedmiu wezwała go przed swe srogie oblicze w 1838 roku, po czym wyjaśniła, że musi po raz ostatni odwiedzić swą ojczyznę, aby uporządkować wszystkie sprawy i spisać testament, zgodnie z którym spadek po nim będzie mógł przejąć „odległy krewny”, a w rzeczywistości on sam, lecz pod fałszywym nazwiskiem. Esher zrobił, jak mu kazano i powrócił do Ameryki. Jego statek zawinął do portu w Nowym Jorku i tam właśnie Esher przedostatni raz zobaczył się z poetą.

Spotkali się w mrocznym, obskurnym pubie w niechlubnej dzielnicy Bowery. Esher nie był pewien, po co właściwie zaaranżował to spotkanie, chyba po prostu chciał się pożegnać ze starym przyjacielem. Przy absyncie zaczął opowiadać kompanowi o swym pragnieniu oszukania śmierci i poszukiwaniach „zakazanej wiedzy”. Po kilku minutach zorientował się, że jego towarzysz przygląda mu się z wyraźnym niepokojem, a może nawet z trwogą. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, zwierając się swemu dawnemu druhowi. Pospiesznie wymyślił jakiś pretekst, aby odejść, w nadziei, że poeta potraktuje jego



historię jako pijackie brednie i nie będzie próbował doszukać się w niej głębszego sensu. Uporządkowawszy swe doczesne sprawy, Esher czym prędzej powrócił do fundacji w Wiedniu. Powitał go tam Caul. Przebrano go w krwistoczerwoną szatę inicjata i przyprowadzono przed oblicze Rady Siedmiu. Klan Tremere w przeciwieństwie do innych klanów szczyił się mocnymi i starannie dobranymi więzami. Podczas gdy inne klany przyjmowały i przemieniały przypadkowych nowicjuszy, tworząc istoty nieświadome swego mrocznego dziedzictwa, Tremere skrupulatnie kontrolował przebieg całego procesu. Ponieważ to Caul był jego mentorem, do niego należał zaszczyt wysączenia życiodajnej krwi Eshera. Gdy Esher leżał konający na ołtarzu, jeden po drugim podeszło do niego siedmiu członków Rady. Każdy naciął sobie kciuk specjalnie do tego celu przeznaczonym rytualnym sztyletem i wycisnął między jego rozchylone wargi kroplę swej skażonej krwi. Kiedy Esher obudził się trzy dni później, pokazano mu jego akt zgonu oraz nekrolog w gazecie. I tak oto dobiegło kresu jego śmiertelne życie, a zaczęła się nieumarła egzystencja.

Dopiero po kilku latach odkrył, że jego ostatnia rozmowa z poetą nie została przezeń zapomniana, a wręcz przeciwnie, pobudziła jego wyobraźnię. Głęboko wzburzony i poruszony tym, co usłyszał, poeta napisał dwa opowiadania, których tytułowi bohaterowie zadziwiająco przypominali Eshera. Rada Siedmiu zaniepokoiła się, że przez swą gadatliwość i niedyskrecję Esher mógł ściągnąć niebezpieczeństwo na przyszłość całego klanu, wszelako przekonał ich, że nie mają się czego obawiać. Bądź co bądź czytelnicy opowiadań spłodzonych przez poetę traktowali je jako fantazje, zmyślenia, wytwór wybujałej wyobraźni i nic więcej. Na dodatek problem alkoholowy poety czynił go niewiarygodnym w oczach tych, którzy mogliby próbować doszukiwać się prawdy ukrytej między wierszami. Tak czy siak, nikt nie traktował go poważnie. Poza tym, któż za dziesięć czy więcej lat będzie

pamiętać prozę wyszła spod pióra nałogowego alkoholika?

Minęło dziesięć lat, które Esher poświęcił na szlifowanie umiejętności okultystycznych, poznanych jeszcze za życia, stał się również adeptem taumaturgii. Zaskarbił sobie przychylność Siedmiu i został wybrany, aby wzmocnić potęgę klanu na terytorium Ameryki.

W roku 1848 ponownie wrócił w ojczyste strony, lecz jakże odmieniony. Przejął należną mu „schede” i jął wędrować wzdłuż Wschodniego Wybrzeża, od miasta do miasta, szpiegując konkurencyjne klany i zbierając informacje, które w późniejszym czasie mogły okazać się użyteczne. Podczas jednej z takich wypraw po raz ostatni natknął się na poetę. Wypatrzył go wytaczającego się chwiejnym krokiem z podejrzanej knajpy w równie podejrzanej dzielnicy miasta. Jego dawny przyjaciel był pijany w sztok i wyraźnie podupał ostatnio na zdrowiu. Esher postanowił pójść za swym niegdysiejszym druhem, który, jak się zdawało, kontynuował pijacki cug. Trzymał się wśród głębokich cieni, nie zdradzając swej obecności śledzonej ofierze ani mijającym go sporadycznie przechodniom. Większość ludzi szerokim łukiem schodziła poecie z drogi, gdy zataczając się, mamrotał do siebie, wykrzykiwał na całe gardło imię żony i przepitym, bełkotliwym głosem recytował fragmenty swoich wierszy.

Wszedł za ofiarą w zaułek i ze swej kryjówki patrzył, jak poeta opiera się o ścianę i hałaśliwie wymiotuje. Dopiero wtedy postąpił naprzód i poklepał dawnego kolegę ze studiów po ramieniu.

- Co z tobą, stary druho, dobrze się czujesz?

Poeta otarł wąsy i odwrócił się niepewnie, z trudem utrzymując się na nogach. Przez dłuższą chwilę przyglądał się Esherowi.

- Znam ten głos, a w każdym razie znałem!

- Obrażasz mnie, mój drogi! Czyżbyś mnie nie poznał?

Brwi poety złączyły się w jedną kreskę i nagle na jego obliczu odmalowało się głębokie zdumienie, wytrzeszczył oczy.

- Na Boga! A mówili, żeś umarł w Wiedniu na tyfus!

- Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co czytasz ani w to, co piszesz, stary druhu! -

Esher zachichotał i klepnął przyjaciela w plecy. - Chodź, napijmy się absyntu! Ja stawiam!

Mamy sobie tyle do opowiedzenia!

Z łatwością zaćmił umysły pozostałych klientów pijalni absyntu, gdyż w znacznej mierze były one już znieczulone alkoholem. Mimo to Esher nie chciał, by ktokolwiek zauważył, że ostatnie godziny swego życia poeta spędzał w towarzystwie kogoś więcej prócz zielonookiej wróżki. Poeta, pijąc, opowiedział Esherowi o swoim życiu lub raczej o tym, co zeń pozostało. Choć dzięki swej twórczości osiągnął niejaki sukces, padł ofiarą skandalu związanego z pewnym poetą, a proces o zniesławienie pozbawił go niemal wszystkich zgromadzonych przez lata oszczędności. Wkrótce potem na gruźlicę zmarła jego żona. Wrócił do miejsca, gdzie dorastał, w nadziei, że pokona nałóg alkoholowy i przez dłuższy czas nawet mu się to udawało. I wtedy przyjaciółka zaprosiła go na imprezę urodzinową. Popełnił błąd, wypijając toast za zdrowie gospodyni, zaczęło się od kieliszka sherry... Co było później, nie pamiętał.

Patrząc, jak poeta rozczuła się i szlocha nad kieliszkiem absyntu, Esher przez krótką chwilę zastanawiał się nad Przeistoczeniem go, lecz niemal natychmiast się zmiłgował.

Skoro poeta miałby zasilić szeregi Tremere, musiałby zostać przewieziony do Wiednia, a z całą pewnością nie doczekałby nawet wejścia na pokład statku płynącego do Europy. Po wtóre, nie przeszedłby rygorystycznego szkolenia niezbędnego dla wszystkich mających wstąpić do klanu magów krwi. Po trzecie i najważniejsze, poeta był zbyt wielkim

romantykiem i miał zbyt słabą wolę, by mógł zostać poddany Przemianie. Poza tym obdarzenie nieśmiertelnością artystów stanowiło raczej domenę klanów składających się z wyrzutków i degeneratów, takich jak Torreador. Dlatego też, gdy poeta doznał ataku i osunął się do rynsztoka, Esher zwyczajnie zostawił go tam, by skonał z wyziębienia. Miał ważniejsze sprawy.

To było sto pięćdziesiąt lat temu.

W następnych latach po swoim powrocie do Ameryki Esher zyskał pozycję Pontifexa Tremere na obszar Stanów Zjednoczonych. Jego potęga wzrastała z każdym mijającym pokoleniem, czyniąc go jednym z najbardziej szanowanych i budzących grozę Spokrewnionych w całych Stanach. Jednakże dopiero pięć lat temu, po powrocie na stare śmieci, odważył się dokonać najśmielszego ze swych dotychczasowych posunięć.

Umarłe Miasto stanowiło domenę wampira Sinjona od prawie dwóch stuleci. Sinjon był księciem Ventrue, klanu szczyłającego się arystokratycznymi korzeniami. Zamiarem Eshera było wkroczenie na jego terytorium, pozbawienie starego głupca władzy i ogłoszenie się księciem. Ponieważ prawo Tremere zabraniało masowego tworzenia „szczeniąt”, opracował plan usunięcia swego wroga z pomocą armii Spokrewnionych, utworzonej z „bezpiecznych” wampirów złączonych z nim Przysięgą Krwi. Na szczęście nie mógł narzekać na brak rekrutów.

Po I wojnie światowej liczba nieostrożnie wytworzonych nowicjuszy wzrosła pięciokrotnie. Nigdy dotąd nie było na świecie tak wielu nie wyszkolonych żółtodziobów, głównie za sprawą nowoczesnej technologii i odrzucenia przez ludzi wiary w zabobony. Większość dzieci nocy stanowiła owoc bezmyślnych uwiedzeń i choć dano im nowe życie, nie miały pojęcia o swym dziedzictwie. Wędrowały po ziemi, wieczne i samotne, w poszukiwaniu sensu swego istnienia. Esher zaś z niekłamaną radością próbował im go nadać.

Umarłe Miasto różniło się od innych od dawna martwych metropolii. Tutaj mógł działać jawnie, bez obawy, że zostanie wykryty przez ludzkie władze. Stale czujny i uważny, rozpoczął ożywioną kampanię przeciwko lokalnemu księciu. Otworzył Danse Macabre, gdzie ścigali zarówno niezrzeszeni Caitiffowie, jak i zbuntowani anarchiści; tych, którzy stali się nie - umarłymi niedawno, omotać było najłatwiej. Z tak żalosną desperacją poszukiwali kogoś, kto powiedziałby im, co mają robić i wyjaśnił zawiłości społeczności Spokrewnionych, że prawie natychmiast, bez zastanowienia zgadzali się na Przysięgę Krwi. Po trzykrotnym wypiciu jego krwi stawali się z nim związani, spokrewnieni więzią znacznie silniejszą aniżeli ta, która łączyła ich z pierwotnymi Ojcami. Od tej pory należeli do niego, umysłem, sercem i duszą - jeśli ją posiadali.

Esher uważał się za oddanego swemu klanowi. Wszystko, co zrobił od nocy swej Przemiany, uczynił dla dobra i rozwoju Tremere. Mimo to nawet najbardziej oddani synowie mogą zgrzeszyć przeciwko ojcu. Tak właśnie postąpił Esher, łamiąc jedno z najważniejszych praw swego klanu, zaczął tworzyć nowicjuszy bez zachowania rytuałów Tremere.

Jak wszyscy Spokrewnieni tworzył ich z miłości i osamotnienia. Pierwszą zmuszony był unicestwić. Zabronił jej tworzyć własne potomstwo, tak jak Siedmiu zakazało tego jemu, aż tu któregoś razu przyłapał ją na Przeistaczaniu jakiegoś śmiertelnika. Choć to przeppełniło go smutkiem, zmuszony był ją pożreć, odbierając dar nieśmiertelności, którym ją obdarzył. Odtąd nigdy więcej nie wymówił jej imienia, a jego słudzy mieli zakaz wspominania o niej pod groźbą śmierci.

Decima była jego drugą próbą. Natychmiast po Przemianie dopilnował, by złożyła Przysięgę Krwi, dzięki czemu pozbawił Decimę wolnej woli i zapewnił sobie całkowite posłuszeństwo. Obecnie zaś przygotowywał do Przeistoczenia nadobną Nikole. Po raz pierwszy dwa jego twory miały istnieć równocześnie.

Z zamyślenia wyrwały Eshera błyskające światła i cisza, która zapadła po wyłączeniu muzyki dyskotekowej. Wyprostował się i wychylił lekko do przodu. Za chwilę miało rozpocząć się Wyzwanie.

Mistrz Ceremonii, krępy wampir w czarnej sutannie i obwisłym berecie, uniósł obie ręce, uciszając publiczność. Trzymał w dłoni bezprzewodowy mikrofon, a jego grzmiący głos popłynął z rozwieszonych w sali głośników.

- Dobry wieczór, dzieci nocy, siostry i bracia wędrowcy, witajcie w Danse Macabre, najlepszym klubie w całym Umarłym Mieście! Przygotowaliśmy dla was moc nie lada atrakcji! Znajdzie się coś dla każdego z was! Oferujemy wam dawkę mocnego, krwawego sportu, piękne kobiety, atrakcyjnych mężczyzn i jedyny w swoim rodzaju taniec egzotyczny naszej małej, lecz jakże utalentowanej Nikoli! Nie chcę przedłużać wstępu, zaczniemy zatem wieczór od ostrego akcentu - Wyzwania!

Kurtyna za plecami Mistrza Ceremonii uniosła się, ukazując stojące pośrodku sceny dwie postaci - białą i czarną. Obie były nagie, z wyjątkiem skórzanych rękawic bojowych i ciężkich kajdan opasujących nadgarstki i kostki, połączonych łańcuchem ze stalowym pierścieniem w podłodze.

- Panie i panowie! Po lewej mierzący sześć stóp cztery cale, ważący dwieście trzydzieści trzy funty, budzący grozę, jedyny w swoim rodzaju Shald, grupa krwi AB minus! Trzy zwycięstwa! Po prawej, ważący dwieście dwadzieścia funtów śmiałek, przy wzroście sześć stóp i trzy cale, pretendent rzucający dzisiejsze Wyzwanie, Cro - Magnon! Grupa krwi 0 plus!

Na widok kolegi z gangu obecni w tłumie Pointersi wyraźnie się zaniepokoiili, żaden jednak nie powiedział ani słowa.

Wodzili wzrokiem od Cro - Magnona do Shalda, którego usta, za sprawą blizny

ciągnącej się od lewego policzka aż do miejsca, gdzie niegdyś znajdowała się małżowina uszna, wykrzywiał wiecznie drwiący grymas. Głowę miał ogoloną na łyso, zgolił również brwi. Gdyby przyrzeć mu się uważniej, można by stwierdzić, że na muskularnym ciele Afroamerykanina nie pozostał ani jeden włos.

Cro - Magnon, choć przecież nie ułomek, nie sprawiał równie porażającego wrażenia.

Na jego ciele widniał ogromny wielobarwny siniak, a prawa źrenica była rozszerzona i nieruchoma. Wydawał się oszołomiony i chwiał się na nogach. Jego penis zwisał jak biały pyton pomiędzy grubymi kolumnami ud. Obaj mężczyźni zaopatrzeni zostali w specjalne, nabijane ostrzami rękawice.

Shald uniósł najeżone brzytwami pięści nad głową, a drwiący grymas na jego ustach pogłębił się. Oczy pałały szaleńczym blaskiem. Wampiry na widowni zaczęły klaskać i wiwatować. Pointersi spoglądali posepnie na sponiewieranego wojownika, ale nie odezwali się ani słowem.

Mistrz Ceremonii skinął na kogoś za sceną i do sporego już hałasu dołączył jeszcze dźwięk dieslowskiego silnika. Spod sufitu zaczęła opuszczać się wielka metalowa klatka.

Pręty wydawały się zardzewiałe, choć wcale takimi nie były. Mistrz Ceremonii wyjął z szerokiego rękawa pęk kluczy, szybkim ruchem uwolnił obu zawodników z kajdan, po czym otworzył drzwi klatki. Gdy mężczyźni weszli do środka, dieslowski silnik zmienił bieg i zaczął unosić klatkę w górę, ponad parkietem do tańca.

Shald patrzył lodowatym wzrokiem na Cro - Magnona. Obaj zawodnicy ze wszystkich sił przytrzymywali się okrwawionych prętów klatki, aby zachować równowagę. Cro - Magnon wciąż kręcił głową, jakby rozpaczliwie usiłował odzyskać zdolność normalnego widzenia.

Mistrz Ceremonii uśmiechnął się, ukazując perłowobiałe kły.

- Zaczynamy? zapraszam do tańca!

Włączono ostrą muzykę techno, pulsujące, drapieżne dźwięki wypełniły wnętrze sali.

Shald dał susa ze swego narożnika, a jego zaopatrzone w ostrza pięści rozorały nagie ciało

Cro - Magnona. W powietrzu rozeszła się woń krwi nasyconej silnie adrenaliną. Goście klubu zebrani na parkiecie wydali przeciągły skowyt niepohamowanej rozkoszy.

Cro - Magnon trafił Shalda w szczękę, gładko pozbawiając go niemal całej górnej wargi. Czarny zatoczył się do tyłu, drwiący grymas na jego twarzy zmienił się w

karmazynowy uśmiech. Zanim Cro - Magnon zdążył nacieszyć się swym sukcesem, Shald chwycił swego przeciwnika za przyrodzenie i mocno szarpnął.

Cro - Magnon wrzasnął i odruchowo przyłożył dłonie do zranionego krocza. Shald

wykorzystał okazję, wymierzając oponentowi cios w nie osłoniętą twarz, a ostrza jego rękawicy prawie odcięły Cro - Magnonowi nos. Oczy wyszły nieszczęśnikowi z orbit, gdy

omal nie zadławił się krwią zalewającą mu zatoki. Widzowie poniżej ryknęli śmiechem i

wybuchnęli gromkimi okrzykami, walcząc między sobą o jak najlepszą pozycję pod klatką; głowy zadarli do góry i czekali z otwartymi szeroko ustami. Nawet kilku Pointersów

ogarniętych szalem krwi śmiało się i poklepywało nawzajem. Poza tym Cro - Magnona i tak nikt prawie nie lubił.

A biały olbrzym przegrywał i miał tego świadomość. Spróbował chwycić Shalda za

wygoloną męskość. Murzyn uchylił się, nie miał jednak dość miejsca, aby znaleźć się poza zasięgiem ramion przeciwnika. Shald zawył jak kastrowany byk.

Tłum wydał głośny okrzyk rozkoszy, gdy męskość Czarnego wylądowała na

parkiecie. Wywiązała się krótka bójka, kilka wampirów przez chwilę walczyło między sobą o smakowity kąsek.

Oszalały z bólu Shald bezlitośnie jął okładać Cro - Magnona po twarzy, uszkadzając



mu oczy i orząc głębokie, krwawe bruzdy na jego czole i kościach policzkowych. Krew lała się z zawieszanej pod sufitem klatki szkarłatnymi struzkami, zbryzgując tańczące pod nią dziko wampiry.

Oszalały i śmiertelnie ranny Cro - Magnon odsłonił przed Shaldem gardło w ceremonialnym geście poddania. Zabójcze cięcie było szybkie - i w porównaniu z tym, co przeszedł wcześniej, względnie bezbolesne. Cro - Magnon runął na siatkową podłogę klatki, a z rozplątanej tętnicy jego życiodajna krew tryskała na tancerzy poniżej. Ostatnią jego myślą było, że może, ale tylko może, nie skończyłby w ten sposób, gdyby umiał czytać.

Klatka została opuszczona na scenę, gdzie obok Mistrza Ceremonii pojawił się mężczyzna w białym kitlu i z torbą lekarską w dłoni. Gdy żądza zabijania prysła, Shald zaczął odczuwać ból wywołany utratą męskości. Osunął się na zwłoki Cro - Magnona, jego oczy przeszklily się, gdy zacisnął palce na stygnącym ciele przeciwnika. Dreszcze wywołane szokiem sprawiały, że wyglądał, jakby opłakiwał śmierć oponenta.

Weterynarz wszedł do klatki i kucnął obok okaleczonego wojownika. Spojrzał na Mistrza Ceremonii i pokręcił głową. Tak czy inaczej będzie to ostatnia walka Shalda. Mistrz Ceremonii postąpił naprzód, gwałtownymi ruchami rąk uciszając podekscytowaną publiczność.

- Panie i panowie, do was kieruję to pytanie: Co mamy uczynić z naszym dzielnym zawodnikiem? Decyzja należy do was. Czekam!

Przez chwilę panowała kompletna cisza, aż wreszcie publiczność odpowiedziała jednogłośnie gromkim, niemal melodyjnym zaśpiewem:

- JEDEN Z NAS! JEDEN Z NAS! JEDEN Z NAS!

Mistrz Ceremonii pokiwał głową ze zrozumieniem i odwrócił się, by spojrzeć na balkon Eshera. Pan wampirów westchnął, wstał i oparł się o barierkę.

Publiczność na parkiecie, zarówno ludzie, jak i Spokrewnieni, unieśli głowy i zaczęli skandować:

- ESHER! ESHER! ESHER!

- Milordzie? Jaka decyzja? - zapytał Mistrz Ceremonii.

Esher spojrzał na konającego mistrza i skinął głową. Publiczność zareagowała spontaniczną wrzawą. Weterynarz włożył stetoskop do kieszeni i schował strzykawkę z przygotowaną uprzednio trucizną do czarnej torby.

- Zrób to - rozkazał Esher.

Weterynarz zatopił kły w szyi Shalda, obdarzając go nagrodą, której pragnęli wszyscy mistrzowie wchodzący do klatki - nieśmiertelnością.

Esher odwrócił wzrok, był tym już znudzony.

- Nie sądzę, aby Shaldowi spodobała się wieczność bez małego - rzuciła kąśliwie

Decima.

- A na co mu on? - odparł Esher, wzruszając ramionami. - Stanie się Spokrewnionym.

- Stare przyzwyczajenia trudno wykorzenić. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek, panie.

Esher zeszywniał i łypnął gniewnie na przyboczną.

- Licz się ze słowami, dziecino, jeśli chcesz zachować głowę na karku!

Decima potulnie spuściła wzrok, ale nie wyraziła skruchy. Esher postanowił, że dopilnuje, aby została przykładowo ukarana za swą zuchwałość, po czym ponownie skierował wzrok ku scenie.

Danse Macabre przyciągał niezrzeszone wampiry, aby mogły zasilić szeregi jego najemnej armii, lecz prócz tego pełnił jeszcze jedną funkcję. W dawnych czasach Spokrewnieni wykorzystywali do swoich celów wyrzutków społeczeństwa oraz pariasów, takich jak np. Cyganie. Po II wojnie światowej Cyganów zostało niewiele i nazbyt rzucali się

w oczy. Na szczęście koniec XX stulecia obdarzył Spokrewnionych zbuntowanymi cynicznymi nastolatkami, których pełno było na ulicach amerykańskich i europejskich miast. Nie mieli oni skrupułów i zawsze byli gotowi zdradzić swoich pobratymców w nadziei, że dana im będzie władza i potęga Spokrewnionych. Niekiedy ich gorliwość i oddanie były tak wielkie, że rekrutowali nawet swoich przyjaciół oraz członków rodziny. Obecnie w klubie aż roiło się od tego typu Judaszów, pragnących zaznać smaku zakazanych rozkoszy.

Esher po długim czasie odkrył, że najlepszym sposobem na zaskarbienie sobie u ludzi oddania jest schlebianie ich najniższym gustom i zaspokajanie wszelkich nałogów. Narkotyki, alkohol, seks i przemoc stanowiły narzędzia, których używał najczęściej, aby pozyskać kolejne osoby. Nawet widok innego człowieka mordowanego na ich oczach nie był w stanie wzbudzić wątpliwości co do słuszności zawartego paktu.

Kurtyna znów poszła w górę i tym razem oczom zgromadzonych ukazała się miękko wyściełana sofa wyposażona w skórzane pasy i strzemiona podobne do tych, w które zaopatrzony jest fotel ginekologiczny. Z boku sceny stał przezroczysty obrotowy bęben wypełniony plastikowymi numerowanymi kartami.

- A teraz pokaz specjalny z udziałem wybrańca wylosowanego z naszej drogiej publiczności! - oznajmił Mistrz Ceremonii i wykonał zamaszty gest rękaw kierunku kulis. Dwaj Pointersi przywlekli na scenę szamoczącą się rozpaczliwie kobietę. Miała na sobie drogi, choć wcale nie rewelacyjny komplet - żakiet i spódnicę, na głowę zarzucono jej poszewkę z poduszki. Mistrz Ceremonii podszedł i jednym ruchem zdarł poszewkę, odsłaniając zmierzwiłone jasne włosy i przerażoną twarz niebrzydkiej sekretarki po trzydziestce. Kobieta próbowała krzyczeć, lecz tkwiący w jej ustach knebel skutecznie to uniemożliwiał.

Sekretarka została zaciągnięta na sofę. Gdy oprawcy próbowali ją zmusić, by na niej

usiadła, kobieta doznała wywołanego paniką przypływu sił i kopnęła jednego z nich, na tyle mocno, że zmuszony był ją puścić. Zaskoczyła swoim zachowaniem drugiego z oprawców, wyrwała mu się i pobiegła w stronę najbliższych drzwi.

Wtem tuż przed nią pojawił się Mistrz Ceremonii. Chwyciwszy za rękaw żakietu, drugą ręką uderzył ją na odlew z taką siłą, że zatoczyła się w tył. Straciła równowagę i upadła oszołomiona na podłogę. Dwaj oprawcy bezceremonialnie chwycili ją pod ramiona, zawlekli na sofę, po czym brutalnie pozbawili najpierw knebla, a następnie ubrania.

Pointersi znajdujący się wśród publiczności zaczęli głośno tupać i pohukiwać.

- ŁUP ŁUP! ŁUP ŁUP!

Po rozebraniu i spętaniu ofiary dwaj Pointersi podeszli do obrotowego bębna. Jeden z młodych opryszków zakręcił korbą, przy wtórze puszczonego z taśmy głośnego terkotu i brzęku cymbałów; jego kompan uniósł klapę bębna i sięgnąwszy do środka, wyjął jedną z plastikowych kart i podał Mistrzowi Ceremonii.

- Dzisiejszym zwycięzcą jest numer... 467!

Nastąpiła krótka cisza, podczas gdy obecni wśród publiczności ludzie sprawdzali numery na swoich biletach, po czym rozległ się ochrypły ryk triumfu. Pointer z pajęczyną wytatuowaną na potylicy zaczął przepychać się w kierunku sceny z uniesionymi w górę pięściami, a kumple, których mijał, poklepywali go po plecach.

- Ty to masz fart, Webb! - rzucił jeden z nich, szturchając go w ramię.

Zanim Webb dotarł do sceny, aby odebrać swą nagrodę, znudzony Esher wrócił już na swoje miejsce. Coś go niepokoiło, ale nie potrafił tego sprecyzować. Gdy sekretarka ocknęła się i, ujrawszy nad sobą Webba, zaczęła krzyczeć, skinął na Decimę, przywołując ją do siebie.

- Powiedziałaś, że Cavalera dostał nożem. Czyja to robota?

- Cro - Magnon twierdził, że załatwił go ten stary, choć po wysłuchaniu jego wersji wypadków wydaje się to raczej niemożliwe. Cavalere mógł pchnąć nożem ten dzieciak, choć w gruncie rzeczy też szczerze w to wątpię.

- A to dlaczego?

- Widziałam zwłoki Cavalery. Jego klatka piersiowa była mocno posiniaczona, miał kilka złamanych żeber - jak gdyby ten, kto wbił mu nóż, użył w tym celu drewnianego młotka. Możliwe, że zginął z ręki człowieka, choć ja osobiście raczej to wykluczam.

- Sądzisz, że zabił go jeden z potomków Sinjona? Ale dlaczego? Po co któryś z nich miałby przyjść z pomocą ludzkiemu dziecku i jakiemuś staruchowi?

Decima wzruszyła ramionami, wpatrywała się z uwagą w rozgrywający się poniżej rytualny gwałt.

- Sinjon to twój wróg. Ktokolwiek zabił Cavalere, uczynił to z uwagi na jego przynależność do Pointersów, a nie dlatego, że chciał pomóc dzieciakowi - bez wątpienia to robota jakiegoś żółtodzioba, który uznał, że mordując twego sługę, zostanie nagrodzony przez swego pana.

Esher pokiwał głową. To brzmiało sensownie. Usiadł wygodniej, w zamyśleniu gładząc się po podbródku.

- Cavalera był załosnym idiotą, lecz jego śmierć stanowi ujmę na mym honorze. Nie może pozostać nie pomszczony. Poza tym Pointersi z pewnością oczekują po mnie błyskotliwej akcji odwetowej. Jutrzejszej nocy dokonasz zemsty, zabijając jednego z członków Black Spoons.

Esher skierował wzrok ku scenie. Webb właśnie podciągnął spodnie. Sekretarka miała posiniaczoną twarz, rozkrwawione wargi, a oczy podpuchnięte i załzawione. Webb zrobił perskie oko, uśmiechnął się półgębkiem do kompanów zebranych pod sceną i uniósł dłoń z

odgiętym pionowo kciukiem. Tłum zaryczał jak głodny zwierz, znów dało się słyszeć synchroniczne tupanie i klaskanie.

- ŁUP ŁUP - PO ŁBIE! ŁUP ŁUP - PO ŁBIE!

Zjawił się Mistrz Ceremonii, niosąc tarczę, na której leżał zestaw najróżniejszych tępokrawędzistych narzędzi, począwszy od gazrurki, poprzez łom, po ucięty kij baseballowy.

Webb przez chwilę przyglądał się kolekcji, po czym wybrał z niej tradycyjną stalową rurkę wypełnioną ołowiem.

- ŁUP ŁUP - PO ŁBIE! ŁUP ŁUP - PO ŁBIE!

Sekretarka wiedziała, co ją czeka, lecz nie stawiała oporu ani nie błagała o litość.

Zewsząd otaczały ją potwory - ludzkie i nie tylko - i zdała sobie sprawę z beznadziejności sytuacji, w której się znalazła. Zamiast krzyczeć, odwróciła jedynie głowę i zamknęła oczy.

Po pięciu uderzeniach z jej czaszki niewiele pozostało. Zadowolony, że skończył, Webb uniósł w górę okrwawione narzędzie. Pointersi zareagowali gromkim aplauzem. Publiczność zaczęła bić brawo.

Webb zeskoczył ze sceny. Natychmiast otoczyli go kumple z gangu, pragnący pogratulować mu udanego występu. Zespół czyszcicieli błyskawicznie usunął ciało sekretarki, wynosząc je za kulisy. Ich zadaniem było dopilnowanie, aby wszelkie detale mogące przyczynić się do identyfikacji zwłok zostały usunięte, zanim ciało, naturalnie odpowiednio obciążone, znajdzie się na 'nie rzeki. Esher nie zachowywał tak dalece posuniętej ostrości w stosunku do każdej z „nagród”, jedynie względem \których zniknięcie mogło zostać zauważone.

Światła przygasły, a metaliczna, pulsująca muzyka w jednej chwili ucichła jak ucięta nożem. Esher wychylił się do przodu na swoim tronie, zaciskając silne palce na drewnianych poręczach. Jego uwaga skupiła się obecnie na pociemniałej scenie poniżej. Wampiry i ludzie

kłębiący się na parkiecie umilkli, ucichły rozmowy, a po chwili z głośników dobiegły pierwsze takty ścieżki dźwiękowej autorstwa Philipa Glassa do *Mishimy*. Na scenie pojawił się splachetek niebieskiego światła, a w jego centrum ukazała się leżąca na deskach sceny samotna postać.

Była to kobieta w klasycznej, białej, zwiewnej spódnicy baletnicy. Nosila pod nią biały satynowy trykot i rajstopy, podkreślające jej wysportowaną sylwetkę. Na nogach miała krwistoczerwone baletki, których wstążki związane były w wykwintny sposób poniżej kolan. Włosy miała upięte w luźny kok, opadający niczym jedwabista chmura na jej odsłonięty kark. Skóra, i tak już blada, rozjaśniona została jeszcze bardziej grubą warstwą białej pasty oraz talku.

Gdy muzyka przybrała na sile, tancerka powoli, jakby z rozmarzeniem uniosła głowę, lustrując wzrokiem publiczność. Oczy podkreśliła mocnymi czarnymi kreskami na modłę egipskich księżniczek, usta jej miały barwę soczystego szkarłatu.

Nikola powiodła wzrokiem po uniesionych w górę twarzach, niektóre z nich były blade, niektóre ludzkie, wszystkie zaś mocno wygłodniałe i wszelkie wątpliwości wypełniające jej umysł prysły jak mydlana bańka.

Miała publiczność. Pora zatańczyć.

Poruszając się z gracją dzikiej kotki, Nikola uniosła ręce, ukazując widzom wenflony tkwiące w jej żyłach. Kołysząc się w rytm muzyki, powoli odkręciła oba zawory. Kilka wampirów aż westchnęło z podniecenia, gdy powietrze wypełniła woń krwi. W miarę jak muzyka stawała się coraz gwałtowniejsza, tempa nabierały także jej ruchy, miękkie pas ustąpiły miejsca piruetom, arabeskom i *grand jetes*. Wykonywała kolejne skoki miękko niczym młoda gazela, krążyła od jednego końca sceny do drugiego, a jej krew karmazynowymi łukami tryskała w tłum.

Pointersi zazwyczaj uważali taniec Nikoli za nudny, a nawet odrażający, lecz oglądali występ, aby nie narazić się Esherowi. Dla odmiany Spokrewnieni jak zawsze stłoczyli się przy scenie, ich ciemne jak wino oczy błyszczały w pełnym niepokoju wyczekiwaniu. Dla istot od dziesiątków, a niekiedy nawet setek lat pozbawionych ludzkiej seksualności był to najdoskonalszy odpowiednik tańca erotycznego. Doznanie nie mające sobie równych. Ci, którym się poszczęściło i zostali zroszeni jej krwią, jęczeli i kołysali się w ekstazie, zlizując z palców krople drogocennego płynu.

Nikola miotła się po scenie niczym derwisz, a towarzysząca jej muzyka nieuchronnie zbliżała się do kulminacji. Gdy tancerka wykonała ostatni piruet, potknęła się i omal nie upadła. Jej nieskazitelna jeszcze przed chwilą spódniczka i rajstopy nasiąkły czerwienią tak mocno, że nie sposób było rozróżnić, gdzie kończyła się plama krwi, a zaczynały wiązania baletek. Upadła na scenę, jej piersi unosiły się i opadały ciężko, gdy Nikola łapczywie chłonęła kolejny haust powietrza. Woń krwi była tak silna, tak zniewalająca, że nawet Esher poczuł narastające podniecenie.

Sądząc po odgłosach z dołu, podobnie było z wieloma widzami na parkiecie.

Jeden z wampirów, anarchista w kraciastej koszuli i baseballowej czapeczce założonej daszkiem do tyłu, wskoczył na scenę i obnażył kły w nadziei rychłego zaspokojenia swego głodu.

Publiczność wydała przeciągłe westchnienie, gdy Esher zeskoczył ze swojej łoży na wybieg. Zacisnął palce na szyi anarchisty i bez wysiłku dźwignął go w górę jak psotnego szczeniaka.

- Nie unicestwię cię, żółtodziobie, gdyż jesteś w Umarłym Mieście nowy i nie znasz jeszcze panujących tutaj zasad! Zapamiętaj sobie raz na zawsze - ta kobieta, Nikola, należy do mnie! Jest moja i tylko moja! Czy wyraziłem się jasno?



- T - tak, panie.

Esher, usatysfakcjonowany, cisnął młodego wampira z powrotem w tłum. Odwracając się plecami do ludzi i wampirów na parkiecie, pochylił się, aby podnieść Nikole ze sceny. Wziął ją delikatnie na ręce i zamknął otwarte zawory. Nikola przytuliła głowę do jego piersi, jej oblicze było nieruchome i doskonałe jak twarz porcelanowej lalki.

### **ROZDZIAŁ 3**

Ojciec Eamon przerwał modlitwę i uniósł wzrok, gdy rozległ się pierwszy krzyk. Zmrużył oczy, usiłując oszacować odległość i kierunek, skąd dochodził. W migotliwym blasku wotywnych świec cienie otaczające gipsowe figury świętych falowały i kołysały się niemal bez przerwy. We wnętrzu kościoła św. Everhilda każdy dźwięk rozbrzmiewał gromkim echem i nawet po tylu latach kapłan wciąż miał kłopot z określeniem źródeł hałaśliwych odgłosów napływających z ulicy. W gruncie rzeczy nie miało to większego znaczenia. Po zmierzchu i tak nigdy nie opuszczał świątyni.

Jego kolana skrzypnęły, gdy podnosił się od barierki, przy których się modlił, różaniec zwieszający się pomiędzy palcami zakołysał się niczym ciesielski pion. Nie było jeszcze takiej nocy, aby mszy nie zakłóciły dochodzące z zewnątrz przeraźliwe wrzaski lub terkot broni maszynowej. Skoro jednak drzwi do świątyni zostały przez niego solidnie zabarykadowane, czyż miało to jakiegokolwiek znaczenie? Z całą pewnością nie dla archidiecezji, która wiele lat temu zniosła beatyfikację Św. Everhilda. Może raczej należałoby powiedzieć - wykreśliła go ze swoich rejestrów, wymazała na zawsze. Parafia jako taka przestała istnieć, pozostały po niej tylko plotki, stała się jeszcze jedną miejską legendą. Po raz pierwszy usłyszał o „parafii potępionych” jeszcze w seminarium, gdzie opowiadano o niej po kryjomu i szeptem, który rezerwuje się zazwyczaj na obozowe „upiorne historie” przy ognisku. Nie wiedział jeszcze wtedy, że któregoś dnia odnajdzie ją i obejmie w

niej posługę.

Skrzywił się, gdy ostry reumatyczny ból przeszył mu prawe kolano. Spanie na stercie szmat w nie ogrzewanym pokoju z ciekącym dachem nie wpływało korzystnie na jego stan zdrowia, on jednak nie miał możliwości - ani ochoty - aby zamieszkać gdzieś indziej.

Kuśtykając wzdłuż wąskiego przejścia, spojrzął na rząd ciężkich drewnianych ławek, wywróconych jak kostki domina i w duchu postanowił, że je wyprostuje, a rozrzucone na posadzce modlitewniki oczyści z kurzu i poukłada na pulpitach. To, że św. Everhild został odrzucony przez Kościół, nie oznaczało, że Bóg także o nim zapomniał.

Kiedy ojciec Eamon dotarł do schodów wiodących na dzwonnice, wrzaski jeszcze bardziej przybrały na sile. Wydawało się, że dochodziły od strony Czarnej Łoży. Ojciec Eamon zawahał się przez chwilę, po czym zaczął wspinać po skrzypiących drewnianych schodach. Maszerując pod górę po wąskich, zakurzonych stopniach, wiedział, że niewiele jest w stanie uczynić, by powstrzymać to, co działo się na zewnątrz. Może na tym polegała jego kara - miał być świadkiem niezliczonych przerażających wydarzeń i pozostać biernym.

Kiedyś, dawno temu szatan oszukał go, pozwalając myśleć, że działał jako narzędzie Pana. Przez swą grzeszną pychę zasłużył jedynie na posługę przed ołtarzem kościoła Św. Everhilda. Sieknąwszy głośno, uniósł klapę znajdującą się w podłodze dzwonnicy. W ostatnich dziesięciu latach jego skądinąd dość rzadkie wejścia na dzwonnice stanowiły jedyny odpowiednik wieczornej przechadzki. Wiszące tu niegdyś dzwony zniknęły, zanim jeszcze tu przybył, ale sądząc po grubości lin i rozmiarach jedyne pozostałego serca, musiały być naprawdę imponujące. Wieżyczka miała skierowane w cztery strony świata cztery wąskie okna, z których rozciągał się widok na całe Umarłe Miasto. Stojąc na dzwonnicy, kapłan mógł swobodnie obserwować, co działo się w jego „parafii”.

Na wschodzie płynęła rzeka, połyskując w światłach miasta ciemną czerwienią

burgundzkiego wina. Na północy rozciągało się terytorium Pointersów. Na południu znajdowała się Ulica Bez Nazwy, nieoficjalna strefa neutralna dla całej okolicy, przy której mieściło się kilka ostatnich sklepików i składów. Na zachodzie zaś, niemal dokładnie naprzeciw kościoła św. Everhilda, wznosiła się Czarna Loża.

Ojciec Eamon nie miał pewności, co było pierwsze, kościół czy loża wolnomularzy.

Jedno i drugie wydawało się dość stare. Być może Zakon postanowił wznieść świątynię w odwecie za antypapieską bigoterię wolnomularzy. A może to masoni zbudowali swą lożę, by zrobić na złość papieżowi. W Umarłym Mieście jedynie Sinjon wiedział, jak było naprawdę, a ojciec Eamon nie zamierzał go o to pytać.

Kapłan spojrział na ulicę w dole i dostrzegł źródło przeraźliwych krzyków. W blasku księżyca błysnęła szczerząca zęby trupia czaszka Spoonsów; opryszek w skórzanej kurtce z charakterystycznym emblematem na plecach przyłożył rewolwer do skroni wrzeszczącej przeraźliwie dziewczyny. Jego rozdygotana ofiara musiała być prostytutką lub nieświadomą zagrożenia turystką, która przez pomyłkę zawędrowała w tę okolicę, gdyż mieszkańcy Umarłego Miasta mieli dość oleju w głowie, by dla własnego bezpieczeństwa po zmierzchu nie opuszczać zajmowanych przez siebie domów oraz mieszkań.

Nagle jakiś ruch w uliczce naprzeciwko przykuł uwagę kapłana. Duchowny odwrócił wzrok od rozgrywającej się poniżej sceny usiłowania gwałtu i spojrział w tamtą stronę.

Rozległ się cichy trzask przypominający energiczne zamknięcie książki w twardej oprawie i opryszek w kurtce Black Spoons zeszytniał, a potem wygiął się w łuk, jakby coś ugryzło go w plecy. Upuścił broń, zapominając o swej ofierze i sięgnął ręką do tyłu, usiłując wyrwać bełt z kuszy, który wbił mu się w kręgosłup, zaraz jednak, charcząc, osunął się na ziemię. Kobieta spojrzała na leżącego u jej stóp napastnika, po czym skierowała wzrok w stronę, skąd nadleciał pocisk. Zanim zdążyła podziękować swemu wybawcy, dał się słyszeć kolejny trzask

i drugi bełt przeszył jej gardło, przyszpilając dziewczynę do ściany jak motyla.

Choć ojciec Eamon nie widział osoby, która oddała oba strzały, jej drwiący śmiech rozdarł ciszę nocy, a duchowny zadygotał mimowolnie; jego ciało w jednej chwili zrosiły krople zimnego potu. Przeżegnał się i pospiesznie odmówił modlitwę za umarłych. Zaraz potem zszedł szybko po schodach do względnie cieplejszego pomieszczenia świątyni. Nie chciał myśleć o tym, co ujrzał przed chwilą, ale odniósł niepokojące wrażenie, że był to początek czegoś naprawdę paskudnego, nawet jak na tutejsze standardy. Z tego, że sługa Eshera odważył się zabić poddanego Sinjona i to na jego terenie, nie mogło wynikać Nic Dobrego.

Ból w nodze był tak silny, że aż zamgliło mu wzrok. Sięgnął za pulpit i wydobyl stamtąd butelkę „żółtego” burbona. Przeklinając w duchu swą słabość, pociągnął długi łyk. Wywołane przez alkohol palenie w żołądku było niemal równie silne jak trawiące go poczucie winy. Pierwszy łyk był zawsze najgorszy. Wywoływał wyrzuty sumienia. Później z wolna zaczynały one słabnąć i odchodzić w cień, podobnie jak jego wspomnienia i ból. Usiadł w ławce, jedynej, którą podniósł i ustawił prosto w ciągu dziesięciu lat, odkąd zjawił się w tej świątyni, kładąc bolącą i wyprostowaną w kolanie nogę na twardym drewnianym siedzeniu. Gdy tani burbon przyćmił mu zmysły, postanowił, że weźmie się wreszcie w garść i poustawia prosto wszystkie pozostałe ławki.

Jutro.

Ryan bardzo starał się być cicho. Cloudy zabronił mu zakłócać sen dziwnej damy. W gruncie rzeczy byłoby to trudne, przecież ta kobieta nie żyła. No może nie do końca, nie jak szczur, którego pewnego dnia Ryan znalazł w zaułku. Dziwna dama, która pomogła jemu i Cloudy'emu, należała do Spokrewnionych. Była jedną z nich. Poniekąd. Kiedy Ryan obudził się tego popołudnia, Cloudy wyjawiał mu to, dodając, że dziwna kobieta nie była taka jak inne

wampiry w Umarłym Mieście. Chłopiec nie wiedział, co ma o tym myśleć, skoro jednak

Cloudy tak mówił, to znaczy, że tak właśnie było.

W mniemaniu Ryana Cloudy wiedział wszystko. Niekiedy zastanawiał się, czyjego prawdziwy tato był równie mądry i dobry jak Cloudy; w głębi serca wątpił w to, w przeciwnym razie mama nie zechciałaby się z nim rozstać.

Ryan wciąż myślał o matce. Bywało, że śnił o czasach przed nadejściem potworów.

Zanim przyszły i ją zabrały. Sporo wtedy podróżowali, przenosili się od jednej taniej wynajętej klitki do drugiej. Jego matka przesypiała całe dni, a nocami pracowała, wskutek czego Ryan spędzał mnóstwo czasu z opiekunkami. Jeśli mama nie była w stanie załatwić nikogo, kto zostałby z nim przez cały wieczór, zamykała go w mieszkaniu samego. Ryan bardzo szybko nauczył się dbać o siebie. Zanim skończył trzy latka, umiał już zadzwonić pod 911 i podgrzać burrito w mikrofalówce. Większość czasu spędzał przed telewizorem, oglądając kolejne programy i oczekując powrotu matki. Gdy już przyrządziła sobie coś do jedzenia, czytała mu bajki *O ciekawskim Jasiu i jego rowerku* lub *M ały Michaś i czarodziejska łopatka*. Potem oboje kładli się spać. Do niedawna Ryan sypiał ze swoją mamą. Nikola z trudem wiązała koniec z końcem, zarabiała tyle, że ledwie starczało im na wyżywienie, zalegała z czynszem, ale Ryan o tym nie wiedział. Dla niego ich życie było normalne i szczęśliwe.

I wtedy zjawily się potwory.

Ryana wciąż męczyły związane z nimi koszmary. Było tuż przed świtem, chłopiec i jego matka położyli się właśnie do łóżka - ze względu na jej pracę spali zwykle do drugiej lub trzeciej po południu - gdy rozległ się przeraźliwy trzask i drzwi wejściowe do ich mieszkania otwarły się na oścież, a do środka wpadła grupa dziwnie ubranych mężczyzn i groźnie wyglądająca kobieta. Mama Ryana krzyknęła do syna, aby uciekał, lecz on był zbyt

przerażony i nie chciał jej opuścić, ścisnął więc tylko jej dłoń i trzymał mocno.

Groźnie wyglądająca kobieta wskazała na matkę chłopca, a mężczyźni zaczęli zwlekać ją z łóżka. Ryan wciąż trzymał matkę za rękę, więc pociągnęli i jego. Kobieta chwyciła go i rozdzieliła z matką, a następnie złapała za włosy i spojrzała na niego jak na odrażającego robaka. Ryan krzyknął, bardziej ze strachu niż z bólu, jego matka wyrwała się oprawcom, uderzyła groźnie wyglądającą kobietę, wykrzykując brzydkie słowa i kategorycznie nakazała jej puścić malca.

Kobieta o groźnym wyglądzie tylko się roześmiała i smagnawszy ręką na odlew, odrzuciła matkę chłopca na łóżko. Cios, zadany jakby od niechcenia, okazał się bardzo mocny.

Ryan za bardzo się bał, aby próbować walczyć, rozplakać się czy zrobić cokolwiek innego, wpełzł tylko pod kanapę, jak to miał w zwyczaju, gdy nocne filmy w telewizji były dla niego zbyt straszne. Najwyraźniej nikt tego nie zauważył. Mężczyźni pochwycili jego matkę i wynieśli ją z mieszkania, a groźnie wyglądająca kobieta podążyła za nimi. W chwili, gdy miała zamknąć za sobą drzwi, odwróciła się, spojrzała w miejsce pod sofą, gdzie ukrywał się Ryan i uśmiechnęła się. Właśnie wtedy chłopiec ujrzał jej ostre, spiczaste zęby i czerwone oczy. Zrozumiał wówczas, że jego mama została uprowadzona przez potwory.

Policjanci, w przeciwieństwie do tego, co pokazują w telewizji, w ogóle się nie zjawili i dzień lub dwa później malec pojął, że jego mama nie wróci. W tej sytuacji Ryan spakował swoje rzeczy - a nie miał ich wiele, ot, kilka ubrań i parę plastikowych żołnierzyków - po czym wybrał się na poszukiwanie matki na ulice Umarłego Miasta.

Przez większość czasu unikał członków młodzieżowych gangów, wybierał resztki z koszy i pojemników na śmieci oraz poszukiwał dla siebie bezpiecznej kryjówki. Był mały, nie miał więc trudności z wślizgiwaniem się do otworów i nisz, do których nigdy nie zajrzałyby

żaden dorosły.

W przeciwieństwie do większości mieszkańców Umarłego Miasta Ryan przemieszczał się wyłącznie nocami. Tylko wówczas mógł zobaczyć matkę. Nabrał niezłej wprawy w zakradaniu się na terytorium Pointersów, doświadczał nawet osobliwej ekscytacji wywołanej świadomością, że kolejny raz przechytrzył swoich wrogów i zdołał się im wymknąć. Jak w grze.

Tylko że to nie była gra. Tu chodziło o przetrwanie.

Ryan mieszkał na ulicy od kilku tygodni, kiedy spotkał Cloudy'ego. W Umarłym Mieście było kilka osób, które pozostawiały pod domami resztki jedzenia i stare ubrania. Mimo iż wiedział, że są przeznaczone dla niego, zachowywał daleko posuniętą ostrożność, czekał, aż w pobliżu nie będzie nikogo i dopiero wtedy podbiegał, aby je zabrać. Któregoś dnia, gdy żarłocznie pożerał napoczętą kanapkę z sałatką z kurczaka, drzwi za nim otworzyły się i silne męskie ręce, pochwycając go wpół, wciągnęły do środka.

Pierwszym odruchem Ryana było pragnienie ucieczki; zaczął wierzgać nogami i krzyczeć, gryzł opasujące go ręce, aż w końcu rozluźniły uścisk. Ryan chyłkiem przebiegł przez pokój, rozpaczliwie wypatrując miejsca, gdzie mógłby się schronić, aż w końcu wpełzł pod stół. Łypnął spode łba na siwobrodego mężczyznę w ręcznie farbowanej koszulce, stojącego pomiędzy nim a drzwiami. Ryan obejrzał w telewizji dostatecznie dużo filmów, by wiedzieć, że ma do czynienia z hipisem.

- Do licha, chłopcze! Chciałem ci tylko pomóc, to wszystko! Nie musiałeś gryźć mnie tak mocno! - rzekł, wysysając krew z rany.

Brodacz nie wyglądał zbyt groźnie, ale Ryan nauczony smutnym doświadczeniem wiedział, że w Umarłym Mieście nie wszystko było tym, czym się wydawało. Wyraz gniewu odpłynął z twarzy hipisa, gdy mężczyzna uważniej przyjrzał się Ryanowi.

- Jezu, dzieciaku! Widywałem koty dachowce, które były grubsze od ciebie! Wybacz, jeżeli cię przestraszyłem, nie chciałem tylko, żebyś mi uciekł, kapewu? Obserwowałem cię już od pewnego czasu, naturalnie z daleka i zaniepokoiło mnie, że taki malec jak ty wałęsa się samotnie po mieście. Gdzie jest twoja mama, chłopcze?

- Potwory ją zabrały.

- Potwory? Jakie potwory?

- Z gwiazdami. Brodacz skrzywił się.

- Twoja stara jest cizią Eshera?

- Moja mama wcale nie jest stara!

- Wiem, wiem, mały. To tylko takie określenie, zresztą nieważne.

W brodaczu było coś, co spodobało się Ryanowi. Może polubił go dlatego, że mężczyzna przypominał Tima Wykidajłę, pracującego w jednym z klubów, gdzie tańczyła matka. Tim także miał brodę, choć nie tak długą i siwą jak hipis, i również nosił farbowane koszulki. Miał także skórzaną kurtkę i jeździł na motocyklu. Mama powiedziała Ryanowi, że Tim Wykidajło to anioł, chociaż chłopiec nigdy nie dostrzegł u niego skrzydeł ani aureoli. Może ten człowiek również był aniołem.

Nie obawiając się już ataku, Ryan po raz pierwszy rozejrzał się bacznie dokoła i stwierdził, że w pomieszczeniu było mnóstwo książek. Powoli wypełził spod stołu, kręcąc głową.

- Czy te wszystkie książki są pańskie?

- Tak. Lubisz książki, chłopcze?

Ryan energicznie pokiwał głową. Na widok znajomej okładki aż wybałuszył oczy.

Sięgnął po egzemplarz *Przygód kaczków* i trzymał przez chwilę w dłoniach jak cenny skarb. W jego oczach pojawiły się wesołe iskierki. Sprawiał wrażenie, jakby spotkał właśnie



starego przyjaciela.

- Miałem tę książkę! Mama czytała mi ją przed snem.

- Chciałbyś ją poczytać, chłopcze?

- Ja... jeszcze nie umiem czytać.

Brodacz uśmiechnął się i skinął na Ryana, aby podał mu książkę.

- Nie ma sprawy. Jeżeli tylko zechcesz, ja ci ją przeczytam.

Ryan spojrział na hipisa, na książkę i ponownie na siwobrodego.

- Mam na imię Ryan.

- Cześć, Ryan. Kumpie mówią na mnie Cloudy.

Ryan zachichotał. Śmiał się po raz pierwszy od dłuższego czasu. To było przyjemne doznanie.

- Zabawne przezwisko.

Cloudy wybuchnął śmiechem. Wydawało się, że on również nie robił tego od dawna.

- Prawda?

Od tej chwili Cloudy stał się przyjacielem Ryana. Chłopiec kochał starego hipisa i ufał mu bardziej niż komukolwiek innemu - z wyjątkiem swojej matki.

A skoro Cloudy powiedział, że dziwna kobieta jest w porządku, to znaczy, że była w porządku.

Nawet jeżeli była potworem.

Ryan odłożył książeczkę z obrazkami. Udawał, że ją ogląda i podszedł, aby przyjrzeć się dziwnej damie. Leżała na podłodze, na rozłożonym starym wojskowym kocu. Cloudy odgarnął trochę książek, aby zrobić dla niej miejsce. Wciąż miała na sobie rzeczy, w których tu przyszła, nie zdjęła nawet butów ani kurtki. Ramiona skrzyżowała na piersiach, dłonie ułożyła na kurtce. Nic nie wskazywało na to, że oddycha. Ryan nie potrafił stwierdzić, czy

miała otwarte czy zamknięte oczy, gdyż były ukryte za szklami lustrzanek. Nachylił się jeszcze bardziej i spojrzał na swoje podwójne odbicie w zwierciadlanych szklach okularów.

Odkąd zamieszkał z Cloudy'm, chłopiec przybrał trochę na wadze, ale mimo to wciąż był bardzo szczupły. To sprawiało, że wyglądał na więcej niż swoje pięć lat. Zrobił zęza i wystawił język, chichocząc, gdy jego odbicia powtórzyły ten gest.

- Tobie także dzień dobry.

Ryan pisnął i jak oparzony odskoczył do tyłu, podczas gdy nieznajoma opuściła ręce i usiadła. Odwróciła głowę w stronę chłopca, jej oczy wciąż pozostawały ukryte za szklami okularów.

- Nie nabijałem się z pani. Słowo!

- Wierzę ci, Ryan. Nie musisz się mnie obawiać. - Wstała i przeciągnęła się, jej skórzana kurtka zaskrzypiała. - Gdzie Cloudy?

- Wyszedł. Miał coś do załatwienia. Niedługo wróci. Za godzinę się ściemni. -

Przerwał na chwilę, przyglądając się jej badawczo. - Czy naprawdę jest pani potworem?

Nieznajoma pokiwała głową, poklepując się równocześnie po kieszeniach. Nie sprawiała wrażenia urażonej tym pytaniem.

- Można tak powiedzieć.

- Ale właściwie jakim jest pani potworem?

Nieznajoma uśmiechnęła się do chłopca, ukazując perłowo - białe kły.

- Chyba można mnie nazwać potworem dla innych potworów.

- Ekstra!

- Wskaż mi tych, którzy zwykle stoją na straży - wyszeptała nieznajoma.

Ryan lekko przymrużył oczy i patrzył przez chwilę, po czym wskazał młodzieńca, którego łysą czaszkę zdobił tatuaż w kształcie pajęczyny.

- To jeden z nich. - Milczał przez pewien czas, po czym wskazał palcem na krępego czarnoskórego mężczyznę z gąszczem dredów na głowie i paskudnie wyglądającą maczetą zawieszoną przy szerokim pasie. - On także tam bywa. Dość często. Wydaje mi się, że ci dwaj są przyjaciółmi.

Obserwowali Bezpieczny Dom, w którym Esher przetrzymywał Nikole, kiedy nie występowała w klubie i nie dotrzymywała mu towarzystwa. Choć od budynku dzieliło ich niecałe trzydzieści stóp, grupka Pointersów stojąca przed wejściem nie zauważyła ich, znajdowali się bowiem w kanale burzowym, po drugiej stronie ulicy. Ryan stanął na odwróconej plastikowej skrzynce na mleko, aby wyrzeć ponad betonowym obrzeżem wlotu kanału.

- Stoisz tu na czatach każdej nocy?

- Prawie. Chyba że leje. Wtedy jest to niemożliwe. To dlatego z taką łatwością wymykam się Pointersom, wślizguję się do kanałów i tam się przed nimi chowam.

- Nie boisz się szczurów? Ryan wzruszył ramionami.

- Z początku bardzo się bałem, syczały na mnie i w ogóle, ale nauczyłem się, że jeśli mam przy sobie patyk albo zacznę w nie czymś rzucać, dają mi spokój. Poza tym Cloudy mówi, że one bardziej boją się mnie niż na odwrót. Zresztą to tylko zwierzęta.

- Dzielny z ciebie chłopak, Rynie. Dzielniejszy niż większość mężczyzn. -

Nieznajoma uśmiechnęła się i poklepała malca po głowie. Ryan zeszywniał. W pierwszej chwili pomyślała, że to dlatego, iż go dotknęła, zaraz jednak uniosła wzrok i ujrzała otwierające się drzwi Bezpiecznego Domu. Z budynku jako pierwsza wyszła wampirzyca, którą nieznajoma widziała poprzedniej nocy. Groźnie wyglądająca strażniczka z kuszą dała znak czarnoskóremu z maczetą, a ten kilkakrotnie głośno klasnął w dłonie.

Pointersi czekający na zewnątrz stanęli na baczność. Jeden z nich wyjął telefon

komórkowy i po chwili przy krawężniku zatrzymał się czarny cadillac rocznik 57.

- To Decima - wyszeptał Ryan, wskazując na wampirzycę. - Nie cierpię jej. Jest wredna. - W głosie chłopca pobrzmiwała nietypowa, zważywszy na jego wiek, gwałtowność.

Decima odwróciła się w stronę drzwi Bezpiecznego Domu i niecierpliwie machnęła kuszą. Nikola przestąpiła próg i stanęła w świetle płynącym od wejścia, mrugając nerwowo powiekami; wydawała się dezorientowana. Miała na sobie białą aksamitną suknię, która przywierała do jej ciała niczym druga skóra, a równocześnie odsłaniała spory fragment smukłych ud i krągłych, jędrnych piersi. Jeden z Pointersów stojący przed domem na widok Nikoli wyszczerzył zęby w lubieżnym uśmiechu. Murzyn z maczetą zauważył, że opryszek niedwuznacznie gapi się na wybrankę jego pana i szybkim krokiem pofatygował się do niego. Szeroki uśmiech malujący się na twarzy Pointersa prysł w okamgnieniu, zastąpił go grymas nie skrywanego przerażenia. Młody opryszek cofnął się o kilka kroków, unosząc obie ręce, jakby chciał osłonić się przed ciosem.

- Obeah, przecież ja nic nie zrobiłem. To nie było nic takiego.. . Przysięgam na Boga, ja nawet nie...

- Nie przysięgaj przede mną na BOGA, ty głupcze! - zagrzmiął Obeah. - To Umarłe Miasto, jedynie diabeł wysłuchuje tu twoich modlitw!

To rzekłszy, zamachnął się i ciął z całej siły. Opryszek wrzasnął ochryple, gdy z kikuta, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jego prawa dłoń, buchnął gejzer krwi. Jego koledzy z gangu zaklęli w głos i odskoczyli do tyłu, żaden jednak nie pokwapił się przyjść chłopakowi z pomocą, gdy ten, zaciskając palce drugiej ręki na okrwawionym nadgarstku, osunął się na chodnik.

- Obraziłeś lorda Eshera, jeśli nawet nie słowami, to na pewno swymi myślami - oznajmił Obeah. - Nie wolno pobłażać takiemu zuchwalstwu!

Cięcie zostało wykonane błyskawicznie. Pointer krzyknął, gdy maczeta rozplątała mu twarz, odrąbując nos równie gładko, jak mógłby tego dokonać chirurgiczny skalpel.

Nieznajoma nie wydawała się wstrząśnięta. Wyczyn Murzyna wywarł jednak na niej spore wrażenie.

- Zatem Esher ma wśród swoich przybocznych byłego Tonton Macoute. To ciekawe. -

Nagle przypomniała sobie o Rynie i spojrzała na chłopca. Malec z osobliwym spokojem obserwował, jak Haitańczyk masakruje młodocianego opryszka. Kiedy znów uniosła wzrok, ukarany Pointer leżał na chodniku w rozlewającej się dokoła niego kałuży krwi, Obeah zaś starannie wycierał ostrze swej maczety.

Decima chwyciła Nikole za ramię, pospiesznie sprowadziła ją po schodach i wpełchnęła na tylne siedzenie czekającego auta. Obeah usiadł obok niej, podczas gdy łysogłowy z tatuażem w kształcie pajęczyny zajął miejsce na fotelu obok kierowcy. W chwili gdy drzwiczki samochodu zamknęły się z trzaskiem, Ryan zeskoczył ze skrzynki po mleku i podniósł ją z ziemi.

- Chodźmy, musimy pójść za nią! - Wślizgnął się w betonową gardziel bocznika, popychając skrzynkę przed sobą, dopóki nie dotarł do głównego kanału. Następnie postawił ją na wąskim betonowym chodniku, ciągnącym się po obu stronach ścieku.

- Jesteśmy pod ziemią. Jak możemy pójść za nimi, skoro nie wiemy, dokąd pojechali?

- Mamy czwartek! - wyjaśnił Ryan, maszerując różnym krokiem wzdłuż chodnika. -

W czwartki zawsze odwożą ją do niego, a w środy i soboty do klubu!

- Do niego, to znaczy do kogo?

- Do Eshera, ma się rozumieć! - odparł Ryan, przewracając oczami.

## **ROZDZIAŁ 4**

Dom Eshera był wyjątkowo duży, pochodził z czasów, kiedy stawiano prawdziwie

monumentalne budowle. Od innych gmachów stojących przy tej ulicy różnił się tym, że innych w ogóle nie było, jedynie sterty gruzów i ziejące symetryczne doły, gdzie niegdyś znajdowały się piwnice. To nie było dzieło służb rozbiórkowych; wyburzenie domów zlecił sam Esher. Pan wampirów lubił wiedzieć zawczasu, kto się do niego wybiera. Pointersom zajęło blisko dwa lata oczyszczenie całej okolicy. Na obu krańcach przecznicy wystawiono liczne posterunki, wartę pełnili tam starsi, bardziej doświadczeni członkowie gangu uzbrojeni w uzi i strzelby powtarzalne.

Mimo to przecznica nie była nie zamieszкана. W pomieszczeniach piwnicznych, które Pointersi wykorzystali w charakterze magazynów oraz baraków, migotały świece, a bijący z nich dym płożył się nad ziemią niczym mgła. W dołach znajdujących się bliżej domu panowała nieprzenikniona czerń, zaś to, co je wypełniało, było dalece bardziej mroczne. Służyły one jako wyjścia i wejścia z Domu, połączone podziemnymi tunelami. Korzystali z nich wyłącznie Spokrewnieni. Wielu nie mających pana nowicjuszy i ci, którzy oczekiwali na pełniejsze połączenie z Esherem, spędzali dnie w tych mrocznych korytarzach.

Ulica pod Domem tętniła życiem, roiło się na niej od młodych mężczyzn noszących charakterystyczne kurtki Pointer - sów. Niektórzy siedzieli na szerokich schodach prowadzących do budynku, inni zaś na przyniesionych skądś odwróconych do góry dnem skrzynkach. Najstarszy z nich nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia pięć lat, najmłodszy najwyżej na trzynaście.

Nie było wśród nich kobiet, lecz brak ten młodzi opryszkowie zrekompensowali całym arsenałem broni palnej, każdy z nich miał za paskiem jeden lub nawet więcej pistoletów.

- To ciekawe - mruknęła nieznajoma, obserwując plac przed Domem Eshera z dachu pięciopiętrowego budynku, dwie przecznice dalej. - Esher zebrał wokół siebie prawdziwą

armię świrów i socjopatów.

- Jak może pani cokolwiek widzieć przez te okulary i w dodatku na taką odległość? -

zapytał Ryan i przymrużywszy powieki, spojrzął w tę samą co nieznajoma stronę. - Ja nic stąd nie widzę!

- Moje oczy są inne niż twoje. Nocą widzę lepiej niż większość ludzi w biały dzień.

- Ekstra! To tak jak kot, prawda?

- Mniej więcej.

- Miałem kiedyś kotka, nazywał się Koko, ale właściciel domu dowiedział się o tym i pozbył się go. Powiedział, że Koko miał pchły. Był naprawdę okropny i nienawidziłem go.

To znaczy właściciela domu, a nie Koko.

Nieznajoma uklęknęła i położyła dłonie na ramionach Ryana. Jego sterczące obojczyki w dotyku przypominały spoiny latawca.

- Ryan? chciałabym, abys zrobił dokładnie to, co ci powiem, jasne? Spróbuję dostać się do wnętrza twierdzy Eshera, może dowiem się czegoś na temat twojej matki. Jednak na pewno nie uda mi się tam zakraść.

- Jak wobec tego chce pani dostać się do środka?

- Zamierzam się u niego zatrudnić.

- Hę?

- Nie ulega wątpliwości, że Esher szuka najemników do swojej armii, zarówno ludzi, jak i Spokrewnionych. Jeśli uzna mnie za swego sojusznika, może uda mi się zaskoczyć go, kiedy najmniej będzie się tego spodziewał. Nie mogę jednak dopuścić, aby zorientował się, że się znamy. Musisz teraz możliwie jak najszybciej wrócić do Cloudy'ego - tylko niech nikt cię nie przyuważy - i zostań tam, zgoda? A gdybyś przypadkiem znów zobaczył mnie na ulicy, udawaj, że mnie nie znasz, jasne? Od tego zależy życie twojej matki.

Ryan pokiwał głową, mimo swojego wieku wyglądał niezwykle poważnie.

- Jasne. Będzie pani działać potajemnie, jak ci gliniarze z telewizyjnych seriali.

- Właśnie. A teraz wracaj do Cloudy'ego. Migiem. Tu nie jest bezpiecznie.

Ryan pomaszerował w stronę drzwi, przez które weszli na dach, lecz w pewnej chwili przystanął i odwrócił się.

- Czy ma pani dzieci?

Nieznajoma pokiwała głową i uśmiechnęła się smutno.

- Miałam. Kiedyś. Dawno temu. Dziewczynkę.

- Co się z nią stało?

Nieznajoma milczała przez chwilę, wpatrując się w gwiazdy na niebie, ledwie widoczne z powodu unoszącego się nad miastem smogu.

- Dorosła i już nie byłam jej potrzebna.

Ryan zwlekał jeszcze przez chwilę, muskając palcami kłamkę.

- Ja pani potrzebuję. I moja mama także. Nieznajoma wzięła głęboki oddech i rozmasowując czoło koniuszkami palców, powoli wypuściła powietrze.

- Posłuchaj, mały, to nie serial telewizyjny. Nie przybyłam do Umarłego Miasta, aby uratować twoją matkę.

- Wobec tego po co?

- Mam swoje powody. Nie oczekuję, że je zrozumiesz. Czasami zastanawiam się, czy sama je rozumiem. - Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w małego ulicznika i naraz kąciki jej ust wykrzywiły się w nieśmiałym uśmiechu. - Nie mogę ci niczego obiecać, jasne?

Zapamiętaj to. A teraz już zmykaj, zanim cię ktoś zobaczy!

Ryan uśmiechnął się, a w jego oczach rozbłysły iskierki dziecięco szczerej radości. Po raz pierwszy, odkąd go spotkała, wyglądał jak zwyczajny mały chłopiec.



Zadowolona, że odesłała Ryana w znacznie bezpieczniejsze miejsce, nieznajoma poprawiła na sobie kurtkę i wyszła z cieni zalegających u wejścia do starej czynszowej kamienicy. Nie chciała, aby chłopiec zobaczył ją w akcji. Miał uzasadniony powód, aby nienawidzić i obawiać się istot takich jak ona i wolała nie nadwerężyć jego zaufania, ukazując swe drugie, drapieżne i bezwzględne oblicze. Co więcej, nie chciała, by zorientował się, jak trudno jej przychodziło kontrolować wampiryczne skłonności Spokrewnionej. Uchowaj Boże, aby ten dzieciak miał stanąć kiedyś twarzą w twarz z Inną.

Przeszła przez opustoszałą ulicę, kierując się w stronę Domu Eshera.

Od czasu do czasu dostrzegała słaby blask elektrycznego światła lub blade, przerażone oblicze wyzierające z okna na piętrze, jednak Umarłe Miasto, przynajmniej z pozoru, zdawało się w pełni zasługiwać na swą posępną nazwę. W tym przypadku pozory okazały się mylne.

Niespodziewanie drogę zastąpiły jej trzy postacie. Poruszały się szybko i płynnie, niczym szykujące się do ataku pantery. Nieznajoma przystanęła raptownie, lecz nie próbowała uciekać.

- Mówiłem wam, że ją znajdziemy, to była tylko kwestia czasu - rzekł jeden z wampirów oschłym, chrapliwym tonem.

- To ja podsunąłem pomysł, aby zacząć się na nią w tej okolicy! - warknął drugi.

- Zamknij się! Na kłótnie o laury będzie czas później, gdy już dostarczymy jej głowę Sinjonowi! - uciał trzeci.

- Proszę, proszę - nieznajoma uśmiechnęła się drwiąco. - Kogo tutaj mamy? Trzy małe kózki!

Pierwszy wampir parsknął i skrzywiwszy się z odrazą, wypiął pierś.

- Nie będziesz już więcej ubliżać klanowi Ventrue, tremerska wiedźmo!

Nieznajoma uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Słuchajcie, chłopcy, chyba mnie z kimś pomyliliście.

- Nie próbuj nas zwodzić, wiédźmo! - warknął drugi wampir. - Wiemy, że jesteś

odpowiedzialna za zamordowanie jednego z ludzkich sług naszego pana! Zostawiłaś w jego plecach swą wizytówkę! Próbowalaś znieważyc naszego pana, uśmiercając jednego z jego sług nieomal u wejścia do Czarnej Łoży! Taka zniewaga musi zostać ukarana!

- Czy to, co mówię, trafi wreszcie do tych waszych tępych łbów? Nie jestem osobą, której szukacie. Jeszcze raz uprzejmie was proszę, abyście zeszli mi z drogi...

- Dosyć! - zagrzmiął trzeci wampir i w tej samej chwili cała trójka ruszyła do ataku.

Pierwszy zaszedł ją od tyłu, drugi zaatakował z góry, trzeci zaś nisko, tuż nad ziemią.

Nieznajoma trafiła tego ostatniego obunóż w szczękę wzmocnionymi stałą czubkami swoich martensów, kopnięcie było tak silne, że żuchwa obwisła jak wyrwana z zawiasów bramka ogrodowa, a język zatrzepotał niczym różowy robak.

Drugi wampir skoczył z takim impetem, że nie zdążył wyhamować i nadział się na ostrze jej sprężynowca, zimna stal przeszła prawe płuco krwiopijcy jak dziecięcy balonik. Zazwyczaj takie rany są dla Spokrewnionych błahostką, ta broń jednak obłożona była specjalnym zaklęciem, aby mogła zadawać im śmierć.

Wampir zawył jak kastrowany ogier i targnąwszy konwulsyjnie całym ciałem, ześlizgnął się z ostrza. Rozdarł koszulę, odsłaniając bladą, bezwłosą pierś. Ciało wokół rany zaczęło już czernieć i puchnąć, pojawiły się pierwsze oznaki błyskawicznego rozkładu.

- Cóż to za przekłete tremerskie czary! - wychrypiał pierwszy wampir.

Drugi zakasłał, wypluwając pozostałości niedawnego posiłku i runął na brukowaną ulicę, wprost w objęcia Ostatecznej Śmierci.

Nieznajoma, nie tracąc czasu, zajęła się pierwszym wampirem, wbijając srebrne ostrze sprężynowca w jego prawe oko. Wampir wrzasnął, a w kilka sekund później jego lewe ślepie

napuchło jak u postaci z kreskówki Texa Avery'ego i eksplodowało.

Trzeci wampir odwrócił się, by uciec, lecz drogę zastąpiła mu jego niedoszła ofiara.

Uniósł obie ręce w rozpaczliwym geście, a z jego ust dobył się zduszony bełkot,

najprawdopodobniej błaganie o litość, lecz nieznajoma w tej samej chwili wbiła mu nóż w

brzuch. Wampir upadł na ziemię i leżał, wijąc się u jej stóp, jak dżdżownica na rozpalonym

słońcem chodniku po silnej ulewie. Umieranie od rany w brzuch trwało znacznie dłużej, niż

gdyby krwio pijcy przebito serce lub uszkodzono system nerwowy.

Znudzona przestąpiła swą trzecią i ostatnią ofiarę, podejmując marsz w stronę domu,

do którego zmierzała, zanim jej nie zatrzymano.

Zdażyła zrobić zaledwie trzy kroki, gdy usłyszała suchy szczełk przeładowywanej

broni automatycznej.

- Stój! - rozległ się oschły kobiecy głos.

Z cieni wyłoniło się kilku Pointersów uzbrojonych w AK - 47. Przewodziła im

wampirzyca, którą nieznajoma widziała już wcześniej, surowa strażniczka zwana Decimą.

Miała na sobie czarną skórzaną kurtkę i skórzane spodnie, uzbrojona była w naładowaną

kuszę. Decima powiodła wzrokiem po zalegających na bruku, gnijących ciałach trzech

wampirów, zmarszczyła brwi i spojrzała na nieznajomą.

- Co się tu dzieje?

- Już nic.

- Nie pogrywaj ze mną, dzieciно!

Skinęła na jednego z Pointersów, który czubkiem buta przewrócił zabite wampiry na

wznak. Ciała trzech krwio pijców ulegały przyspieszonemu rozkładowi.

- To potomkowie Sinjona, Dec... pani!

Decima zasępiła się jeszcze bardziej i powróciła do nieznajomej.

- Zabiłaś sługi Sinjona. Czemu to zrobiłaś?

- Nie szukałam z nimi zwady. To oni mnie zaatakowali.

- Dlaczego?

Nieznajoma uśmiechnęła się krzywo, wskazując na kuszę Decimy.

- Najwyraźniej zaszła tu drobna pomyłka. Wzięli mnie za ciebie.

Decima wyprężyła się, jakby w jej kręgosłup wbito srebrną szpilę.

- Cóż za absurd!

- Taa, wyobraź sobie, jak ja się przez to poczułam!

- Bezczelna suka! - warknęła Decima i zamachnęła się, by wymierzyć nieznajomej siarczysty policzek.

Ta jednak chwyciła ją za nadgarstek, zatrzymując dłoń strażniczki o milimetry od swojej twarzy.

- Czy tak traktuje się kogoś, kto właśnie wyświadczył ci przysługę?

- Czego chcesz, dzieciно? - zasyczała Decima, szarpnięciem uwalniając rękę z uścisku; jej oblicze wykrzywił gniewny grymas.

Była zła, lecz w jej głosie pobrzmiwały pospołu niepewność i lekki niepokój. Nie przepadała za tą dziwną wampirzycą, lecz nie odważyła się rzucić jej otwartego wyzwania.

Nie podejmie tego ryzyka, dopóki nie dowie się czegoś więcej o nieznajomej. Nie chciała ryzykować przed ludźmi ewentualnej porażki.

Nieznajoma uśmiechnęła się, przekrzywiając głowę, tak że w szklach jej lustrzanek pojawiło się odbicie wykrzywionej wściekłością twarzy Decimy.

- Słyszałam, że można się u was nająć.

- Stój, kto idzie! - warknął wartownik stojący na straży i wycelował strzelbę w dwie postacie wyłaniające się z ciemności. Ci, którzy pełnili tu służbę, uważali się za elitę i serio

traktowali swe obowiązki. Decima nie zareagowała na polecenie wartownika.

Strażnik na chwilę zastygł w bezruchu, lecz rozpoznawszy przyboczną Eshera, natychmiast się rozluźnił.

- A, to ty, pani.

Decima zdawała się nie zwracać uwagi na usłużny, uniżony ton wartownika, mijając go jak powietrze. Nieznajoma pospieszyła za nią. Pointer przez chwilę odprowadzał ją wzrokiem, gdy jednak skierowała nań spojrzenie oczu skrytych za lustrzankami, natychmiast się odwrócił i skoncentrował całą uwagę na ciemności rozciągającej się poza posterunkiem. Wobec innych ludzi Pointersi potrafili być okrutni i bezwzględni jak wataha wilków, lecz w zetknięciu ze Spokrewnionymi miękli niczym wosk.

Dom Eshera wznosił się ponad ruinami wyburzonych budynków jak gigantyczny nagrobek. Nieznajoma skupiła wzrok na budowli, zawężając poziom widma do tego, jakiego używają Oszuści. Musiała przygryźć język, aby nie zakląć w głos. Pola energii otaczające twierdzą pulsowały i wibrowały ze znaczną mocą. W grę wchodziła magia, co ewidentnie potwierdzało plotki, jakoby Esher był tremeryjskim magiem krwi. Miewała już wcześniej do czynienia z naprawdę potężnymi wampirami, lecz moc tamtych tkwiła nie w okultyzmie, lecz w ich zdyscyplinowanych, karnych umysłach. Liznęła trochę magii, współpracując z alchemikami do wynajęcia i zaklinaczami takimi jak Kit - sune Li Lijing czy niższy demon Malfeis; to właśnie Malfeis podarował jej sprężynowiec obłożony zabójczym dla Spokrewnionych zaklęciem, lecz nigdy dotąd nie miała okazji sprawdzić swych umiejętności w tej dziedzinie.

Połączone łańcuchy eterycznej energii otaczające Dom stanowiły jawny dowód, że Esher miał bardzo silne, choć bliżej nieokreślone nadnaturalne koneksje. Zapowiadała się ciężka przeprawa. Naprawdę ciężka. I ryzykowna.

Pointersi zgromadzeni przed twierdzą na widok Decimy przyjęli postawę zasadniczą.

Wampirzyca nawet na nich nie spojrzała. Szybkim krokiem wspięła się po schodach.

Przystanęła przed frontowymi drzwiami i oparła dłoń na ozdobnej mosiężnej klamce w kształcie głowy ryczącego lwa.

- Oto dom mego księcia, serce jego domeny. Stanowi odzwierciedlenie jego mocy.

Ostrzegę cię tylko raz, dziecino, nie zbaczaj z głównego korytarza. Jeśli to uczynisz, będziesz zgubiona. - Dopełniwszy formalności rytualnego ostrzeżenia, Decima otworzyła drzwi i skinęła na nieznajomą, zapraszając ją do środka.

Nagle podłoga budynku runęła w dół, jak dno beczki śmiechu w lunaparku, a całe wnętrze zaczęło wirować w oszalamiającym tempie. Przyszpilona przez siłę odśrodkową do ściany, nieznajoma dostrzegła dziesiątki drzwi, które zmieniały się w jaszczurki, w ptaki, by na powrót stać się drzwiami. Niektóre z nich znajdowały się u jej stóp, inne wysoko w górze, jeszcze inne wisiały w próżni na wprost niej.

Głos Decimy dochodził zewsząd i znikąd.

- Nie ruszaj się. Nie próbuj otworzyć żadnych drzwi, które widzisz przed sobą.

Jedynie korytarz jest bezpieczny. Korytarz wiedzie do Eshera, gdziekolwiek ów się znajduje.

Zamknij oczy. Widzisz go?

Nieznajoma wykonała polecenie. Przyprawiająca o zawrót głowy karuzela drzwi zniknęła, zastąpiona widokiem całkiem zwyczajnego korytarza o ścianach wyłożonych tapetą, na których wisiały portrety w złotych ramach. Gdy skupiła uwagę na korytarzu, pojawiła się przed nią Decima, machając ręką ze zniecierpliwieniem.

- Pospiesz się! Nie zamierzam marnować na ciebie całej nocy, dziecino - warknęła złośliwie.

Nieznajoma, nie otwierając oczu, przyspieszyła kroku. Podążyła za Decima,

przemierzając długi, kręty korytarz ciągnący się przez całą długość domu. Zdarzało się, że korytarz niespodziewanie zawracał i zmuszona była uczynić to samo. Niemało trudu kosztowało ją przewyciężenie zawrotów głowy, gdy korytarz zapętleł się, zmieniając podłogę i sufit w istną wstęgę Móbiosa. Mimo to nie kryła swego podziwu dla umiejętności i wiedzy niezbędnej do utworzenia tak niezwyklej magicznej konstrukcji. Aby tak wprawnie zakrzywić przestrzeń, potrzeba było sporo wysiłku i jeszcze więcej mocy. W porównaniu z Twierdzą Eshera dom duchów zwany Upiorną Pułapką wyglądał jak domek dla lalek.

Wreszcie Decima zatrzymała się przed ogromnymi dębowymi drzwiami, na których wyryto symbol Tremere. Przystanąła, by spojrzeć przez ramię na nieznajomą.

- To komnata audiencyjna. Mistrz czeka już na ciebie. Wyjaw mi teraz swe imię i linię krwi, bym mogła cię zapowiedzieć.

Nieznajoma pokręciła przecząco głową.

- Jeżeli chce poznać moje imię i dowiedzieć się, kto był moim staruszkiem, będzie musiał zapytać o to osobiście.

Decima zgrzytnęła zębami.

- Zbytńioś zuchwała, dziecino! Z rozkoszą zmiążdżę cię pod mym obcasem.

- Otwórz wreszcie, suko, te cholerne drzwi.

Oczy Decimy błysnęły czerwienią, ale mimo wszystko otworzyła odrzwia.

Komnata audiencyjna ozdobiona była czarnymi aksamitnymi draperiami i

krwistoczerwonymi gobelinami, na których złotą nicią wyhaftowano okultystyczne znaki i sigile. Pomieszczenie oświetlał blask kilku katedralnych w stylu kandelabrow, każdy z nich ważył tyle co postawny mężczyzna, a na każdym z łukowato zakrzywionych ramion mieściło się po sto świec. Książę tej domeny siedział na piętnastowiecznym fotelu Savonaroli, za którym na stalowych linach, podświetlona od tyłu sztucznym światłem, wisiała wierna kopia

słynnego Różanego Witrażu z katedry Notre Dame. U stóp lorda, jak drzemiąca kotka, ułożyła się Nikola, oczy miała na wpół przymknięte, gdy władca wampirów gładził ją delikatnie po włosach.

Esher, wychylony lekko do przodu, rozmawiał z dwoma Pointersami pełniącymi funkcję strażników Nikoli - Anglosasem z tatuażem w kształcie pajęczyny i Haitańczykiem o imieniu Obeah, zwracając się do nich cichym, lecz autorytatywnym tonem.

- Nie obchodzi mnie, kogo wybieriecie, choć wolałbym, aby był to ktoś nieistotny, jeżeli rozumiecie, o co mi chodzi. Nikt, kogo mogłoby nam brakować lub kto później mógłby okazać się dla nas użyteczny. - Usłyszawszy podchodzącą doń Decimę, Esher uniósł wzrok, po czym zdecydowanym gestem odprawił Pointersów. - Idźcie już. Zróbcie, co musicie.

Nieznajoma uważnie przyjrzała się mijającej ją parze. Ten z tatuażem, w przeciwieństwie do wartownika, nie odwrócił wzroku, lecz zuchwale gapił się na nią, a zanim opuścił komnatę, na odchodne uśmiechnął się drwiąco. Najwyraźniej nie wszyscy śmiertelni słudzy Eshera otrzymali pełne Warunkowanie.

Esher rozsiadł się wygodnie w fotelu, opierając dłoń na jedwabistej głowie Nikoli, która warowała u jego stóp niczym wierny pies.

- Masz mi coś do zakomunikowania?

- Dzisiejszej nocy unicestwionych zostało trzech potomków Sinjona. Szukali mnie, pragnąc wziąć odwet za jednego z Black Spoons, którego zabiłam.

- Dobra robota, Decimo.

- To nie ona ich załatwiła, lecz ja.

Esher wyprostował się, jego wzrok padł na nieznajomą.

- Decimo, kim jest ta nowicjuszka? Dlaczego jej nie zaanonsowałaś?

- Nie zezwoliła na to.



Esher uniósł brew i spojrział na wampirzycę w lustrzankach.

- Doprawdy? Kim jesteś, dziecko? Do czyjej linii krwi przynależysz?

- Moim ojcem był sir Morgan, lord Gwiazdy Porannej - ty chyba użyłbyś nazwy

Ventruie, lecz porzucił mnie wkrótce po Przeistoczeniu. Nie przynależę do żadnego klanu.

Esher wychylił się do przodu, wpatrując się z zaciekawieniem w nieznajomą.

- Jesteś anarchistką?

- Powiedziałabym, że raczej roninem, panie - uśmiechnęła się krzywo.

- Twierdzisz, że zabiłaś trzech potomków mego wroga - dlaczego?

Nieznajoma wzruszyła ramionami.

- Jak już wcześniej wyjaśniłam tej damie z haczykami na ryby na cyckach, nastąpiła pożałowania godna pomyłka. Rzucili się na mnie, więc ich zlikwidowałam. To wszystko.

- Co cię tu sprowadza?

- Doszły mnie słuchy, że szukasz najemników. Krążą plotki, że pomiędzy tobą a

Sinjonem szykuje się dżihad.

Esher podniósł się gwałtownie, a warująca u jego stóp Nikola pospiesznie odpełzła na bok.

- Dżihad? Moja droga, w Umarłym Mieście nie ma i nie będzie żadnego dżihadu!

Bronię tylko swoich interesów! Nieroztropnością byłoby z mojej strony, gdybym o to nie dbał, biorąc pod uwagę agresywność mego rywala, nieprawdaż?

- Jak najbardziej, panie.

Buty Eshera zatupały na parkiecie z twardego drewna, gdy wampir zaczął krążyć wokół nowo przybyłej, przyglądając się jej z wyteżoną uwagą.

- Nawet zwykły śmiertelnik bez wahania stwierdziłby, że masz w sobie wielką siłę i potencjał. To emanuje z ciebie niczym żar ze świeżo wykutego miecza. Chciałbym, abyś

przyłączyła się do mej enklawy, o nieznajoma. Brak przynależności do klanu nie jest wśród Spokrewnionych dobrze widziany. Bez wątpienia zdołałaś już przyswoić sobie tę smutną prawdę, dziecino! Powinnaś myśleć perspektywicznie, odpowiednio zaplanować swą przyszłość. Umarłe Miasto to jedynie pierwszy krok; mam wielkie plany wobec tego kraju! Przyłącz się do mnie, moja droga, a nadejście nowego milenium powitasz jako przywódczyni miasta, a może nawet całego regionu!

- Brzmi kusząco. Co musiałabym zrobić, aby się przyłączyć?

- Musisz złożyć mi przysięgę wierności i zaakceptować mnie jako swego suzerena poprzez Przysięgę Krwi.

Nieznajoma zeszywniała.

- Chcesz uczynić mnie swą niewolnicą?

Esher uśmiechnął się i uniósł dłoń w uspokajającym geście.

- Źle mnie zrozumiałaś, moja droga! Proszę jedynie o przysięgę, nie pragnę zwiazać cię ze sobą! Wręcz przeciwnie, chcę, abyś służyła mi z własnej i nieprzymuszonej woli. Jedynie dzięki obopólnej zgodzie nasza umowa może przynieść nam jakiegokolwiek korzyści. Przysięga Krwi to czysta formalność. Ja jednak jestem formalistą, tradycja i rytuały są dla mnie bardzo ważne. Wierzę w nie, gdyż to właśnie one oddzielają nas od bardziej zwierzęcych gatunków.

- Dobrze więc. Zrobię to. Mam już dość bycia nagabywaną przez byle śmiecia z kłami, na którego się napatoczę. Już czas, bym zaczęła przynależeć do kogoś więcej prócz samej siebie.

Esher uśmiechnął się i poklepał ją po ramieniu.

- Miło mi to słyszeć, moja droga! Podjęłaś słuszną decyzję.

- Pstryknął palcami i Nikola podniosła się z podłogi, kołysząc się jak trzcina na

wietrze. - Nikola! Przynieś mi claive!

Tancerka schyliła się i podniosła leżący za fotelem sztylet w pochwie ozdobionej klejnotami. Podeszła lunatycznym krokiem i podała nóż księciu wampirów. Esher uśmiechnął się pobłaźliwie i zgiętym palcem pogładził policzek Nikoli.

- Czyż nie jest wyjątkowa, moja droga?

- Tak. Jest naprawdę... cudowna. Esher spiorunował nieznajomą wzrokiem.

- Ona jest moja i tylko moja. Czy to jasne?

- Jak najbardziej, panie.

Esher podwinął lewy rękaw, odsłaniając imponująco umięśnione przedramię. Wyjął sztylet z pochwy. Rękojeść wykonano z czystej platyny, w gałkę wprawiony był wielki krwawnik, ostrze lśniło niczym lód w odbitym blasku świateł. Jednym cięciem Esher rozplątał sobie przedramię po wewnętrznej stronie, od zgięcia łokcia aż po nadgarstek. Brzegi rany, przez chwilę złączone, rozchyliły się powoli, odsłaniając kilka warstw skóry. Gdyby żył, posoka buchnęłaby z takiej rany karmazynowym gejzerem, miast tego pan wampirów zmuszony był zewrzeć palce drugiej ręki na skaleczonym przedramieniu i mocno ścisnąć, aby popłynęła choć odrobina krwi.

- Skosztuj mej krwi, o córko Morgana. Napij się z mych żył i poprzysięgnij lojalność mnie, lordowi Esherowi, księciu Umarłego Miasta. Wypij i zjednocz się z moją krwią - zaintonował Esher gromkim głosem.

Nieznajoma uklękła przed księciem.

- Składam ci hołd, o Esherze, księciu Umarłego Miasta.

Przez twą krew moje istnienie służyć będzie twym celom oraz chwale.

Przyłożyła wargi do rany, wysysając wyciśniętą dla niej krew. Powieki Eshera

zatrzepotały, oczy wywróciły się w oczodołach, a z jego gardła dobył się zduszony jęk, jaki

mógłby wydać z siebie mężczyzna bliski orgazmu.

Pan wampirów westchnął głośno, energicznym ruchem cofnął rękę i zrobił krok do tyłu, mrugając jak ktoś, kto właśnie obudził się z głębokiego snu.

- Dość!

Nieznajoma skinęła głową i wstała. Esher opuścił rękę, wydawał się podenerwowany.

- Idź już! Od tej nocy jesteś zobowiązana, aby mi służyć i znajdujesz się pod moją ochroną. Jedynym moim życzeniem jest, aby nowi rekruci nie opuszczali murów tego domu.

Nieznajoma skłoniła się, kładąc lewą rękę na sercu.

- Jak sobie życzysz, panie.

Esher klasnął w dłonie, przywołując wampira, który w łachmanach i ze zmierzwioną niechlujną brodą wyglądał na pospolitego, chętnie zagląającego do butelki bezdomnego.

Wampir skłonił się nerwowo przed swoim panem.

- Czego sobie życzysz, mistrzu?

- Torgo, pokaż naszej nowej rekrutce katakumby. Dopilnuj, aby się tam rozgościła.

- Tak się stanie, mistrzu.

Nieznajoma wyszła z komnaty za powłóczącym nogami sługą. Decima odprowadzała ją wzrokiem pałającym nienawiścią.

W chwili gdy drzwi komnaty audiencyjnej zamknęły się, przyboczna Eshera, dygocząc z wściekłości, odwróciła się do swego pana.

- Dlaczego ją przyjąłeś? Nie ufam tej lustrzanookiej dziwce bardziej niż jadowitej żmii!

- Czyżbyś była zazdrosna, moja droga? - rzucił drwiąco Esher, wracając na swoje miejsce.

- Niby o kogo? - parsknęła Decima. - To bezczelna, pyskata Caitiff, napyta nam tylko

biedy!

- Wiesz, że to nieprawda, moja droga - zaproponował Esher. - Podobnie jak ja, wyczułaś tkwiący w niej potencjał. Kimkolwiek jeszcze może być ta nieznajoma, z pewnością jest śmiertelnością bronią.

- Ona jest niebezpieczna, panie! Igrasz ze słońcem, wprowadzając ją do enklawy!

Uważam, że powinniśmy ją zabić!

- Nazbyt się przejmujesz, Decimo. Byłbym głupcem, pozwalając, aby ktoś tak potężny jak ona najął się na służbę u Sinjona. Jak wiesz, lubię otaczać się przyjaciółmi, lecz jeszcze bliżej siebie wolę mieć moich wrogów. To dlatego postanowiłem umieścić tę nową w katakumbach. Chcę znać każdy jej krok, kontrolować każde jej posunięcie. Gdyby okazała się nazbyt krnąbrna i zaczęła sprawiać kłopoty, zawsze mogę spętać ją pełną Przysięgą Krwi lub rzucić zaklęcie, które ugotuje jej mózg jak główkę kapusty.

- Jesteś pewien, że to TY masz nad nią kontrolę? Gdy piła twoją krew, wyglądałeś nieszczególnie.

Esher zamachnął się i na odlew zdzielił Decimę w twarz, ciskając strażniczkę na ścianę z taką siłą, że gdyby była śmiertelniczką, pogruchotałby jej kręgosłup.

- Licz się ze słowami, dziecino! Ostatnio coraz częściej się zapominasz! Gdyby nie to, że należysz do moich potomków, byłabyś już prawdziwie martwa!

Decima podniosła się chwiejnie, ocierając krew z nozdrzy i ust.

- Wybacz, panie.

- To się jeszcze okaże. Póki co chcę, abyś przekazała wiadomość do Czarnej Łoży.

Powiedz mu, że doszło ostatnio do poważnych nieporozumień pomiędzy jego i moimi sługami. Powiedz też, że jestem zainteresowany rozejmem i że chciałbym pomówić z nim na ten temat dziś o północy w Danse Macabre.

- Jak sobie życzysz, panie. Czy to wszystko?

- Odejdź. Chcemy zostać sami - uciął Esher, wyciągając okrwawioną dłoń do Nikoli.

- Jak rozkażesz, panie - wyszeptała, opuszczając komnatę.

Kiedy ciężkie dębowe drzwi zamknęły się za nią, Decima poprzysięgła w duchu, że dopilnuje osobiście, aby obce dziwki, śmiertelniczka i anarchistka, zapłaciły życiem za to, co próbowały osiągnąć. Esher należał do niej od dziesięcioleci, a teraz przez tę żalostną tancereczkę ona, Decima, znalazła się w niełasce! Nie ulegało wątpliwości, że nieznajoma miała chrapkę na funkcję przybocznej Eshera, a ten łajdak był do tego stopnia zaślepiiony, że mógł pozwolić, aby zajęła jej miejsce.

W porządku, niech sobie dziwka spiskuje, skoro to lubi. Gdy nadejdzie czas, Decima będzie gotowa.

## **GARŚĆ RÓŻ**

Wołać będzie: Mordować! I spuści psy wojny! Ten wasz czyn podły  
będzie cuchnął nad ziemią ludzkim ścierwem, skamłającym o pogrzeb!

□

William Shakespeare *Juliusz Cezar*

Róż nie przechowuj, by nimi umaić zimne, martwe czoło me, to zbyt samotne, już teraz pozwól mi dotknąć je.

Arabella Smith *If Should Die To - Night*

□ Przełożył Jerzy S. Sito.

## **ROZDZIAŁ 5**

Zamknawszy oczy, by nie widzieć rozszalałego wokół niej chaosu, nieznajoma podążyła za wampirem zwanym Torgo do podziemi Domu Eshera.

- Nieźle te sztuczki - przyznała, schodząc w dół po spiralnych schodach. - Jak to

możliwe, że się w tym wszystkim nie gubisz?

- Gdy się już do tego przywyknie, nie jest to zbyt trudne, pani - odrzekł Torgo. -

Książę Esher jest sercem Domu, niezależnie od tego, gdzie się akurat znajduje. Wystarczy go odnaleźć, a poruszanie po domu staje się błahostką.

- Znaleźć go? Ale jak go odszukać w tym domu wariatów? - parsknęła.

Torgo spojrział na nią przez ramię.

- Napiałaś się jego krwi, zgadza się? Krew przywołuje krew. Wystarczy się wsłuchać.

Nieznajoma przystanęła na chwilę, kierując całą swą uwagę do wewnątrz. Poczowała gdzieś w głębi dziwną wibrację, w podobny sposób kryształ reaguje na dotknięcie kamertonu. Odczucie było słabe, lecz uporczywe i dziwnie groźne.

- Już rozumiem - rzuciła niepewnie.

Schodzili w dół, aż wreszcie dotarli do rozległej piwnicy o kamiennych ścianach i podłożu z twardej, ubitej ziemi. Pomieszczenie było ogromne, zajmowało dwa razy większą przestrzeń niż budynek powyżej. W katakumbach znajdowało się całe mnóstwo kanap, starych tapczanów, porozrzucanych bezładnie materaców i poplamionych kołder, które nadawały im wygląd podziemnego przytuliska dla bezdomnych. Od centralnej komory rozchodziła się gwiazdźście sieć tuneli; niektóre były szerokimi korytarzami o ścianach z cegieł, inne zaś przypominały nieco większe niż zwykle królicze nory. Jeśli nie liczyć kilku szczurów i rybików, miejsce to było zupełnie opuszczone.

- To główne katakumby - wyjaśnił Torgo. - Tu przebywają rekruci mistrza.

- Jakoś tu pusto.

- Nim nadejdzie świt, zrobi się tłoczno, zaręczam. Radziłbym pani już teraz znaleźć miejsce do spania, potem może być z tym kłopot.

- A jeśli nie zechcę tu spać?

- Słyszałaś mistrza, o pani, musisz pozostać w obrębie domu wraz z pozostałymi rekrutami!

- Cóż, w takim razie? masz pecha, Torgo! - Jej ramię błyskawicznie wyprysnęło do przodu, opasując szyję wampira w morderczym uścisku. Choć Torgo był znacznie silniejszy, aniżeli się wydawał, żywot, który wiódł wcześniej, żywot alkoholika i bezdomnego, sprawił, że nie stanowił godnego przeciwnika dla pełnej wigoru, energicznej nieznajomej. Miauknął jak kot, gdy srebrne ostrze sprężynowca prześlizgnęło się pomiędzy jego zębami i odnalazło serce, a potem runął na klepisko jak worek mokrego prania. Nieznajoma ukryła martwego wampira, który zaczął się już rozkładać, pod starą sofą obitą czerwonym aksamitem, cuchnącą moczem i pleśnią, gdzie, jak uznała, jeszcze przez jakiś czas na pewno nikt go nie znajdzie.

Pobiegła w głąb tunelu, który sprawiał wrażenie najbardziej uczęszczanego. Nie zamierzała pozostać w koszarach Eshera, a im szybciej znajdzie się poza jego zasięgiem, tym lepiej. Pan wampirów odznaczał się potężną, charyzmatyczną osobowością; pozostawanie w pobliżu niego wzmocniłoby jedynie więź pomiędzy nimi - z czego Esher doskonale zdawał sobie sprawę.

Nie zamierzała składać Przysięgi Krwi, lecz w żaden sposób nie mogła jej uniknąć.

Gdyby odmówiła, rzuciłoby to na nią cień podejrzewania. W obecnej sytuacji trudno jej było nad sobą zapanować. Przez wiele dekad, napotkawszy innego wampira, reagowała w jeden tylko sposób - zabijała go na miejscu. Konieczność postępowania zgodnie z ich regułami i udział w pałacowych gierkach stawały się wyjątkowo uciążliwe. Przynajmniej zdołała odnaleźć matkę Ryana. Niestety, uwolnienie jej z mocy Eshera mogło okazać się trudniejsze, niż przypuszczała. Ten łajdak utrzymywał ją w stanie głębokiego transu i bez wątpienia faszerował narkotykami. Takie traktowanie czyniło niechętnie oblubienice bardziej uległymi.



Po kilku minutach wyszła z tunelu do jednej z piwnic okalających Dom. Podłóże było tu zasłane potłuczonymi butelkami, zużytymi gumami oraz wysysanymi do cna, zmumifikowanymi truchłami psów i szczurów.

Rozchwierutane drewniane schody w kącie pomieszczenia prowadziły na górę.

Wchodząc po nich, usłyszała głosy. Instynktownie przeszła w tryb Akceleracji, którą Spokrewnieni głupcy nazywają Szybkością, a która pozwala na wykroczenie poza granice przeciętnej ludzkiej percepcji. Było to nader wyczerpujące i wymagało sporego wkładu energii, lecz na osiągniętym przez nią mistrzowskim poziomie skutecznie czyniło ją niewidzialną dla niewprawnego oka.

Przemknęła po schodach niczym ćma, poruszając się tak szybko, że prawie nie dotykała stopami ziemi. W jej oczach trzech ludzie zgromadzeni wokół płonącego kosza na śmieci u wylotu piwnicy nie poruszali się, zastygli w bezruchu jak woskowe figury w muzeum. Powietrze pulsowało dźwiękiem, przypominającym bardziej podwodną serenadę humbaków aniżeli ludzką mowę. Rozpoznała Pointera z tatuażem w kształcie pajęczyny na czaszce i Obeaha, po czym stwierdziła, że warto posłuchać, o czym rozmawiali. Wypatrzyła splechetek ciemności nieopodal i otuliła się szczelnie cieniami; dawno temu nauczyła się starej wampirzej sztuczki, dzięki której, mimo iż znajdowała się na widoku, pozostawała dla wszystkich niewidzialna. Zadowolona z udanego kamuflażu, wyszła z trybu Akceleracji.

Nieruchomi dotąd członkowie gangu gwałtownie się ożywili, a ich głosy powróciły do normalnej szybkości. Pointer z tatuażem na czaszce powiedział:

- To jak, stary, wchodzisz w to?

- Wchodzę, Webb! - rzucił z uśmiechem trzeci Pointer, wysoki Anglosas o włosach ułożonych w szpic i z tatuażem BORN2LOSE na lewym przedramieniu.

- Nie chcę, żeby ktoś dobrał mi się do skóry w razie wpadki. Jeśli spróbujesz jakichś

sztuczek, nie zawaham się rozwalić ci łba, kapewu? Nie będę owijał w bawełnę, stary, możemy już z tego nie wrócić. Ale jeżeli wrócimy, będziemy ustawieni do końca życia. A może nawet dłużej. Gdy znajdzie go dobry nastrój, Esher potrafi być hojny.

Born2Lose pokiwał głową.

- Wchodzę w to, Webb. Tylko powiedz, co mam robić.

Webb uśmiechnął się i skinął na Obeaha, aby podał mu plecak.

- Wygląda na to, że jeden z Braci Borgesów ma dziś w nocy na nabrzeżu umówione spotkanie ze Spoonsami. Tylko że Spoonsi o tym nie wiedzą. Esher złamał ich kod, którego używali przy planowanych narkotykowych transakcjach. Krótko mówiąc, Borges spodziewa się dziś w nocy ubić interes, ale myśli, że jego kontrahentami będą chłopaki Sinjona. -

Otworzył plecak i wyjął zeń skórzaną kurtkę. Na plecach miała trupa czaszkę, symbol Spoonsów. - Chyba nie możemy go zawieść, prawda?

Born2Lose zmarszczył brwi, wpatrując się w kurtkę wrogiego gangu.

- Miałbym założyć barwy Spoonsów?

- Tylko na jeden raz. Nie na długo.

- Nie kapujesz? czemu po prostu nie mielibyśmy tam pójść, rozwalić tego dupka i zabrać mu towar?

- Ponieważ Esher nie chce, aby Bracia Borgesowie dobrali się do niego! Nie słyszałeś o dewizie „dziel i rządź”?

- Nie.

- Co tu dużo gadać, rozkaz Eshera, rzecz święta, musimy zrobić, co do nas należy.

Wkładaj tę katanę i ruszamy!

Sarkając pod nosem, Born2Lose wykonał polecenie, zdejmując kurtkę z pentagramem i wkładając barwy rywali.

Nieznajoma obserwowała ich ze swej kryjówki z wyraźnym zaciekawieniem. Co chował w rękawie Esher? Cokolwiek miało stać się dzisiejszej nocy, musiało być naprawdę ważne, a ona nie zamierzała przegapić wydarzenia, które zapowiadało się na preludium do decydującej rozgrywki.

- Gdzie Pico? - warknął Dario Borges, przyglądając się chłopakowi noszącemu barwy Black Spoons. - Zazwyczaj to właśnie Pico zajmuje się zakupem.

- Kilka nocy temu Pico miał wypadek - odrzekł opryszek z tatuażem w kształcie pajęczyny na czaszce. - To bardzo smutne. Brakuje go nam.

Znajdowali się w magazynie 69 przy nabrzeżu, na pograniczu Umarłego Miasta i metropolii. Pomieszczenie przesycone było wonią smaru do maszyn oraz kawy.

Przedstawiciel Spoonsów stał odwrócony plecami do sterty pękatych worków z kawą, w rękę trzymał aktówkę. Borges, niski mężczyzna o starannie przystrzyżonych wąsach i okazałym brzuszku, stał naprzeciw niego z torbą sportową w dłoni. Towarzyszyło mu dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn w czarnych garniturach, pod ich pachami rysowały się charakterystyczne wypukłości. Borges wzruszył ramionami.

- Wyrazy współczucia. Masz forszę?

Oprych w barwach Spoons uśmiechnął się i otworzył aktówkę, przytrzymując ją tak, aby Borges mógł zobaczyć starannie poukładane pliki banknotów.

- Dwieście patyków za cztery kilo, zgodnie z umową.

Chcesz przeliczyć?

Borges uśmiechnął się krzywo i pokręcił głową.

- Nie trzeba. Ufam Sinjonowi. Przynajmniej w tej kwestii.

- Pstryknął palcami i dał jednemu ze swych goryli znak, aby przejął aktówkę.

Webb cofnął się o krok i przyciągnął aktówkę do siebie.

- Zaufanie raczej nie jest obustronne. Przynajmniej jeśli chodzi o Sinjona. Chcesz sałaty, dawaj towar, amigo.

Ochroniarz zaczął już sięgać za pazuchę, ale Borges powstrzymał go, kładąc starannie wymanikiowaną dłoń na jego łokciu.

- Wolnomularze dobrze szkolą swych poddanych - stwierdził ze smutkiem. - Dobrze więc, niech będzie, jak sobie życzysz. - Postąpił naprzód, wyciągając rękę ze sportową torbę. Webb uśmiechnął się, wykonał podobny gest, wolną ręką sięgając po torbę, którą mu podano i rozciągnął się jak długi na podłodze magazynu.

Pierwsza kula trafiła Borgesa prosto w serce, powalając go trupem na miejscu.

Ochroniarze padli skoszeni gradem kul, nim zdążyli sięgnąć po broń. Webb podniósł się z zalanej krwią podłogi i uśmiechnął się do swoich kompanów, ukrytych za workami z kawą, unosząc oba kciuki w triumfalnym geście.

Obeah i Born2Lose wyszli ze swych kryjówek, śmiejąc się w głos i wydając przeciągłe bojowe okrzyki.

- To było łatwe jak zabranie dziecku cukierka! - ryknął Born2Lose i kopnął krwawiące jeszcze zwłoki jednego z ochroniarzy z takim impetem, że przewrócił je na plecy. Webb ukląkł i wyjąwszy broń z kabury zabitego, przez chwilę przyglądał się jej z zamyśleniem. Gdy zastrzyk adrenaliny przestał wreszcie działać, Born2Lose spojrzał na trupy i podrapał się po głowie.

- Nie rozumiem jednego, po co byłem wam potrzebny do tej roboty? Przecież ty i Obeah równie dobrze poradzilibyście sobie z tymi tandeciarzami we dwóch.

- Wiesz co, masz rację - przyznał Webb i wpakował swemu koledze kulę w brzuch z pistoletu zabitego goryla.

Born2Lose stał jeszcze przez dłuższą chwilę z rozdziawionymi ustami, wpatrując się

w niemym zdziwieniu w dziurę w swoim brzuchu, po czym ciężko osunął się na ziemię.

Webb pochylił się, włożył martwemu ochroniarzowi pistolet do ręki, następnie wstał, zlustrował „krajobraz po bitwie” i otrzepał kolana z kurzu.

- Ej, Obeah! Pora na twoje wudu! - uśmiechnął się.

Obeah pokiwał głową i wyjął z plecaka maczetę owiniętą w naoliwione płótno. Webb patrzył, jak szaman z ceremonialną pieczołowitością obchodzi się z bronią.

- Czy to prawda, że kiedy byłeś w Tonton Macoutes, odrąbałeś nią setkę rąk?

Obeah zaśmiał się. Był to głęboki, posępny dźwięk.

- Nie, u diabła! Odrąbałem ich dwieście!

To rzekłszy, zamachnął się i opuścił ostrze na kark Borgesa, jednym cięciem pozabawiając go głowy. Starannie wytarł maczetę z krwi, owinał ją w płótno i schował do plecaka. Następnie wydobył okazałych rozmiarów słoje i rzucił go Webbowi.

Webb uśmiechnął się i odkręcając podgumowaną pokrywkę, włożył do ust papierosa.

Obeah podniósł głowę Borgesa za włosy - choć nie było ich wiele - i umieścił w słoju. Webb przez chwilę gmerał w kieszeni zawłaszczonej kurtki w barwach wrogiego gangu, po czym wyjął z niej parę metalowych łyżek. Chichocząc, postawił słoje na ziemi, podczas gdy Obeah wyjął zapalniczkę jednorazówkę. Uśmiech Webba stał się jeszcze bardziej promienny, gdy kolega, przypaliwszy mu papierosa, przez kilka sekund wodził płomykiem pod łyżeczkami, pocierając je od spodu. Webb wrzucił łyżki do słoika, po czym ukląkł, aby zakręcić uszczelnioną pokrywkę.

- Trzeba szybko i mocno dokręcić, póki świeże - zwrócił się do Obeaha. - Nie chcielibyśmy, aby nasz przyjaciel zaśmierdł, zanim dotrze w paczce do domu.

Żarcik ten rozbawił ich tak bardzo, że śmiali się przez cały czas w drodze do samochodu.

Nieznajoma ukryta wśród belek stropowych pod sufitem magazynu 69 przez dłuższą chwilę zastanawiała się nad wydarzeniem, którego była świadkiem. Musiała to przyznać Esherowi, ten łajdak miał głowę nie od parady. Wiedział, że otwarta wojna pomiędzy nim a Sinjonem przyciągnęłaby niepotrzebną uwagę, tak ze strony Spokrewnionych, jak i śmiertelników. Nie chciał ryzykować otwartego konfliktu, dopóki nie zyska pewności, że jest w stanie szybko, sprawnie i skutecznie unicestwić swoich wrogów, samemu ryzykując możliwie jak najmniej. A czy istnieje lepszy sposób na pozbycie się wroga niż zaaranżowanie intrygi, dzięki której inni zrobią to za ciebie?

## **ROZDZIAŁ 6**

Decima ze swego miejsca w łoży niespokojnie zlustrowała parkiet klubu.

- Czy sądzisz, że przyjmie zaproszenie?

- Oczywiście - odparł z przekonaniem Esher. - Nie ma wyboru! Etykieta Ventrue nakazuje mu przybyć. Poza tym ten stary gad jest ciekaw, co naprawdę zamierzam. Bardziej martwię się Pointersami. Czy na pewno zostali rozbrojeni?

- Osobiście się tym zajęłam. Musisz jednak wiedzieć, panie, że nie byli tym zachwyceni! Na myśl, że Sinjon ze swiątą Black Spoons mają przybyć tu o północy, dosłownie krew ich zalewa! Przydzieliłam pięciu strażników do pilnowania arsenału, ot tak, na wszelki wypadek.

- Gdyby poczuli się zagrożeni, mogą zalać tamtych krwią. - parsknął Esher. - Stawka jest zbyt wielka, nie pozwolę, by jakiś tępak, któremu nazbyt chętnie zgina się palec na spuście, pokrzyżował mi szyki! - powiódł wzrokiem po parkiecie i nagle znieruchomiał.

- O! Widzę, że jest już nasza nowa rekrutka! Przyślij ją do mnie, Decimo. Chcę z nią mówić.

- Jak sobie życzysz, panie.

Nieznajoma stała w tłumie wampirzych i ludzkich gości nocnego klubu, lustrując wewnątrz Danse Macabre. Choć na parkiecie znajdowało się około czterech tuzinów mężczyzn, kobiet była jedynie garstka, w większości przykutych łańcuchami do ścian lub nieumarłych. Nieznajoma czuła na sobie wzrok Poinersów, żaden jednak się nie odezwał ani nie spróbował do niej podejść. Bez wątpienia przyswoili sobie surową lekcję i wiedzieli, że bratanie się z kobietami Spokrewnionych bywa szkodliwe dla zdrowia.

Pomieszczenie cuchnęło testosteronem i szaleństwem ogarniającym zwykle tłumy, które odrzuciły wolną wolę. Odór ten przywodził jej na myśl mieszankę sali gimnastycznej i zakładu dla obłąkanych. Bez wątpienia podobnie musiały cuchnąć Berlin za czasów Hitlera czy Jonestown.

Odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z Decimą. Wampirzyca patrzyła na nią z jawną wrogością.

- Esher chce cię widzieć.

Nieznajoma spojrzała w stronę balkonu. Dostrzegła pana wampirów siedzącego na czymś, co przypominało drewniany tron; obok niego warowała Nikola.

- Czego chce?

- To bez znaczenia. Chce cię widzieć. Mam cię doprowadzić.

Nieznajoma poszła za Decimą na zaplecze klubu i po wąskich, spiralnych schodach wspięła się na balkon. Na podeście piętra wampirzyca próbowała podstawić jej nogę, lecz nieznajoma zwinnie ominęła wysuniętą stopę.

- Musisz lepiej się postarać - wyszeptwała. - Nie jestem naćpaną po uszy tancerką, którą możesz szturchać i podszcypywać, kiedy tatuś nie widzi!

Decima zgrzytnęła zębami, lecz zachowała niewzruszony, spokojny ton głosu.

- Przybyła nowa rekrutka, panie. A teraz wybac, że się oddalę, ale muszę sprawdzić

zabezpieczenia.

Nieznajoma ze złośliwym uśmiechem odprowadziła Decimę wzrokiem.

- Mam wrażenie, że twoja przyboczna niezbyt mnie lubi.

Esher wybuchnął śmiechem.

- Ona nie lubi nikogo! Obawiam się, że ma wyjątkowo zaborczą naturę.

- Wspomniała o jakichś zabezpieczeniach, co się dzieje?

- Zaprosiłem na dzisiejszy wieczór Sinjona. Zjawi się tu o północy.

- Sinjon? Sądziłam, że jesteście wrogami!

- Miewaliśmy w przeszłości pewne drobne zatargi...

- Wobec tego o co chodzi?

- Uznałem, że już czas ogłosić rozejm pomiędzy naszymi domami. Żadnego z nas nie stać obecnie na rozpętywanie dżihadu. Marnujemy zbyt wiele czasu na mało istotne właśnie i swary terytorialne. Krótko mówiąc, postanowiłem podjąć próbę zakopania topora wojennego.

- Sądzisz, że Sinjon na to pójdzie?

- Jest rozsądny. A w każdym razie był taki za życia.

- Po co mnie wezwałeś?

- Chcę, abyś była obecna przy naszym spotkaniu, moja droga. Uważam, że będziesz doskonała jako łączniczka pomiędzy Domem Eshera a Czarną Lożą, co ty na to?

- Nie wiem... uważasz, że to dobry pomysł?

Oczy Eshera rozbliły, gdy ponownie się odezwał.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie zrozum mnie źle, panie! Byłoby dla mnie zaszczytem pełnienie tak znaczącej funkcji i doceniam zaufanie, którym mnie obdarzyłeś, czy nie uważasz jednak, że byłoby to... hm... dość niezręczne? Bądź co bądź zaledwie dziś wieczorem sprzątnęłam trzech jego



potomków. Możliwe, że wciąż ma mi to za złe.

- Masz rację, zupełnie o tym zapomniałem! Może jednak lepiej będzie, jeśli znikniesz na jakiś czas. Wprowadzę cię do gry, gdy tylko Sinjon zapomni o tym incydencie. -

Uśmiechnął się, błyskając kłębem. - Widzę, że nie na darmo przyjąłem cię do swej enklawy, przydasz mi się z pewnością, moja droga... wybaczone, ale nie powiedziałaś, jak masz na imię?

Nieznajoma otworzyła usta, zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, uwaga Eshera skupiła się na jednym z monitorów.

- Aha! Pod klub zajechała właśnie limuzyna Sinjona.

- Wobec tego lepiej już pójdę, panie - oznajmiła nieznajoma.

Hałaśliwa muzyka płynąca z głośników urwała się jak nożem uciął. Goście Danse Macabre odwrócili wzrok w stronę obitych czerwonym winylem frontowych drzwi. Po chwili do klubu wkroczył oddział Black Spoons, maszerujący ostrożnie niczym tygrys przemierzający kryjówkę lwa. Jeden po drugim młodzi gangsterzy zatrzymywali się i odwracali, tworząc podwójny ludzki szpaler. Rywalizujący członkowie gangów łypali na siebie, ich ruchy zdradzały wrogość, lecz żadna ze stron nie odezwała się słowem ani nie wykonała najmniejszego groźnego gestu.

Punktualnie o północy do budynku wkroczył Sinjon.

W porównaniu ze swymi odzianymi w skóry przybocznymi pan wampirów prezentował się dość osobliwie. Miał na sobie dopasowany dwurzędowy niebieski surdut ze stójką i wyłogami w szpic. Z przodu kończący się równo z talią, z tyłu surdut ozdobiony był długimi połami. Spod mankietów wystawały batystowe koronki. Pod marynarką władca nosił krwistoczerwoną kamizelkę wciętą z przodu w szpic o kształcie litery V. Na szyi miał żabot, opadający podwójną, jedwabną, śnieżnobiałą falą na przód kamizelki. W talii przepasany był niebiesko - białą jedwabną chustą ze złotymi frędzlami, której przód zdobił symbol

wolnomularzy - oko w piramidzie. Na głowie miał upudrowaną perukę z harcapem przewiązanym czerwoną wstążką i trój graniasty kapelusz. Za brylantowe sprzączki, które miał na nogach, można by przez rok wyżywić mieszkańców niedużego miasteczka. W jednym ręku trzymał laskę z bursztynową gałką i węzlastym sznurem. Co by nie mówić, Sinjon był prawdziwym znawcą mody - rocznik 1776.

Esher powitał rywala pośrodku parkietu, w otoczeniu swej elitarniej straży przybocznej.

- Witaj w moim klubie! Miło mi cię gościć, Sinjonie - uśmiechnął się.

- Nie mógłbym odmówić tak wytwornemu zaproszeniu, Esherze. Masz rację, jest wiele spraw, które musimy przedyskutować.

Esher pokiwał głową i skinął na Sinjona, by do niego dołączył.

- Chodź, zapraszam cię do mej prywatnej loży. Tam będziemy mogli rozmawiać swobodnie.

- Ufam, że twoi ludzie sanie uzbrojeni?

- Oczywiście. Ufam, że twoi również.

- Ma się rozumieć.

Nieznajoma obserwowała wykwinłą wymianę serdeczności pomiędzy dwoma rywalami. Pomimo ich przewrotności - a może właśnie z uwagi na nią, klasy rządzące Spokrewnionych wdrożyły ścisły kodeks reguł obowiązujących podczas spotkań pomiędzy wampirzymi władcami. Ponieważ dorastała samotnie, nigdy nie została wchłonięta przez żadną ze społeczności Spokrewnionych i nie przyjęła ich pokrętnego kodeksu zachowań. Mimo to nauczyła się wykorzystywać go do swoich celów.

Z doświadczenia wiedziała, że Spokrewnieni, mimo iż wieczni, nie przepadali za jakimikolwiek zmianami. Wielu ze starszych, podobnie jak Sinjon, preferowało stroje i

zachowania z zamierzonych czasów, nie pasujące do teraźniejszości, w której egzystowali. W miarę upływu czasu większość podeszłych wiekiem wampirów stawała się takimi właśnie anachronicznymi ekscentrykami. W gruncie rzeczy, kto miał ochotę i cierpliwość nadążać za trendami zmieniającej się jak w kalejdoskopie ludzkiej mody? Ci, którzy trwali w przeszłości zbyt długo, tracili w końcu kontakt z rzeczywistością i padali ofiarami młodszych, bardziej energicznych i przedsiębiorczych Spokrewnionych.

Gdy tak obserwowała wymianę ceremonialnych uprzejmości pomiędzy Sinjonem i Esherem, w okamgnieniu zorientowała się, który z nich był silniejszy. Bez wątplenia Sinjon również to wiedział. Między innymi dlatego zdecydował się tutaj przybyć.

Nieznajoma odwróciła się od sceny i ruszyła w kierunku wyjścia. Domyślała się już, co planował Esher dla swego rywala - a w każdym razie miała pewne podejrzenia. Obecnie tylko od niej zależało, czy, wmieszawszy się w tę rozgrywkę, zdoła w znaczący sposób odmienić jej przebieg.

Ojciec Eamon siedział na dzwonnicy kościoła św. Everhilda, tuląc do piersi butelkę taniego burbona i obserwując migoczące odbicia światła miasta, tańczące na mrocznej gładzi rzeki. Nie mógł nadziwić się, jak bliskie i odległe zarazem od reszty świata było Umarłe Miasto. Ogarnęło go silne podniecenie, podobne do tego, którego można doświadczyć za sprawą pornografii lub samogwałtu, gdy pomyślał, jak łatwo byłoby mu opuścić tę świątynię i przemierzywszy kilka sąsiednich ulic, powrócić do miasta graczy giełdowych, gospodyń domowych, supermarketów i barów szybkiej obsługi. Naturalnie jego exodus musiałby odbyć się za dnia, niemniej było to wykonalne. Potrzebował jedynie odpowiedniej dozy determinacji, by znaleźć się za progiem kościoła św. Everhilda.

v Oczywiście nigdy do tego nie dojdzie. Był związany z Umarłym Miastem równie mocno jak matka z nie narodzonym dzieckiem. Prędzej chyba nauczyłby się latać, niż zdołał

odejść z tej świątyni. Wiązały go z nią poczucie winy i grzech, tak jak Jezusa przytwierdzały do krzyża gwoździe w Jego dłoniach i stopach.

A jednak przyjemnie było od czasu do czasu rozważyć taką ewentualność...

Uwagę ojca Eamona przykuł nagle cień przemykający w poprzek ulicy poniżej. Kiedy spojrzał ponownie, stwierdził, że cień był istotą z krwi i kości. Po plecach przeszły mu lodowate ciarki, gdy uświadomił sobie, że obserwował właśnie jednego z demonów, które po zmierzchu krążyły ulicami Umarłego Miasta. Choć od czasu, gdy objął tę parafię, miał okazję kilkakrotnie ujrzeć te potwory, sam ich widok, krążących niczym plugawe sępy w poszukiwaniu kolejnej ofiary, przepełniał go dojmującą zgrozą. Niektóre, tak jak to monstrum na dole, przybierały kształt atrakcyjnych kobiet, inne natomiast przyobleczone były w ciała młodych, przystojnych chłopców, lecz ojciec Eamon doskonale wiedział, że w rzeczywistości to jedynie żywe trupy.

Wampirzyca przystanąła na chwilę, słabe światło odbiło się od szkieł lustrzanek, które nosiła, to jednak wystarczyło, aby ojciec Eamon zdążył dobrze się jej przyjrzeć. W pierwszej chwili sądził, że była to wiedźma od Eshera, teraz przekonał się, że to ktoś zupełnie inny. Gdy tak patrzył, wampirzyca szybkim krokiem weszła w uliczkę prowadzącą na tyły Czarnej Łoży. Kimkolwiek była ta nieznajoma, z pewnością nie należała do świty Eshera.

- Odpręż się, Sinjonie - rzekł Esher, podając mu drogi kielich wypełniony krwią. -

Poczęstuj się. To z mojej prywatnej piwniczki.

- Jesteś nazbyt łaskawy - odparł Sinjon, przyjmując trunek z lekkim skinieniem głowy.

Przez chwilę wdychał jego aromat, jak kiper mający posmakować przedniego wina i z

aprobatą pokiwał głową. - Zaiste! To musi być wspaniały rocznik! Młódka, jeśli się nie mylę!

Doprawdy, jestem pod ogromnym wrażeniem!

- To dla mnie zaszczyt. - Uśmiech Eshera nie sięgał jego oczu.

Sinjon odstawił kielich, założył nogę na nogę i złożył splecione dłonie na podolku.

- A teraz, Tremere, skoro wymianę uprzejmości mamy już za sobą, przejdźmy do zasadniczej rozmowy. Po co mnie tu zaprosiłeś?

- Chcę ci zaproponować rozejm.

Sinjon uniósł brew, ale nie odezwał się ani słowem.

- Wbrew temu, co możesz o mnie myśleć, nie pragnę zostać koronnym księciem

Umarłego Miasta ani nie spieszo mi, aby wdać się z tobą w wojnę.

- Okazujesz to w bardzo dziwny sposób! Wiem z pewnego źródła, że twoja przyboczna zabiła jednego z moich Spoonsów na naszym terenie!

- Decima? Z pewnością się mylisz. Nie zrobiłaby czegoś takiego bez mojej wiedzy.

Nawiasem mówiąc, plotki głoszą, że ta śmierć była odwetem za zamordowanie jednego z moich Pointersów. Podejrzewam, że to robota śmiertelników, Sinjonie. Wiesz, jak nieroztropni bywają twoi chłopcy.

- Tak - mruknął Sinjon, spoglądając na grupę Black Spoons na parkiecie otoczoną przez Pointersów. - Obawiam się, że tak. Są gorsi nawet od Cyganów!

- Widzisz, Sinjonie, oto część problemu, który pragnę rozwiązać! Napięcia i zła krew pomiędzy naszymi obozami wynikają z porywczosci służących tobie i mnie śmiertelników.

Ty i ja jesteśmy w gruncie rzeczy biznesmenami. Jedyнным naszym interesem jest przetrwanie. Mimo to wzajemna niechęć i tajone urazy wciąż pchają nas do kolejnych utarczek i walk. Poświęcam prawie tyle samo czasu i wysiłku na uzbrojenie moich ludzi, co na handel bronią. To nie służy naszym interesom. Zbyt wiele czasu marnujemy na snucie kolejnych planów i spiskowanie przeciwko sobie. To nie jest nam potrzebne! Nie mam żadnego interesu w przejmowaniu twoich źródeł dochodów. Szkoda, że dopiero teraz dochodzimy do porozumienia.

- Wcale nie jestem pewien, czy dojdziemy do porozumienia - odparł Sinjon. - Jesteś bardzo ambitny, Esherze. Mam uwierzyć, że nie pragniesz przejąć mojej strefy wpływów?

- To prawda. Faktycznie jestem ambitny. Ciekawi mnie tylko, od kiedy Ventrue postrzegają tę cechę jako złą?

- Muszę wziąć pod uwagę moją pozycję, magu! Byłem księciem Umarłego Miasta, gdy ty byłeś jeszcze nasieniem w lędźwiach swego ojca! Umarłe Miasto stanowi moją domenę, a ty w swej zuchwałości próbowałeś przejąć nad nim kontrolę! Nie mogę pozwolić, by taki afront nie doczekał się odpowiedniej reprimendy. Wiesz o tym równie dobrze jak ja!

- Zdaję sobie z tego sprawę. Właśnie dlatego proponuję ceremonialne pojednanie, które będzie jawnym dowodem mojej dobrej woli.

Brwi Sinjona uniosły się jeszcze wyżej.

- Pojednanie? Jakiego rodzaju?

Esher uśmiechnął się, rozkładając ręce w wielkodusznym geście.

- Pragnę, abyś to ty zdecydował o jego naturze.

Sinjon pogładził się po brodzie i zadumał przez chwilę.

Wreszcie na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech. Wskazał na Nikole, chwiejącą się jak trzcina za wytwornym tronem Eshera.

- Wezmę tę dziewczynę.

Oblicze Eshera stężało.

- Tylko nie dziewczynę! Możesz prosić o wszystko prócz niej!

Konsternacja rywala sprawiła, że uśmiech Sinjona stał się jeszcze szerszy i ostry jak tłuczone szkło.

- Nie. Chcę jej i basta! Dasz mi tę dziewczynę albo będzie to dla mnie dowód, że łżesz!

- Nazywasz mnie kłamcą?

- Powiedziałbym raczej, że wątpię w prawdziwość twoich słów, magu. A teraz zechcesz wybaczyć, ale mam tego wieczoru jeszcze kilka spraw niecierpiących zwłoki.

- A co z moją propozycją?

- Uznam ją za szczerą i godną rozważenia tylko wówczas, gdy dasz mi to, o co poprosiłem, czyli tę twoją śliczną tancerczkę. Do tego czasu nie mamy o czym rozmawiać.

Podpierając się laską, Sinjon podniósł się z krzesła, skłonił się lekko i dotknął koniuszkami palców brzegu trój graniastego kapelusza.

- Adieu, mój parweniuszowski przyjacielu. Zaiste wspaniały z ciebie gospodarz.

Esher patrzył, jak jego rywal schodzi po spiralnych schodach i w otoczeniu swojej gwardii nie tknięty opuszcza progi Danse Macabre. Starał się możliwie jak najlepiej ukryć gorejący w nim gniew, dopóki Sinjon nie znajdzie się za drzwiami klubu. Próba bezpośredniego ataku skierowanego przeciwko temu staremu żółwiowi nie byłaby rozsądnym posunięciem. Rozległ się głośny trzask; Esher opuścił wzrok i stwierdził, że tak mocno ścisnął dłońmi oba podłokietniki, że zostały z nich tylko drzazgi.

Decima wyłoniła się z cieni nieopodal i podeszła, opuszczając głowę, tak że jej usta znalazły się na wysokości jego uszu.

- Dlaczego nie oddałeś mu dziewczyny?

- Muszę przyznać, że ten stary łajdak jest diabelnie sprytny! Można się było spodziewać, że ktoś taki jak on, w jego wieku, musi znać wiele chytrych sztuczek. Wcale nie zamierzał przystać na moją propozycję rozejmu, musiał więc poprowadzić rozmowę w taki sposób, aby z pozoru to on, a nie ja, mógł poczuć się obrażony. Właśnie dlatego poprosił mnie o jedyny prezent, którego nie mogłem i nie chciałem mu ofiarować. Tak, to naprawdę szczywany lis! Ale to już nieważne. Rozejm ułatwiłby mi jedynie zaaranżowanie przeciwko

niemu zamachu, bez konieczności wplątywania się w kłopotliwy dżihad. Dzięki temu Bracia Borges mogliby go zupełnie zaskoczyć, nie przygotowanego i nie spodziewającego się żadnych przykrych niespodzianek. Teraz będę musiał uczynić kolejny krok w moich negocjacjach z kartelem. Czy powiadomiłaś władze o miejscu, gdzie znajdują się ciała?

- Tak, panie. Bez wątpienia informacja ta pojawi się w porannych wiadomościach.

Może nawet w CNN.

- Czy wysłałaś im głowę Dario Borgesa?

- Nocnym ekspresem. Powinna dotrzeć do Miami na dziesiątą rano.

- Nie obłożyłaś jej suchym lodem, prawda? Chcę, aby efekt był naprawdę porażający.

Esher spojrzał na Nikole, warującą tuż przy nim i wyraźnie zakłopotaną. Ujął jej bladą dłoń w swoją, pieszczotliwie muskając językiem zarysy widocznych pod skórą żył.

- Nie obawiaj się, moja droga - wyszeptał. - Nie oddam cię nikomu. Nawet samej śmierci.

Dussenburg zatrzymał się przy krawężniku, pod budynkiem Czarnej Łoży. Młody chłopak w kurtce Spoonsów podbiegł, aby otworzyć tylne drzwiczki. Sinjon wysiadł z luksusowego auta, uśmiechając się jak kot z Cheshire.

- Czy wszystko przebiegło pomyślnie, mistrzu? - wykrztusił chłopak.

- Jak po maśle - odrzekł Sinjon. Napotkawszy tępe spojrzenie chłopaka, wziął głęboki oddech i dodał: - Tak, wszystko przebiegło pomyślnie.

Chłopak uśmiechnął się i pokiwał głową.

- To doskonale, mistrzu! Wyśmienicie!

Sinjon minął młodego opryszka, wzdychając z rozgoryczeniem. Nie był pewien, czy to narkotyki, czy wina genów, lecz w ostatnim czasie jakość służących zatrwająco podupadła. Cyganie, trzeba to przyznać, również nie należeli do umysłowych tytanów, jednak



w porównaniu z tymi ciemniakami, których miał obecnie na swych usługach, wydawali się prawdziwymi ludźmi Renesansu. I pomyśleć, że to koniec XX stulecia. Wzdrygnął się, zastanawiając się nad obrazem ludzkości w początkach nadchodzącego nowego milenium. Skądinąd Amerykanie zawsze byli na swój sposób toporni i nieokrzesani. Powinien to wiedzieć najlepiej; był świadkiem przemiany społeczności złożonej ze zlepką kiepsko prosperujących przedsiębiorstw handlowych w jedyne na tym świecie supermocarstwo. Prawdę mówiąc, uczestniczył w narodzinach narodu.

Przed swoim wskrzeszeniem był trzecim synem zubożałego szlachcica. Jego starszy brat przejął całe bogactwo oraz tytuł, a następnie utopił sporą część rodowej fortuny w kolonii sir Waltera Raleigha na wyspie Roanoke - pod warunkiem, że ktoś z jego krewnych wyemigruje tam, by przejąć pieczę nad inwestycją. Owo pechowe zadanie przypadło w udziale Sinjonowi, który nie tak dawno zhańbił rodowe imię. Dokładnie rzecz biorąc, był poszukiwany za morderstwo i miał do wyboru - opuścić Anglię lub wylądować w Tower. Tak więc w roku 1587 dziewiętnastoletni Sinjon wyruszył w podróż, by rozpocząć nowe życie w Nowym Świecie.

Kolonia Roanoke okazała się gorsza niż piekło. Latem było tam parno i gorąco. Zimą natomiast wilgotno i mroźnie. Pomiędzy tymi dwiema porami roku wyspę nawiedzały przeraźliwe sztormy i huragany, które łamały drzewa jak kruche gałązki. Roilo się tam również od insektów, jadowitych węży, aligatorów i innego nieprzyjemnego paskudztwa. Ludzie wciąż chorowali i cierpieli głód, gdyż niewielu kolonistów miało choćby blade pojęcie o prowadzeniu gospodarstwa. Wszak wszyscy byli dżentelmenami.

Większość kolonistów nie była przygotowana na trudy i niedostatki życia w tak prymitywnym miejscu. Wyglądało to tak, że przedstawiciele klas wyższych siedzieli i czekali, aż ci niższego stanu oraz kilka pozostałych przy życiu kobiet wykona wszystko za nich.

Kiedy Anglicy spróbowali uczynić niewolników z Kroatoan, miejscowych tubylców, dzieci mieli czelność stawić im zbrojny odpór, skutkiem czego do problemów kolonii dołączyły wkrótce działania wojenne.

Sinjon obserwował, jak kolonia stopniowo podupada i ginie; trwało to nieco ponad dwa lata. Część kolonistów zmarła wskutek chorób i niedożywienia, kobiety konały w położu lub powalone galopującą gorączką. Kilka osób zbytnio oddaliło się od kolonii i znikło wśród okolicznych bagien, bez wątpienia padając ofiarą krokodyli lub węży. Jeszcze inni wpadli w ręce Kroatoan; ich przeraźliwe wrzaski przez wiele dni rozbrzmiewały donośnym echem wśród leśnych ostępów. Sinjon modlił się, aby nadszedł wreszcie dzień, gdy u wybrzeży wyspy znów pojawią się dostarczające prowiant okręty sir Raleigha, a wówczas raz na zawsze mógłby opuścić owo zielone piekło, do którego zesłał go własny brat. Wszystko - w tym także szubienica - było lepsze od tego okropnego miejsca zwanego Ameryką.

To jednak nie było mu pisane. Pewnej bezksiężycowej nocy w roku 1589 u brzegów wyspy pojawił się okręt, lecz nie był to powracający z prowiantem sir Raleigh.

Tej nocy Sinjona obudził czyjś krzyk i odgłosy paniki. W pierwszej chwili pomyślał, że to Kroatoanie znów atakują kolonię. Chwyciwszy szablę, wybiegł na zewnątrz odziany tylko w nocną koszulę i stwierdził, że na wioskę napadli piraci!

Najeźdźcy zdawali się być wszędzie, za włosy wywlekli ocalałych kolonistów z ich chat. Sinjon rzucił się naprzód i dziarsko wymachując szablą, wdał się w pojedynek z jednym z piratów. Wykonał pchnięcie z wypadem i trafił swego przeciwnika w wątrobę. Pirat, zamiast paść trupem na ziemię, tylko się zaśmiał, łajdak, i łypnąwszy na Sinjona oczami czerwonymi jak krew, wyszczerzył doń białe, ostre jak u wilka kły. Zanim Sinjon zdążył zareagować, wampir uderzył go na odlew, pozbawiając na pewien czas przytomności.

Gdy ponownie się ocknął, był zakuty w łańcuchy wraz z resztą kolonistów i garstką

pojmanych Kroatoan - w sumie około dwudziestu osób uwięzionych w wielkiej metalowej klatce zamocowanej na pokładzie statku o czarnych, posepnych żaglach. Wkrótce dowiedział się, że okręt nosi nazwę „Ozyrys”, a jego załoga składa się niemal w całości z nieumarłych. Za dnia statkiem opiekowała się niewielka grupka ich ludzkich sług, lecz z nadejściem zmierzchu na pokład wychodzili Spokrewnieni należący do klanów Lasombra, Ventrue i Brujah.

Los pojmanych kolonistów był zaiste okrutny. Jeden po drugim byli wywlekani ze swego więzienia i do cna odsączani z krwi przez żarłoczną załogę. Ciało, z których wypito już krew, przekazywano ludzkim sługom, ci zaś rozczłonkowywali je, aby zachować mięso nadające się do zjedzenia lub rzucali na pożarcie rekinom, które jak wierne psy podążały śladem „Ozyrysa”. Jego również czekałby taki sam los - gdyby któregoś dnia nie uśmiechnęło się doń szczęście. Pojawiło się pod postacią kapitana Blooda, srogiego kapitana „Ozyrysa”. Być może król piratów wejrzał w przerażone oczy dwudziestojednolatka i ujrzał czającego się tam mordercę, tak czy owak Sinjon przypadł mu do gustu; uczynił go więc swoim chłopcem okrętowym.

Kapitan Blood, który chlubił się, jakoby miał ongiś pływać z Odyseuszem, od stóp do głów ubierał się na czerwono, a długie ciemne włosy spletał w pojedynczy, sięgający aż do pasa warkocz. Choć początkowo przerażony, Sinjon bardzo szybko nauczył się odpowiadać na zimne karesy kapitana. Niebawem pomagał już swemu panu snuć plany łupieżczych najazdów na europejskie kolonie rozsiane po całym Nowym Świecie.

W roku 1591 kapitan Blood zaszczycił lojalnego chłopca okrętowego darem Przeistoczenia. Kiedy zaś Sinjon powrócił do życia już jako Spokrewniony, awansował do rangi zastępcy kapitana. I tak to trwało przez kolejne dziesięć lat, dopóki „Ozyrys” nie napotkał w końcu godnego przeciwnika pod postacią papieskiego okrętu wojennego, którego

załogę tworzyli w całości inkwizytorzy, podlegli rozkazom Innocentego IX i oddani jednemu tylko celowi - unicestwieniu wampirzej zarazy pniącej się na morzach i oceanach. Kapłani - wojownicy dysponowali baterią dział miotających kule odlane z poświęconego srebra; ich kordy i kule do muszkietów również zostały poświęcone.

Kapitan Blood stał właśnie na wantach, wydając przeciągły okrzyk bojowy, kiedy dosięgła go konsekrowana kula z muszkietu. Sinjon widział, jak ciało jego kochanka znika w morskich odmętach, gdzie w okamgnieniu rekiny rozszarpały je na strzępy; spokojna dotąd toń spieniła się i zabarwiła szkarłatem.

Tej nocy Sinjon uniknął Ostatecznej Śmierci, wyrzucając za burtę jedną z wodoszczelnych trumien, które znajdowały się w ładowni, a wpełznąwszy do niej, zamknął wieko i trzymał ze wszystkich sił. Dwa dni później morze wyrzuciło go na francuski brzeg. Przez dwa lata wałęsał się po wielkich miastach Europy, trzymając się na przemian wśród społeczności ludzi i Spokrewnionych, dopóki nie doszły go wieści o śmierci Dziewiczej Królowej. Sinjon wrócił wówczas do Anglii i zabił brata, który przed blisko dwudziestu laty wysłał go na Roanoke. Spadkobierców brata spotkał równie szybki i gwałtowny koniec, dzięki czemu Sinjon, podając się za dalekiego kuzyna, mógł przejąć zarówno tytuł rodowy, jak i cały majątek. Tak odmieniony ponownie zaczął bywać wśród wyższych sfer, gdzie rychło zyskał sobie sławę szlachcica lubującego się w nocnym życiu Londynu.

Przez kolejne stulecia Sinjon kilkakrotnie zmieniał tożsamość, starając się zmieniać otoczenie i kręgi społeczne, w których się obracał, zanim jego nieodmiennie młody wygląd zacznie zwracać czyjąś uwagę. Często nakazywał swoim ludzkim sługom, by odgrywali jego rolę jako podeszłego wiekiem starca, podczas gdy on pokazywał się w towarzystwie, podając się za swego syna lub wnuka. Od czasu do czasu, choćby za rządów Cromwella, zmuszony był opuścić Anglię i udać się na kontynent, skąd wrócił po latach, podając się za swego

potomka.

Był to czas wielkich przemian, zarówno politycznych, jak i społecznych, które nadeszły wraz z kontrreformacją i oświeceniem. Wpływ religii na ludzkie umysły zaczął słabnąć. Przesady, w które wierzono od stuleci, stopniowo ustępowały pola nauce. W miarę jak racjonalizm zyskiwał na popularności, coraz więcej ludzi przestawało wierzyć w istnienie takich stworów jak wampiry czy wilkołaki, a co za tym idzie, Sinjonowi łatwiej było wtapiać się w ludzkie społeczności bez większych obaw, że zostanie zdemaskowany.

Choć dogmat, który dał początek Inkwizycji, odchodził w cień, ludzie wciąż nie byli gotowi wstąpić w zimną, surową światłość Racjonalnego Wszechświata. W okresie tym jak grzyby po deszczu zaczęły pojawiać się „tajne stowarzyszenia”, było to zjawisko bezprecedensowe, porównywalne jedynie z sekretnymi kultami istniejącymi w Rzymie za czasów cesarów.

Sinjon i wielu innych Spokrewnionych dostrzegło w powstaniu Różokrzyżowców, Wolnomularzy i innych pseudomistycznych bractw jedyną w swoim rodzaju okazję, by dokonać tego, co czynili zawsze ze społeczeństwem ludzi - przejąć nad nim kontrolę i sterować zakulisowo, lecz tym razem przy wykorzystaniu zmyślnych forteli oraz współników - innych ludzi, mających służyć im za parawan.

W roku 1717 Sinjon wstąpił do Wielkiej Loży Londyńskiej, której Mistrzem był Desaqualiers, ojciec założyciel współczesnego wolnomularstwa. Niedługo potem został członkiem niechlubnego Hellfire Club, tajnego stowarzyszenia złożonego w dużej mierze z wolnomyślicieli, libertynów i filozofów, którzy bawili się w satanizm, a od czasu do czasu dla rozrywki urządzali sobie orgie. Dzięki tym właśnie organizacjom Sinjon poznał amerykańskiego wynalazcę i dyplomatę - Benjamina Franklina.

Franklin miał pięćdziesiąt lat, a Sinjon prawie dwieście, gdy się spotkali w roku 1757.

Drukarz reprezentował w Londynie pensylwańską legislaturę, przybył z petycją o zezwolenie na opodatkowanie ziem rodu Pennów, by tym sposobem zwiększyć dochody kolonii cierpiącej na poważną zapaść finansową po niedawnej wojnie francusko - indiańskiej. Sześć lat wcześniej opublikował *Eksperymenty i spostrzeżenia związane z elektrycznością*, gdzie opisał szczegółowo swój eksperyment z latawcem podczas burzy i zyskał międzynarodową sławę jednego z największych na świecie propagatorów myśli naukowej.

Sinjon miał jak najgorsze zdanie o kolonistach w Ameryce, uważał ich za parweniuszy pozujących na kosmopolitów. Franklin wszelako odznaczał się byстрыm umysłem, spokojem wewnętrznym i godnością, która w połączeniu z jego geniuszem bezgranicznie zafascynowała wampira. Sinjon chętnie przebywał w towarzystwie Amerykanina i lubił wieść z nim długie dysputy. Franklin najbardziej lubił rozmawiać z nim o swoim rodzinnym mieście, Filadelfii. Im dłużej opowiadał o koloniach i tym, co się w nich dzieje, tym bardziej Sinjon dochodził do przekonania, że Ameryka jest u progu wielkiego przełomu, kiedy to zamieszkujący ją ludzie zjednoczą się w jeden naród o tak wielkim potencjale i możliwościach, że ci, którzy wykażą się dostateczną wytrwałością i hartem ducha, mogą odnieść sukces i zrealizować swe najśmielsze marzenia.

Im dłużej Sinjon o tym myślał, tym bardziej mu się to podobało. Europa była stara. Nie tak stara jak Afryka, gdzie, jak głosiły plotki, spoczywali Przedpotopowi, niemniej jednak na kontynencie można było spotkać wielu Spokrewnionych, którzy pamiętali okres świetności Troi, a nawet czasy, gdy miasto to w ogóle jeszcze nie istniało. Wśród tych starszych i potężniejszych Spokrewnionych trwała zaciekle rywalizacja o zaszczyty i tytuły - księcia, diuka czy margrabiego. Dla takiego jak on, względnie młodego wampira, nie było możliwości osiągnięcia wyższej pozycji w społeczności Spokrewnionych, chyba że przeniósłby się w jakieś inne miejsce, gdzie wampiry nie zaczęły jeszcze rywalizować między sobą.

Sinjon wiedział, jak wolno zmieniają się nawyki starszych. Ameryka już od ponad trzystu lat znajdowała się na mapach, lecz był prawie pewien, że tamci dopiero teraz zaczynali ją dostrzegać. Zanim zdecydują się na podjęcie próby włączenia jej do Ukrytego Imperium, może minąć kolejne pięćdziesiąt lat. I chociaż doszły go słuchy, jakoby Sabat, rywal Camarilli, zdobył sobie przyczółek w Ameryce, to nocne diabły nie wzbudziły w nim lęku.

Wykorzystując swe masońskie koneksje, Sinjon ponownie porzucił pełne uciech nocne londyńskie życie, by udać się w podróż do Nowego Świata. Tym razem urządził się znacznie lepiej niż na Roanoke, mimo iż wciąż otaczali go tępi parweniusze. Franklin z prawdziwą radością przedstawił swego dobrze urodzonego przyjaciela ekspatrianta w kręgach towarzyskich, w których zwykł się obracać, a do których należeli między innymi..

Waszyngton, Jefferson oraz bracia Hamilton i Revere Adamsowie. Jefferson trochę za bardzo przyglądał się Sinjonowi, jak na jego gust, ale poza tym wampir, podobnie jak w Europie, nie miał większych kłopotów z przebicciem się do amerykańskich elit rządzących.

Wybuch wojny o niepodległość stanowił idealną okazję, aby ponownie uśmiercić swe kolejne wcielenie i odrodzić się, jak feniks z popiołów, jako własny potomek. Opuścił Filadelfię i udał się na poszukiwanie miasta, gdzie nie zostałby łatwo rozpoznany. Ostatecznie wylądował w porcie morskim, leżącym u ujścia rzeki, o rzut kamieniem od wielkiej zatoki, która powitała wielu spośród pierwszych osadników przybyłych do tego nowego, dziwnego świata. Tu właśnie wpadł na pomysł utworzenia Umarłego Miasta.

Używając różnych nazwisk i za pośrednictwem licznych fikcyjnych firm, Sinjon zaczął wykupywać grunty. Nie okazało się to trudne. Okolica, gdzie miało powstać Umarłe Miasto, była nawet w owych czasach zapuszczona i rzadko uczęszczana. Ponownie wykorzystując swe wolnomularskie koneksje oraz posługując się okazałymi łapówkami,

Sinjon doprowadził do tego, że wybrany przez niego obszar miasta został objęty specjalnymi przywilejami - o których zarówno wtedy, jak i dziś wiedziało zaledwie kilku wybranych radnych miejskich oraz burmistrzów. Od tamtego czasu minęło wiele dekad, lecz śmiertelni słudzy Sinjona dokładali wszelkich starań, by właściwe sumy we właściwym czasie trafiały we właściwe ręce, i tym sposobem Umarłe Miasto przez ponad dwa stulecia pozostawało „niewidoczne”, a równocześnie niczego w nim nie brakowało. To właśnie dzięki tej umowie, przypieczętowanej masońskim uściskiem dłoni, ta część miasta, która oficjalnie nie istniała, zaopatrywana była zarówno w prąd, jak i wodę.

Umarłe Miasto było najwspanialszym z osiągnięć Sinjona. Był jego panem i władcą od pokoleń. Ci, którzy w przeszłości ośmielili się rzucić wyzwanie jego supremacji, doświadczyli Ostatecznej Śmierci. A teraz pojawił się ten parweniusz, mag krwi - Esher i po raz pierwszy w swoim trwającym od czterystu trzydziestu pięciu lat nieumarłym życiu Sinjon naprawdę się bał. Więcej nawet, był przerażony. Nie okazywał tego jednak. Gdyby jego śmiertelni słudzy zorientowali się, że ma pietra, porzuciliby go w mgnieniu oka. W przeciwieństwie do Cyganów, na których lojalność zawsze można było liczyć, Black Spoons wybierali służbę u tego, kto akurat dysponował największą władzą, nie miał za grosz skrupułów, a w żyłach lód zamiast krwi. Wyznawali prawo silniejszego. Wszelka oznaka słabości była dla nich powodem, by udzielić swemu przywódcy wotum nieufności.

O tym wszystkim rozmyślał Sinjon, przemierzając korytarze Czarnej Loży. Wszedł po wielkich marmurowych schodach na piętro, gdzie mieścił się jego ulubiony buduar. Pomyślał o małej, zgrabnej i kruchej tancereczce Eshera, po czym pokręcił głową. Nie pragnął jej zdobyć, poprosił o nią tylko dlatego, aby wprawić maga krwi w zakłopotanie i ujawnić jego dwulicowość. Nie mógł winić swego rywala za tak silne przywiązanie do śmiertelnej kochanki. Bądź co bądź zakochiwanie się w żyjących leżało w naturze Spokrewnionych.



Sinjon otworzył drzwi buduaru, rzucając trójgraniasty kapelusz na fioletową, satynową narzutę wielkiego łoża z baldachimem.

- Vere, Tatuś wrócił! Gdzie jesteś, mój mały?

Za chińskim parawanem stojącym w kącie pokoju coś się poruszyło i po chwili wyłonił się zza niego szesnastoletni chłopiec o twarzy cherubina.

- Tu jesteś! Co tam robiłeś, głuptasie? - Sinjon zachichotał. - Liczyłeś, że uda ci się zaskoczyć Tatusia, co?

- On nie - odpowiedział mu kobiecy głos. - Aleja na to liczyłam.

Vere zrobił drugi, niepewny krok naprzód, ukazując stojącą za nim wampirzycę; jedną ręką trzymała go za ramię, w drugiej dzierżyła sprężynowiec, którego ostrze dotykało karku chłopca. Oczy Sinjona zapłonęły gniewem, wampir ruszył w stronę nieznanym, obnażając kły i sycząc jak gniazdo rozjuszonych kobr.

- Nie podchodź! - warknęła nieznajoma, wykręcając chłopcu rękę tak mocno, że aż jęknął z bólu. - Nie zbliżaj się, bo daję słowo, obetnę mu głowę!

Sinjon cofnął się, łypiąc gniewnie na nieznajomą.

- Kim jesteś, kobieto, i co robisz w moim domu? Czy jesteś jedną z nieszczęsnych niewolnic Eshera?

- On chciałby mnie za taką uważać, ale nie, nie należę do jego świty. Przyszłam tu, aby wyświadczyć ci przysługę.

- Nie wiem dlaczego, ale wątpię w twą szczerość.

- Niech wobec tego to będzie dowodem mej dobrej woli - mruknęła, popychając przerażonego Vere'a w kierunku Sinjona. - Masz tu swojego pieska pokojowego! A tak przy okazji, Esher nieźle cię wystawił!

Chłopiec potknął się, ale zdołał utrzymać równowagę. Odwrócił się na pięcie i pokazał

nieznajomej wyprostowany środkowy palec.

- Pieprz się, dziwko! Zabij ją, Tatusiu!

- Zamknij się i usiądź, Vere - odparł Sinjon. - Chcę pomówić z naszym gościem.

- Ale, Tatusiu...!

- Siadaj i milcz! - syknął wampir, błyskając kłami. - Na czym to skończyłaś, pani?

- Nieco wcześniej, wieczorem, gdy zapraszano cię do klubu Eshera, udałam się śladem trzech jego oprychów na nabrzeże. To zabawne, ale wszyscy nosili kurtki w barwach Black Spoons. Mieli spotkać się tam z twoim przyjacielem nazwiskiem Borges. Cyngle Eshera rozwalili Borgesa wraz z jego ochroniarzami i tak to upozorowali, by wyglądało na robotę Spoonsow. Wrobili cię na cacy, stary. I to bez mydła.

Sinjon z kamienną twarzą zajął miejsce w fotelu stojącym obok łóża.

- Rozumiem - mruknął tak cicho, że jego głos zabrzmiał jak szept. - Co jeszcze wiesz?

Nieznajoma podeszła i stanęła przed kominkiem, opierając się o obramowanie.

- Wiem na przykład to, że po załatwieniu Borgesa ludzie Eshera zabrali jego towar, wart na ulicy dobre pół miliona. Teraz ma go Esher. Obecnie usilnie stara się doprowadzić do spotkania z pozostałymi pogrążonymi w nieutulonym żalu Braćmi Borges. Domyśla się, że tamci będą chcieli pomścić śmierć brata, ale mogą wzbraniać się przed zaatakowaniem ciebie bez wsparcia ze strony innego Spokrewnionego. Gdy już wyeliminują cię z gry, zwróci im ich towar, dodając, że wydarł go z twoich zimnych, martwych palców, a potem przejmie pełną kontrolę nad handlem bronią i twardymi narkotykami na całym obszarze Wschodniego Wybrzeża i rzecz jasna w Umarłym Mieście.

Vere nachylił się i nie spuszczając nieznajomej z oka, wyszeptał Sinjonowi do ucha:

- Skąd możemy mieć pewność, że ona nie kłamie?

- Bo ja to wiem, i już! - warknął Sinjon. - Nie musisz mieć tyle lat co ja, aby

wyczuwać, kiedy ktoś mówi prawdę. A jeżeli chodzi o nią - czuję, że nie kłamie. Czuję to w kościach. To wiele wyjaśnia, zwłaszcza tę absurdalną próbę zawarcia rozejmu! Esher nie należy do tych, którzy mogliby obawiać się potępienia ze strony Camarilli. Nie rozumiem tylko jednego - co ty chcesz dzięki temu zyskać?

Nieznajoma wzruszyła ramionami.

- Satysfakcję z możliwości wsparcia mojego klanu.

Sinjon zmarszczył brwi, przekrzywił głowę i spojrzał na nieznajomą, jakby starał się zidentyfikować szczególny okaz motyla.

- Jesteś z Ventrue?

- Moim ojcem był Morgan, Lord Gwiazdy Porannej.

- Morgan? - Sinjon jeszcze bardziej zmarszczył brwi. - Czy nie został on niedawno zamordowany? Plotki głoszą, że został unicestwiony przez jednego ze swych potomków. To zaiste najplugawsze diabelstwo.

Nieznajoma starała się wyglądać na zasmuconą.

- To było straszne. Bardzo mi go brak. Właśnie dlatego postanowiłam służyć ci pomocą, książę. My, Ventrue, musimy trzymać się razem, zwłaszcza w tych niepewnych czasach.

- Tak. To prawda.

- Postaram się powiadomić cię, gdy tylko sama się dowiem, kiedy i gdzie Esher planuje spotkać się z Braćmi Borges.

Moim posłańcem będzie mały chłopiec imieniem Ryan. Chcę, abys jasno dał do zrozumienia swoim sługom, zarówno śmiertelnikom, jak i Spokrewnionym, że temu dziecku włos nie może spaść z głowy. Gdyby zauważyli, że któryś ze sługusów Eshera próbuje skrzywdzić chłopca, mają natychmiast interweniować. Czy wyraziłam się jasno?

- Naturalnie. Ale kim jest dla ciebie ten chłopiec?

- Nikim. To syn kobiety, którą Esher wybrał na swoją nową oblubienicę. Esher chce śmierci tego malca.

Sinjon uśmiechnął się, ukazując kły.

- Nic więcej nie mów, moja droga! Jeśli życie tego dziecka tak bardzo mierzi Eshera, osobiście dopilnuję, aby dożyło sędziwego wieku. Ale, ale, co proponujesz, abyśmy zrobili w tej sytuacji?

- Zaatakuję Eshera podczas jego spotkania z Braćmi. Z konieczności odbędzie się ono poza Umarłym Miastem, a co za tym idzie, magowi krwi nie będzie łatwo umknąć w bezpieczne miejsce, za jakie uważa na co dzień swą domenę. Podczas gdy ty zajmiesz Eshera i jego Pointersów, ja przetrząsnę Dom w poszukiwaniu skradzionych narkotyków. Jedynie zwracając kokainę możesz mieć nadzieję na oczyszczenie swego imienia u Braci. Można o nich powiedzieć wiele, ale w sytuacjach takich jak ta bywają bardziej nieufni od wampirów.

Sinjon wstał i podszedł do opierającej się o kominek nieznajomej.

- Jak sądzisz, kiedy Esher spotka się z Braćmi Borges?

- Czy dzisiejszej nocy przystałeś na propozycję rozejmu?

- Nie.

- Wobec tego nastąpi to już niebawem. Może nawet jutro wieczorem. Esher wykonuje kolejne posunięcia w błyskawicznym tempie, jakby obawiał się, że jego sekretne plany mogą zostać ujawnione.

Sinjon zaśmiał się ponuro.

- Sugerujesz, że trawi go lęk przed zdemaskowaniem?

Jak już mówiłem, on nie jest z tych, którzy mogliby obawiać się Camarilli!

- Ależ Sinjonie! Przez tyle lat byłeś związany z tajnymi stowarzyszeniami i nie

domyśliłeś się, kogo naprawdę boi się Esher?

Oczy Sinjona rozszerzyły się.

- To oczywiście! Wiedeńskiej Rady!

- Otóż to. - Nieznajoma uśmiechnęła się i postukała koniuszkiem palca w skrzydełko nosa. - Obawia się, że rodzinka przejrzy jego plany.

Słońce rozjaśniło już poranne niebo, gdy Cloudy usłyszał pukanie i otworzył drzwi. W drzwiach zamiast niego pojawiły się najpierw dwie groźne lufy obrzynka, łożę broni oparło się o zaciągnięty łańcuch, wyczekując jak podejrzliwe zwierzę.

- Kto, u licha?

- To ja, Cloudy. Obrzynek znikł w jednej chwili. Drzwi przymknięto na chwilę, ale zaraz znów je otwarto, aby mogła wślizgnąć się do środka. Cloudy stał w saloniku pełnym książek, mając na sobie postrzępione dzinsy i rozchełstaną koszulę; zmierzwiłone włosy zdradzały, że zaledwie przed chwilą zwałókł się z łóżka. Oprócz strzelby miał w pochwie przy pasie składany nóż myśliwski. W Umarłym Mieście nie było mowy o spokojnym śnie.

- Gdzie Ryan?

- Śpi. Ma zwyczaj przed świtem zdrzemnąć się godzinkę lub dwie. Zważywszy na jego tryb życia, mógłby być istotą nocy. - Cloudy zaprosił nieznajomą do kuchni. - Chodź, zaparzę dla nas kawę. Ups, przepraszam, zapomniałem. Wobec tego będziesz mogła przyglądać się, jak ja piję kawę.

Nieznajoma usiadła na wolnym krześle, podczas gdy Cloudy nalał wody do czajnika i zapalił gaz. Poślanie Ryana pod zlewem przesłonięte było kotarą z kawałka zasłony, dzięki czemu chłopiec mógł mieć choć odrobinę prywatności.

- I jak poszło?

- Dostałam się zarówno do Domu Eshera, jak i do rezydencji Sinjona. Z nich dwóch

Esher wydaje się zdecydowanie groźniejszym przeciwnikiem. Jest młody, przynajmniej w kategoriach Spokrewnionych, i wyjątkowo ambitny.

- Młody wilk, co? Spojrzenie pełne niespełnionych pragnień?

- Właśnie. To cechy charakteryzujące najgroźniejsze wampiry. Mają wiele do osiągnięcia i równie dużo do stracenia. Sinjona natomiast określiłabym raczej mianem „rozsądnego, racjonalnego potwora”. Ma, czego chce, lecz obawia się, że może to utracić. To czyni go podatniejszym na manipulację. Jest reliktem przeszłości, lecz nie chce tego przyznać, nawet przed samym sobą. Miałam do czynienia z wieloma takimi jak on: eksponaty muzealne, przeżytki ślepo trwające w epoce, w której odnosiły swe największe triumfy. Mimo to byłabym nierozsądna, gdybym go nie doceniała. Starsze wampiry, takie jak Sinjon, dorastały w znacznie trudniejszych czasach, wymagających większego hartu ducha i wytrwałości niż obecna epoka i współcześni krwiopijcy. Pod tą upudrowaną skórą kryje się żelazna determinacja i bezlitosne serce.

- Przyjemniaczki, nie ma co. - Cloudy obniżył głos, zerkając w stronę kąta, gdzie spał

Ryan. - A co z jego matką? Widziałaś ją?

Nieznajoma usiłowała zachować niewzruszone, pokerowe oblicze.

- Widziałam.

- Co z nią? Czy wszystko w porządku?

- Żyje.

Cloudy uniósł brew, lecz zanim zdążył powiedzieć coś więcej, rozległ się przeciągły gwizd czajnika. Szybko zdjął czajnik z gazu, aby nie obudzić Ryana. Nasypał dwie łyżeczki rozpuszczalnej kawy i odrobinę śmietanki w proszku do wyszczerbionego kubka z napisem NAJLEPSZA BABCIA NA ŚWIECIE, po czym usiadł naprzeciw nieznajomej.

- Kiepsko z nią, co nie?

- Mam powiedzieć wprost?

- A mam jakiś wybór?

Nieznajoma przeczesła palcami włosy i przez moment Cloudy dostrzegł malujące się na jej twarzy bezgraniczne znużenie. Tego typu zmęczenie można było ujrzeć na twarzach starych weteranów, frontowych wyg.

- Sądzę, że uda mi się wyprowadzić ją z Domu Eshera. Nie wiem jednak, czy to cokolwiek pomoże. Jest pogrążona w głębokim transie. Poza tym, jak sądzą, odurzają ją narkotykami - i bynajmniej nie świństwem, które można kupić na ulicy. Esher ma na swoich usługach bokora.

- Kogo?

- Kapłana wudu. Wrednego skurwiela imieniem Obeah, który nie rozstaje się z maczetą. To były Tonton Macoute. Naprawdę paskudny typ.

Cloudy pobladł, a jego kubek z kawą zadrżał.

- Wiem, o kim mówisz. To faktycznie zimny drań. Ale co to ma wspólnego z narkotykami?

- Esher faszeruje Nikole proszkiem zombich.

- Zombi? Ej, no co ty! Nabierasz mnie, prawda?

- Zastanów się, mieszkasz w dzielnicy, gdzie roi się od nieumarłych, a nie jesteś w stanie przyjąć istnienia żywych trupów? Poza tym nie mówimy tu o zombich, których pokazują w tanich filmach klasy B. Kapłani wudu stosują wyciąg z ryby - nadymki. To świństwo zawiera silną neurotoksynę. Wystarczy niewielka dawka, aby zatrzymać akcję serca i sparaliżować płuca. Jednak jeśli przygotujesz wyciąg wedle ściśle określonej receptury, uzyskasz bardzo silny narkotyk, który podany ofierze wprawi ją w stan zbliżony do śmierci.

Dajmy na to, że jakiś szmondak obraził bokora, a ten publicznie rzucił na niego

klątwę. Następnie naszemu kapłanowi udało się dosypać wspomnianemu szmondakowi odrobinę proszku zombich do jedzenia, choćby do zwyczajnych płatków śniadaniowych.

Trzask prask i nasza ofiara pada trupem - lecz tak naprawdę wcale nie jest martwa. Jedyne wygląda jak trup. Zostaje pochowana i w ogóle, aż w końcu bokor fatyguje się na cmentarz, odkopuje nieszczęsnego frajera i podaje mu antidotum.

I oto ni stąd, ni zowąd po okolicy zaczyna wałęsać się nieboszczyk, choć tak naprawdę wcale nie jest martwy. Teraz jednak to zombi.

Zwykle tak zwani kroczący umarli doznają poważnych uszkodzeń mózgu wskutek silnego niedotlenienia pod ziemią i są dzięki temu trochę opóźnieni, ale ma to również swoje dobre strony. Przede wszystkim prawie nie odczuwają bólu i nie potrafią komunikować się z ludźmi. Od tej pory całym sensem ich życia - jeżeli ich egzystencję można w ogóle nazwać życiem - jest pożywienie i proszek zombich. Sądzę, że to jedyne, co jeszcze sprawia im przyjemność. Aby dostać te dwie rzeczy, są gotowi na wszystko. A ponieważ bokor trzyma łapę na proszku i wydziela im go nader oszczędnie, zombi stają się jego osobistymi niewolnikami do końca swego życia lub do końca życia bokora, różnie z tym bywa.

- I właśnie to robi z Nikolą Esher?

- Niezupełnie. Podaje jej ten proszek, lecz nie chodzi mu o uczynienie z niej żywego trupa. Stara się ją nawrócić.

- Nawrócić?

- Wielu lordów, którzy decydują się na wzięcie sobie oblubienicy albo towarzyszki, wybiera osobę, w której wyczuwają pewne słabości, podatność na zło i zepsucie. Niekiedy ludzka „ciemna strona” reaguje na to warunkowanie nader skwapliwie. Innym razem słabości te ukryte są w człowieku na tyle głęboko, że niezbędne są długotrwałe, czasem nawet wieloletnie działania mające doprowadzić do ich ostatecznego uaktywnienia. Takie



nawrócenia nie zawsze się udają. Niektórzy ludzie nie pozwalają, by ich ciemna strona wzięła nad nimi górę i odbierają sobie życie. Podejrzewam, że tak właśnie było w przypadku Nikoli - to dlatego została odurzona. Esher chce, aby była podatna na jego wpływ, a równocześnie obawia się, że gdy ją opuszcza i jego moc słabnie, mogłaby targnąć się na życie.

- Skoro tak, to znaczy, że jeszcze nie wszystko stracone - wtrącił Cloudy.

- Być może. Póki jednak Esher jest w pobliżu, Nikola pozostaje jego bezwolną marionetką. Tego typu kontrola umysłu powoduje zwykle ciężkie uszkodzenia. Nawet jeśli ją stamtąd wyciągnę, może okazać się - jakby to powiedzieć - szczególnie podatna w stosunku do osób o silniejszej woli. A niestety, w obecnej sytuacji nawet miś Yogi przewyższa ją pod tym względem.

- Obraz, który malujesz, nie przedstawia się raczej w różowych barwach - mruknął Cloudy.

- Sam chciałeś, abym wyłożyła kawę na ławę.

- To prawda. Przyznaję - westchnął. - Co proponujesz w tej sytuacji?

- Ryan i jego matka będą bezpieczni wtedy i tylko wtedy, jeśli Esher umrze Ostateczną Śmiercią.

Cloudy opuścił kubek i spojrzał na nieznajomą tak, jakby urosła jej nagle druga głowa.

- Zamierzasz go zabić?

- Planowałam to od samego początku, zanim jeszcze spotkałam ciebie i Ryana.

- Czyżbym coś przeoczył? Ukrywasz w swojej sportowej torbie armię pogromców wampirów? - Cloudy mimowolnie zachichotał.

Nieznajoma ziewnęła, zasłaniając usta dłonią, po czym wstała i przeciągnęła się jak kotka.

- Zabicie go będzie proste. Najtrudniej będzie samemu przy tym nie zginąć. Tak,

wywiniecie się z tej kabały, gdy już będzie po wszystkim, to twardy orzech do zgryzienia! A teraz wybacź, ale mam za sobą naprawdę długą noc i muszę odpocząć, a dziś po zmierzchu znów czeka mnie mnóstwo pracy i wolałabym być w dobrej formie. Czy w tym budynku mieszka ktoś jeszcze?

- Już nie. Odkąd to miejsce zaczęło przypominać beczkę prochu, większość squatersów przeniosła się na obrzeża Umarłego Miasta. Nikt nie chce ryzykować, bo a nuż ktoś wrzuci do tej beczki zapaloną zapalną.

Nieznajoma pozbierała swoje rzeczy i ruszyła w stronę drzwi.

- Jeżeli nie masz nic przeciw temu, zajmę pokój na poddaszu. Lubię być możliwie jak najbliżej dachu. Łatwiej z niego skorzystać aniżeli z wyjścia pożarowego, na wypadek gdyby zjawili się niespodziewani goście.

Cloudy zmarszczył czoło i sięgnął po klucze.

- Ale przecież jest już dzień!

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparła.

- Przecież weszło słońce!

- Za dnia zwykle tak bywa. No więc?

- Na pewno chcesz teraz wyjść?

- Cloudy, doceniam twoją troskę, ale otwórz wreszcie te pieprzone drzwi, dobra?

Uwierz mi, nie buchnę płomieniem i nie obrócę się w kupkę popiołu.

Cloudy'ego najwyraźniej to nie przekonało, lecz mimo wszystko otworzył drzwi.

Nieznajoma poklepała go po ramieniu i przestąpiwszy próg, wyszła na skapaną w słońcu ulicę.

- Nie martw się o mnie - rzuciła z przekąsem. - Używam kremu z filtrem.

Poddasze przesycone było wonią kurzu, szczurzych odchodów, suchej pleśni i grzyba.

Pomieszczenie pośrodku było na tyle wysokie, że mógłby tam stanąć wyprostowany rośli mężczyzna, podczas gdy po kątach nawet mysz nabawiłaby się skrzywienia kręgosłupa.

Nie było to Tadź Mahal, ale i nie najgorsze z miejsc, w których miała okazję przesypiać dzień. Wywlokła spod okapu brudny, poplamiony materac, odgarniając na bok stertę zużytych igieł i pustych fiolek po cracku. Materac roztaczał lekką woń moczu i innych płynów, ale jak na jej potrzeby w zupełności wystarczał.

Jedynym oknem na poddaszu był okrągły lufcik na zawiasach, który można było uchylać dla przewietrzenia pokoju. Gdy przykucnęła, aby zajrzeć do swojej torby, wyrzała przez okno i zobaczyła w oddali strzelistą wieżę dzwonnicy.

Choć dzieliła ją od niej odległość dwóch przecznic, nic nie przesłaniało tego imponującego widoku; okoliczne budynki miały najwyżej dwa lub trzy piętra, podczas gdy wieża wznosiła się na wysokość sześciu pięter.

Nieznajoma przypomniała sobie jak przez mgłę, że podczas swej wczorajszej wyprawy do Czarnej Łoży mijiała budynek przypominający kościół, lecz nie zdawała sobie sprawy, że stał on tak blisko domu Cloudy'ego.

Choć silne światło bywało drażniące, a niekiedy nawet sprawiało ból, nieznajoma miała wzrok pięciokrotnie ostrzejszy od przeciętnego człowieka. Mrużąc oczy od słońca, zauważyła, że z dzwonnicy usunięto kościelne dzwony. Możliwe, że Bóg nie odwrócił się od Umarłego Miasta, lecz jego ziemscy przedstawiciele nie pozostawili co do tego żadnych wątpliwości.

W głębokich cieniach dzwonnicy coś się poruszyło - coś dużego, na pewno nie był to ptak ani nietoperz. Wyteżyła wzrok. Natychmiast zorientowała się, że ten ktoś, kimkolwiek był, nie chciał, aby go dostrzeżono. W pierwszej chwili pomyślała, że to Esher przejrzał jej podwójną grę i wysłał jednego ze swych sługusów na przeszpiegi, szybko jednak odrzuciła tę

ewentualność. Była pewna, że nikt jej nie śledził, a już na pewno żaden człowiek. Poza tym ten, kto ukrywał się w dzwonnicy, nie należał raczej do Spokrewnionych. Nie, ktokolwiek ją obserwował, był to zapewne jeden z żalosnych śmiertelnych mieszkańców Umarłego Miasta. Była zbyt zmęczona, aby zastanawiać się nad tożsamością zagadkowego podglądacza.

Choć mogła wędrować za dnia i była odporna na działanie promieni słonecznych, bynajmniej za tym nie przepadała. Musiała trochę odpocząć, aby podładować akumulatory i dać ciału szansę naprawienia potencjalnych uszkodzeń. Poza tym miała za sobą długą, wyczerpującą noc uciążliwej, detektywistycznej pracy i potrzebowała choć odrobiny wytchnienia.

Gdy osunęła się na materac, jej ciśnienie krwi błyskawicznie spadło, podobnie jak częstotliwość oddechu i akcji serca. Z pozoru mogło się wydawać, że była martwa. Tak w każdym razie wyglądała.

Przynajmniej do zachodu słońca.

## **ROZDZIAŁ 7**

We śnie widzi samą siebie, wsiadającą do samochodu.

Tylko że tak naprawdę to nie ona, lecz osoba, którą była przed swoim Przeistoczeniem w istotę, którą stała się po śmierci zadanej przez księcia demonów.

Denise Thorne.

We śnie widzi, jak Denise wsiada do samochodu. Ona sama zaś jest jedynie duchem, niemym i bezcielesnym świadkiem obserwującym, jak jej poprzednie „ja” zmierza na spotkanie nieuniknionego losu, niezdolnym zmienić biegu wydarzeń. Tak zapewne musi wyglądać Piekło.

Po raz chyba tysięczny widzi, jak dziarski, ujmujący playboy - dżentelmen lord

Morgan zmienia się w szczerzącego kły wampira. Obserwuje, jak blade, czerwonoookie monstrum o długich kłach i pazurach niewoli młode ciało i umysł przerażonej Denise,

gwałcąc je z lubością i bez cienia litości. Patrzy, jak wampir nasycy swe nienaturalne żądze, biorąc ją siłą i kłając, równocześnie wypełniając jej łono martwą spermą i kalając krwiobieg plagą nieumarłych.

Jest świadkiem, jak Denise Thorne, której umysł zostaje zdruzgotany a dusza unicestwiona, znika za murem szoku i odradza się, wyłaniając się niczym Atena z czaszki Zeusa. Widzi, jak Morgan wyrzuca jej nagie, zbezczeszczone ciało z tylnego siedzenia eleganckiego rollsa niczym puste opakowanie po kanapce, pozostawiając ją martwą w rynsztoku londyńskiego East Endu. Ma zaledwie kilka chwil, ale zaczyna już poznawać reguły gry, której nazwa brzmi - Przetruwa Silniejszy.

Jej otoczenie zmienia się, czas przyspiesza, jak to często bywa w snach. Choć nie widzi, co wydarzyło się w tym okresie, wie doskonale, co ją ominęło, co pominięto podczas przeskoku. Bądź co bądź to wszystko przydarzyło się jej, nieprawdaż?

Stoi teraz na szczycie Empire State Building. Minęło kilka dekad. Jest tam z lordem Morganem - lecz nie jest on już tym samym ujmującym lowelasem, który wiele lat temu uwiódł Denise Thorne. Jego twarz pokrywają głębokie szramy. Usta wykrzywione są w wiecznym, z pozoru drwiącym grymasie. Lewe oko jest białe, jak u gotowanej ryby. Nieznajoma patrzy, jak delikatnie niczym kochanka gładzi poorane bliznami oblicze pana wampirów, a potem wbija kły w jego szyję. Morgan wydaje się zdziwiony, następnie przerażony, gdy zaczyna wysączać zeń esencję życiową. Walczy, usiłując wyrwać się z jej uścisku, lecz bezskutecznie, jego kończyny zaczynają już usychać. Krzyczy, wymachując rozpaczliwie rękoma, podczas gdy ona, ssąc zawzięcie, zmienia go w chudego jak patyk stracha na wróble.

Niebo nad nimi przybiera barwę dojrzałego sińca, z kłębowiska czarnych burzowych chmur wypryskuje ku ziemi zygzakowata błyskawica.

Ona natomiast, już nasycona, upuszcza wyschnięty na wiór, pusty zewłok.

Przypomina bardziej marionetkę niż mężczyznę. Choć został pozbawiony esencji życiowej, pan wampirów ma jeszcze dość siły, by błagać o litość. Nieznajoma patrzy, jak jej drugie „ja” miażdży obcasem czerep jej Ojca, kładąc kres jego plugawej, trwającej od blisko siedmiu stuleci egzystencji.

Wie, że powinna odczuwać radość, uniesienie, a przynajmniej coś w rodzaju perwersyjnego zadowolenia. Bądź co bądź poświęciła dwadzieścia pięć lat na odnalezienie łajdaka, który pozbawił ją człowieczeństwa. Miast tego odczuwa jedynie lekką ulgę i gniew - przepelnia ją nienasycona, huraganowa wściekłość. We śnie unosi wzrok ku gniewnemu niebu, zasnutemu burzowymi chmurami i nagle nie obserwuje już siebie. Wlepia wzrok w serce nadciągającej ciemności i dostrzega w niej parę oczu. Są krwistoczerwone, pozbawione białek i źrenic, ot, wielkie, szkarłatne ślepie. Ona wie, tak jak to często bywa ze śniącymi świadomymi pewnych bliżej nie wyjaśnionych zjawisk, które oglądają w swych wizjach, że oto spogląda w oczy Innej, wampirycznej strony swej osobowości, jej drugiego „ja”, które syci się bólem innych, rozkoszując się nim, podobnie jak cierpieniem wrogów i okrucieństwem. To częśćka niej, której się obawia, ale której potrzebuje, by przetrwać.

Inna spogląda na nią, a Jej głos wstrząsa niebiosami.

- STRZEŻ SIĘ.

Nieznajoma zatyka uszy dłońmi, mimo iż wie, że to tylko sen.

- STRZEŻ SIĘ MAGA KRWI.

Spod powiek Innej wyciekają szkarłatne krople, rozlewając się po niebie.

Czegokolwiek dotkną, syczą i parują jak wrząca w czajniku woda. Kilka kropel skapuje na jej dłoń, parząc ją. Ona krzyczy i cofa się, porażona bólem... Aby ujrzeć przed sobą poblądłe oblicze Ryana i jego oczy, rozszerzone przerażeniem. Zaskoczona, wydaje ciche chrząknięcie

i puszcza jego szyję.

- Przepraszam, mały - rzuca niepewnie, usiłując ukryć dreszcze targające jej ciałem; czuje się jak narkomanka na głodzie. - Miałam... zły sen... koszmar...

Chłopiec odpełza do okna i obserwując ją uważnie, rozmasowuje obolałą szyję.

Nieznajoma pojękuje z cicha i zastanawia się, czy można czuć się gorzej niż ona w tej chwili.

Płynnym ruchem zrywa się z materaca, podnosząc swoją skórzaną kurtkę.

- Sądziłem, że nie jest pani taka jak oni - w głosie chłopca pobrzmiewa ból i oskarżycielska nuta. Pomimo twardej szkoły, którą przeszedł, żyjąc na ulicy, Ryan wciąż był tylko dzieckiem.

I to dzieckiem silnie zranionym.

Nieznajoma westchnęła, przeczesując dłońmi zmierzwiłone włosy.

- Zwykle taka nie jestem, Ryanie. Staram się panować nad moją złą połówką - lecz ona czasem wyrywa się spod mej kontroli. A kiedy tak się dzieje, nie chcę, aby w pobliżu był ktoś, kogo lubię i na kim mi zależy, gdyż obawiam się, że mogłabym go skrzywdzić.

Ryan uniósł głowę i spojrzał na nią. \ - Pani mnie lubi?

- Tak. Chyba tak. Bo na pewno nie chcę cię skrzywdzić, Ryanie. Ani teraz, ani nigdy.

Dlatego uczynię co w mej mocy, aby twoja matka do ciebie wróciła.

Chłopiec podbiegł i objął ją rękoma w talii, twarz wtulił w jej brzuch. Pomimo drobnej budowy chłopiec miał uścisk jak anakonda. Wiele czasu upłynęło, odkąd dziecko obejmowało ją w ten sposób.

Zbyt wiele. Uśmiechnęła się i pogładziła chłopca po głowie.

- Ale na razie nie rób sobie wielkich nadziei, jasne? To jeszcze nic pewnego. Zbyt wiele tu sznurków, za które trzeba pociągnąć - no i będę potrzebowała twojej pomocy, aby na pewno wszystko się udało.

- Zrobię wszystko, co pani każe! - rzekł Ryan, odchylając głowę, aby na nią spojrzeć.

Nieznajoma pogładziła opuszkami kciuka jego podbródek i zmierzwiła mu włosy.

- Nie wątpię. Jesteś bardzo dzielny, Ryane. I ta odwaga będzie ci bardzo potrzebna, jeśli chcesz wyrwać swoją matkę z rąk Eshera. Dzisiejszej nocy muszę przesłać do Sinjona wiadomość, dotyczącą najbliższych planów Eshera - i to właśnie ty mu ją dostarczysz. Nie martw się, wymusiłam na Sinjonie obietnicę, że nie stanie ci się nic złego. Jesteś teraz pod jego opieką, co gwarantuje ci pełne bezpieczeństwo, nawet gdy mnie tu nie będzie. Mimo to, dla pewności dam ci jeszcze to - i chcę, abyś stale miał to przy sobie.

Sięgnęła pod swój podkoszulek i zdjęła cienki srebrny łańcuszek, który nosiła na szyi.

Na jego końcu znajdował się srebrny krzyżyk, którego ramiona przypominały kolce wrzośca.

Założyła chłopcu łańcuszek na szyję, oplatając ją dwukrotnie, aby krzyżyk dotykał jego piersi a nie krocza.

- To magiczny krzyżyk, obłożony specjalnym zaklęciem przeciwko Spokrewnionym.

Wampiry boją się go jak ognia. Dopóki go nosisz, żaden ze Spokrewnionych nie odważy się ciębie tknąć.

Ryan podszedł do okrągłego okienka, aby w ostatnich promieniach zachodzącego słońca przyjrzeć się łańcuszkowi. Nieznajoma spojrzała ponad ramieniem chłopca w stronę dzwonnicy i przypomniała sobie widmową postać, którą dostrzegła przed udaniem się na spoczynek.

- Ryane, co to za budowla?

Chłopiec spojrzał we wskazanym kierunku i wzruszył ramionami.

- Jakiś kościół. Ma dziwną nazwę, Świętego Everetta czy jakoś tak.

- Czy ktoś tam mieszka?

- Tak. Starszy pan. Nosi długą czarną suknię z takim czymś białym pod szyją. Cloudy



mówi, że to ojciec, ale nigdy nie widziałem przy nim dzieci. Wychodzi z kościoła tylko do monopolowego. Sądzę, że jest trochę stuknięty, ale nie za bardzo, nie tak jak niektórzy bezdomni. Gdy mieszkałem na ulicy, zawsze zostawiał dla mnie jedzenie.

Nieznajoma ponownie spojrzała w stronę dzwonnicy i w zakłopotaniu postukała paznokciem w jeden z kłów. Ksiądz? Tu, w Umarłym Mieście? To ciekawe. Z zamyślenia wyrwał ją Ryan, ciągnąc za pasek przy jej skórzanej kurtce. Obracał w palcach srebrny krzyżyk.

- Czy to było bardzo drogie?

- Chyba tak. Szczerze mówiąc, nie wiem. Dostałam go od ojca.

- Czy byłby na mnie zły, gdyby dowiedział się, że pani dała mi go, a ja go zgubiłem lub coś w tym rodzaju?

- Nic się nie martw. Jemu jest to już obojętne. Zabiłam go.

Ponowne wejście do Domu Eshera okazało się równie dezorientujące jak pierwsze.

Zastanawiała się, ile razy będzie musiała przebyć piekielny labirynt, zanim do niego przywyknie. A może tylko ci w pełni zniewoleni przez władcę wampirów byli uodpornieni na jego magię. Przemierzając kręte korytarze poczuła, jak mistrz przyciąga ją do siebie niczym magnes opiłki żelaza. Nie wspomniała Cloudy'emu o przysiędze krwi, ponieważ wiedziała, że nie zrozumiałby on znaczenia tego aktu. Obawiała się również utraty zaufania, które zdążyła już sobie u niego zaskarbić. Choć silna wola dodawała jej pewności siebie i poczucia bezpieczeństwa, musiała przyznać, że Esher faktycznie był charyzmatycznym władcą.

Nietrudno było pojąć, dlaczego słabsze, mniej pewne siebie wampiry lgnęły doń jak muchy do miodu.

Odnalazła Eshera w komnacie audiencyjnej, gdzie przyjmował kilku nowych

rekrutów. Większość z nich wyglądała na byłych włóczęgów lub nieostrożnych turystów -

najłatwiejsze ofiary współczesnego miejskiego wampira. Pospolici za życia, jako nieumarli pozostawali tacy sami. Nie posiadając własnego klanu ani klasy, potrzebowali kogoś takiego jak Esher, kto wniósłby do ich nowej egzystencji nowy cel. Byli żądni przynależności, łaknęli tego niczym umierający z głodu ludzie zebrani przy oknie wystawowym piekarni. Esher siedział na przenośnym tronie, obok niego stała Decima. Nikoli nie było w pobliżu.

- Wezwałem was przed swoje oblicze, przyjaciele - rzekł Esher dźwięcznym głosem - gdyż znajdujemy się właśnie u progu wielkiej zmiany! Za dwie godziny mam spotkać się z przedstawicielami potężnego ludzkiego kartelu narkotykowego. Rezultaty tego spotkania wywrą znaczący wpływ zarówno na Umarłe Miasto, jak i na to, co znajduje się poza nim. Mam powód, by wierzyć, że ludzie są zainteresowani usunięciem Sinjona i jego silnoręki raz na zawsze i zechcą w tym celu zwrócić się do mnie o pomoc.

Spokrewnieni zaczęli szemrać. Jeden z nich, przyobleczony w ciało młodego urzędnika, powiedział:

- Ależ panie, czy to nie doprowadzi do wybuchu dżihadu?

Pozostali rekruci rozmawiali między sobą coraz głośniej.

Wiedzieli, że otwarte wypowiedzenie wojny pomiędzy książętami to nie przelewki.

Pomimo iż potajemne działania stanowiły standardową procedurę wśród rywalizujących między sobą wampirzych klanów, współistniejących w licznych metropoliach na całym świecie, pełnoprawny dżihad należał do rzadkości. W dawnych czasach wojny pomiędzy wampirzymi władcami zdarzały się bardzo często, jednakże takie wynalazki jak łączność satelitarna, komputery osobiste i kamery wideo uczyniły tradycyjne metody działania nader ryzykownymi. Aby uczynić wojny jeszcze rzadszymi, rada rządząca Spokrewnionych, znana pod nazwą Camarilla i starająca się wszelkimi możliwymi sposobami ukryć przed światem ludzi istnienie wampirów, patrzyła nieprzychylnym wzrokiem na tych wszystkich, którzy

swymi poczynaniami mogli - lub chcieli - doprowadzić do wybuchu dżihadu. Tych, którzy występowali przeciwko regułom kodeksu zachowań opracowanego przez Camarillę, spotykała sroga kara. Nieuchronna i ostateczna.

- Teoretycznie to nie to samo co dżihad - rzekł Esher, uśmiechając się cierpliwie. -

Jeżeli czynniki zewnętrzne, tak jak w tym przypadku ludzie z kartelu narkotykowego, wypowiedzą wojnę księciu Spokrewnionych i zgłoszą się z formalną prośbą do innego Spokrewnionego, aby wsparł ich w walce z wrogiem, nie jest to dżihad w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Prawdziwy dżihad pomiędzy Spokrewnionymi sygnalizowany jest za sprawą rytualnego dostarczenia bukietu złożonego z tuzina czarnych róż.

Pragnę, aby przynajmniej niektórzy z was towarzyszyli mi dzisiejszej nocy podczas spotkania z bossami narkotykowymi. Nie dlatego, że się ich obawiam, pragnę jedynie, aby ujrzeli we mnie tego, za kogo się uważam, księcia Spokrewnionych! - Rekruci znów zaczęli dyskutować między sobą, lecz Esher uciszył ich klaśnięciem w dłonie. - Decima poinformuje was, kto zostanie włączony w poczet mojej świty. Do tego czasu oczekujcie mego przybycia w Danse Macabre!

Rekruci pokłonili się nisko, kładąc lewą dłoń na szyi w poddańczym geście i odwrócili się, aby odejść. Nieznajoma już miała podążyć za nimi, gdy dobiegł ją głos Eshera i natychmiast się zatrzymała.

- Chwileczkę, jeśli łaska. Chciałbym z tobą pomówić.

- Jak sobie życzysz, panie - odparła, siląc się na uśmiech.

Esher wychylił się do przodu, podparł podbródek na dłoni i przyglądał się nieznajomej badawczo.

- Powiedziano mi, że nie było cię w barakach podczas hibernacji. Nikt cię tam nie widział. Podobnie jak Torgo, od czasu gdy odesłałem go z tobą do katakumb. Był moim

niewolnikiem i choć go przyzywałem, mimo że krew ciągnie do krwi, nie odpowiedział na moje wołanie.

Nieznajoma wzruszyła ramionami.

- Nie przepadam za spaniem w gromadzie. A co się tyczy Torgo, ostatni raz widziałam go, jak człapał w głąb jednej z uliczek w poszukiwaniu jakiegoś pijaka.

Esher westchnął i pokiwał głową.

- To dość prawdopodobne. Ułomność to ułomność, czy pije się alkohol wprost z butelki, czy z szyi alkoholika. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby ten pijany głupiec nie zdążył skryć się przed słońcem. To jednak wciąż nie tłumaczy jego niesubordynacji.

Pilnuj się, nieznajoma, zwykłem rychło nagradzać tych, co dobrze mi służą, ale jeszcze szybciej karzę tych, którzy mnie zawiedli. Lepiej abyś nigdy nie poznała potęgi mego gniewu.

Skłoniła się, przykładając dłoń do szyi.

- Twoja wola jest dla mnie prawem, panie.

- Nie myśl, że unikniesz kary, dzieciно - rzekł srogim głosem Esher, wygrażając jej palcem. - Wymierzę ci ją osobiście, ale później. Dziś wieczorem mam jeszcze kilka znacznie pilniejszych spraw.

- Czy narkotykowi bossowie naprawdę zawitają do Umarłego Miasta, aby się z tobą spotkać? - zapytała, zmieniając temat.

Esher zaśmiał się oschle.

- Nawet za dnia nie odważą się tutaj przybyć! To przesądni głupcy, synowie zabobonnych, ciemnych chłopów. Jednakże to, że się nas boją, nie powstrzymuje ich przed robieniem z nami interesów. Nie, mam spotkać się z nimi w restauracji, która służy za przykrywkę dla ich ciemnych sprawek.

- Ufasz im?

Esher wzruszył ramionami.

- Czegóż miałbym się obawiać ze strony ludzi? Są jedynie narzędziami w moich rękach, i nic więcej.

- Czy mam ci towarzyszyć, panie?

- Nie, pozostaniesz tutaj. Posłałem po Nikolę. Ma oczekiwać mego powrotu w moim prywatnym apartamencie. Ponieważ podczas spotkania będzie mi towarzyszyć Decima, twoim zadaniem jest strzec Nikoli przed sługami Sinjona.

- Sądziłam, że to zadanie Webba i Obeaha. Przecież oni stale jej strzegą.

- To prawda. Ale są tylko ludźmi. Potrzeba im wsparcia strażniczki ze Spokrewnionych, na wypadek, gdyby Sinjon wysłał przeciwko nam swoich Potomków. A mam powód, by podejrzewać, że Sinjon zechce odebrać mi tę nader cenną tancerkę! Nieznajoma uniosła brew.

- Jak to?

- Postąpiłem nieroztropnie, proponując temu staremu wężowi podarek, a on zażyczył sobie, abym mu oddał Nikole! Oczywiście odmówiłem, więc oskarża mnie teraz o złamanie etykiety Spokrewnionych.

- Teoretycznie ma rację, panie?

- Nie obchodzi mnie, czy ma rację! Pierwej Piekło zamarznie, aniżeli dostanie to, czego pragnie! - uciął Esher i gwałtownie poderwał się na nogi. - Masz jej pilnować aż do mego powrotu, czy to jasne?

- Jak najbardziej, panie.

- Ryan? Gdzie jesteś! - wyszeptała nieznajoma, strzelając oczami we wszystkie strony.

- Tu, na dole - odparł chłopiec.

Spuściła wzrok i ujrzała bladą buzię malca wyzierającą spod kratki kanalizacyjnej.

Nieznajoma przykłękała na jedno kolano, udając, że zawiązuje sznurówkę i podała mu złożoną kartkę papieru.

- Jestem na patrolu, więc nie możemy długo rozmawiać. Zanieś to Sinjonowi.

- A pani?

- Esher nakazał mi zostać tu i pilnować Nikoli.

- Wyciągnie ją pani stąd, prawda?

- Spróbuję. Będą z nią Obeah i Webb.

- Co to dla pani! Załatwi ich pani raz - dwa.

- Posłuchaj, mały, doręcz tę wiadomość, w porządku? Wyprostowała się i spojrzała w stronę Domu. Nie powinna była mówić chłopcu o matce. Teraz dzieciak spodziewał się, że Nikola jeszcze dziś zostanie odbita z twierdzy Eshera. Podchodząc do punktu kontrolnego, zauważyła, że cała okolica dziwnie się wyludniła. Esher rozkazał, aby dziś wieczorem Pointersi czekali na niego w Danse Macabre, dzięki czemu służby Sinjona nie powinni zauważyć zmniejszenia się obsady strzegącej wejścia do klubu.

Gdy wspinała się po schodach, frontowe drzwi Domu otworzyły się i stanęła w nich Decima.

- Właśnie miałam iść cię szukać - rzuciła lodowatym tonem przyboczna.

- Obeszłam cały teren. Jest czysty.

- Za pięć minut lord Esher wyjdzie z budynku jednym z podziemnych tuneli; nie chce, by ktokolwiek wiedział, że opuszcza Umarłe Miasto. Masz tu czekać na przybycie jego oblubienicy, a potem dopilnować, aby bezpiecznie dotarła do prywatnego apartamentu lorda Eshera. Staniesz na straży przed drzwiami komnaty i nie opuścisz posterunku aż do powrotu władcy. Czy to jasne?

- Chyba tak.

- Nie chyba, ale na pewno, suko! - warknęła Decima. - Jeżeli coś się stanie Nikoli, ty za to odpowiesz!

Decima odwróciła się pogardliwie i spojrzała na zegarek, a nieznajoma pokazała jej palec. Webb i Obeah za pięć minut mieli opuścić wraz z Nikołą Bezpieczny Dom. Czasu będzie mało. Bardzo mało. Ale musi wystarczyć. Miała tylko nadzieję, że próbując dotrzeć do Sinjona, chłopak nie wpakuje się w żadne tarapaty.

Ryan wychylił się ostrożnie z ciemnej bramy, obserwując ulicę. Spuścił wzrok, spoglądając na srebrny ciernisty krzyżyk na swojej piersi. Po krótkim namyśle wsunął go z powrotem pod postrzępioną bluzę i podkoszulek. Kartkę otrzymaną od nieznajomej ścisnął w dłoni jak linę ratunkową. Wziął głęboki oddech, wybiegł ze swej kryjówki i puścił się pędem w stronę ciemnej alejki po drugiej stronie ulicy. Skulił się, wtulił głowę w ramiona i biegł ile sił w nogach. Sztuczki tej nauczył się, żyjąc na ulicy. Dzięki niej, gdyby zauważył go kątem oka któryś z Pointersów penetrujących tę okolicę, powinien przynajmniej z założenia wziąć go za wałęsającego się po mieście bezpańskiego psa. Oczywiście w ostatnich czasach w Umarłym Mieście nie było ich znowu tak wiele.

Wciąż wstrzymując oddech, pokonał zakręt i dotarł do wlotu uliczki, lecz sapnął głośno, gdy z impetem wpadł na czyjeś nogi. Stracił równowagę i przewrócił się, lecz nie wypuścił kartki, którą trzymał w dłoni przyciśniętej do piersi.

Krępy, potężnie zbudowany Afroamerykanin w kurtce Pointersów i z literami BMF wygolonymi z boku głowy łypnął gniewnie na Ryana. W wielkiej jak bochen chleba dłoni dzierżył butelkę Olde English, a w drugiej papierosa.

- Te, śmieciu, chcesz ze mną zadrzeć? - warknął BMF. Nagle zmarszczył brwi. - Ejże, poczekaj no? To ty jesteś ten dzieciak!

Ryan podniósł się z ziemi i rzucił do ucieczki. Słyszał, jak olbrzymi Murzyn ciska precz butelkę z alkoholem i klnąc na czym świat stoi, rusza w pościg. Ryan był młodszy i szybszy, ale BMF miał trzy razy dłuższe nogi niż on. Mógł jedynie liczyć na to, że po drodze napotka otwarte piwniczne okienko lub stary zsyp węglowy, w którym będzie mógł się ukryć. Skręcając za róg, zorientował się, że znalazł się naprzeciwko kościoła. To oznaczało, że był prawie u celu. Czarna Loża znajdowała się tuż - tuż! Kiedy jednak obejrzał się przez ramię, aby sprawdzić, co z jego prześladowcą, potknął się i runął na bruk z taką siłą, że rozkrwawił sobie nos i poobijał kolana.

Zebrało mu się na płacz, ale nie były to łzy dziecka, które zraniło się podczas zabawy. To były łzy smutku. Nie zdołał dostarczyć wiadomości Sinjonowi. A przez jego porażkę, przez to, że zawiódł, już nigdy nie zobaczy matki. Uniósł głowę, aby spojrzeć swemu zabójcy prosto w oczy. Miał ciemnego oblicza BMF - a ujrzał jednak twarz niespełna szesnastoletniego chłopca. Choć skóra nastolatka była biała jak kreda, usta miał czerwone i pełne jak dojrzałe pomidory.

- Co my tu mamy? - zamruczał młody wampir. - Brzdąca?

W polu widzenia malca pojawiła się druga, równie blada twarz, jeszcze młodsza niż poprzednia.

- Tristanie! Spójrz! On krwawi! - rzucił z uniesieniem drugi krwiopijca.

- Widzę, Ethanie. Jaki smakowity malec! Mógłbym go schrupać na miejscu!

- Cofnijcie się, sukinsyny! Ten śmieć jest mój!

Tristan i Ethan spojrzeli na stojącego dwadzieścia stóp dalej BMF - a, mierzącego w ich stronę z półautomatycznej .45.

- Tylko żadnych sztuczek, dupki, bo mam w magazynku tej zabawki naboje fosforowe!



Tristan uśmiechnął się, obnażając kły i uniósł ręce do góry.

- Niech pan nie strzela, panie oprych!

Ryan leżał na twardym bruku, wodząc wzrokiem pomiędzy Tristanem, Ethanem i BMF - em i nagle stracił Ethana z oczu. Zupełnie jakby ktoś wdusił przycisk i młody wampir zniknął. W sekundę później BMF wrzasnął, gdy ktoś z potężną siłą wykręcił mu do tyłu rękę, w której trzymał pistolet. Jego ramię wydało dźwięk przypominający trzask gruchotanego modelu samolotu z balsy. Zaraz potem Ethan znów się pojawił, teraz jednak stał za Pointersem, trzymając odebraną mu broń. Sarkastyczny uśmiech młodego wampira zastąpił gniewny grymas, gdy bezceremonialnym ruchem przyłożył lufę .45 do liter wygolonych na czaszce BMF - a.

- Lekcja numer jeden: Ludzie nie powinni grozić Spokrewnionym. Zwłaszcza gdy tamci mają nad nimi przewagę liczebną.

Nacisnął spust. Czaszka Pointersa rozbryznęła się w powodzi białego ognia. Ethan przestąpił ciało opryszka, otrzepując dłonie.

- Na czym to skończyliśmy?

Tristan ponownie zainteresował się Ryanem, nachylając się nad nim tak bardzo, że chłopiec widział teraz tylko jego mięsiste czerwone wargi. Spomiędzy nich wysunął się ruchliwy język, zlizując krew ściekającą po policzku malca. Wampir miał nieświeży oddech.

Nagle Tristan drgnął i cofnął się gwałtownie, sycząc jak rozzłoszczony kot.

- Czary!

Ryan spuścił wzrok i dostrzegł, że krzyżyk otrzymany od nieznajomej znów wysunął mu się spod ubrania.

- To o nim mówił nam Sinjon! - rzekł Ethan, wskazując na Ryana. - Mamy przyprowadzić chłopca do niego!

Tristan z jawną pogardą przyglądał się Ryanowi.

- A czego może chcieć nasz ksiązę od takiego obszarpańca?

- Wiem tylko, że ten dzieciak znajduje się pod ochroną lorda Sinjona. - Ethan pochylił się, złapał Ryana za kołnierz na karku, ostrożnie, aby nie dotknąć srebrnego łańcuszka z krzyżykiem, który malec nosił na szyi, po czym podniósł go na nogi. Dwie minuty później Ryan był już prowadzony korytarzami Czarnej Łoży. Inne wampiry, zaciekawione obecnością dziecka, wychylały głowy z pomieszczeń mijanych przez chłopca, lecz gdy tylko dostrzegały wiszący na jego szyi talizman, czym prędzej odwracały wzrok i powracały do swoich kryjówek.

Dotarli wreszcie do pokoju, gdzie na wielkim, złotym fotelu siedział mężczyzna ubrany jak facet z banknotu jednodolarowe - go. U jego stóp leżał chłopiec, podobny zarówno do Tristana, jak i do Ethana, który jednak wciąż był człowiekiem.

Sinjon uśmiechnął się i wyciągnął elegancko wymanikiowaną dłoń.

- Witaj, mój mały. Jestem Sinjon, ksiązę Umarłego Miasta. Zdaje się, że masz coś dla mnie??

- Nie podoba mi się to - rzucił Obeah z tylnego siedzenia Batmobilu. - Chociaż nie cierpię tej wampirzej suki, jest nam potrzebna dla dodatkowej ochrony.

Spojrzał na Nikole, siedzącą pomiędzy nim a drzwiczkami od strony kierowcy i spoglądającą na swe odbicie w mocno przyciemnionej szybie. Jeżeli go usłyszała, nie dała tego po sobie poznać.

- Esher powiedział, że ktoś będzie czekać na nas na chodniku przed domem. Pójdzie gładko, stary, nie trać głowy. - Webb wybuchnął śmiechem. Siedział z przodu obok kierowcy.

- Nigdy nie tracę głowy, dlatego do dziś mam ją jeszcze na karku - odciął się Obeah. -

Kto ma na nas czekać?

- Nie wiem. Chyba ta nowa lala. Ta w lustrzankach.

- Kurwa! Jest jeszcze gorsza niż Decima!

Webb odwrócił się i uśmiechnął do Obeaha.

- O kim ta mowa? Ja tam chętnie bym ją przeleciał! Jest ekstra!

- Tja, jeżeli lubisz trupie mięso.

- Spadaj. Cipka to cipka, niezależnie od temperatury ciała! - Webb zaśmiał się. Wciąż jeszcze chichotał z udanego żartu, gdy czyjaś dłoń przebiła przednią boczną szybę od strony pasażera i chwyciwszy opryszkę za kołnierz kurtki, wywlokła go z samochodu.

Kierowca zaklął i sięgnął po glocka leżącego na desce rozdzielczej cadillaca. Zanim jednak palce goryla zacisnęły się na kolbie pistoletu, coś zimnego i ostrego dotknęło jego szyi. A potem zrobiło mu się ciepło, gdy struga krwi buchającej z rozciętej tętnicy zbryzgała przednią szybę.

Nikola patrzyła na krew ochroniarza barwiącą wewnątrz auta jaskrawą czerwienią i uświadomiła sobie, że coś jest nie tak. Odwróciła się, by spojrzeć na Obeaha, który próbował przedostać się na przedni fotel i przejąć kierownicę, podczas gdy Batmobil, podskoczywszy na krawężniku, wjechał na chodnik i sunął wprost na ceglany mur. A przynajmniej przypominało to mur. Przez krew rozbryzniętą na szybie trudno się było zorientować.

Rozległ się głośny huk i markowy cadillac uderzył w ścianę, a Obeah wśród odłamków szkła wyleciał przez przednią szybę. Odbił się od maski auta jak od trampoliny i ciężko wylądował na chodniku. Nikola została ciśnięta na tylne siedzenie z taką siłą, że obięła sobie ramię, lecz poza dużym sińcem nic jej się nie stało. Siedziała na podłodze, w bezruchu, wsłuchując się w syk chłodnicy Batmobilu. Nie poruszyła się, gdy tylne drzwiczki samochodu zostały wyrwane z zawiasów i odrzucone na bok. Dopiero wtedy skuliła się z przerażeniem na widok kobiety, którą wzięła omyłkowo za Decimę.

- Nikola? Nic ci nie jest?

Ta nieznajoma z pewnością nie była Decimą. Wampirzycy byłoby obojętne, czy coś jej się stało.

- Słyszysz mnie, Nikola?

Pokiwała głową.

Nieznajoma zamruczała coś pod nosem, po czym wyciągnęła rękę i złapała tancerkę za nadgarstek, wyciągając ją ze zniszczonego samochodu.

Nikola spojrzała beznamiętnie na Obeaha leżącego opodal na chodniku, z błyszczącymi we włosach odłamkami „bezpiecznej” szyby. Choć jego twarz i ubranie były zakrwawione, mężczyzna wciąż oddychał. Webb nie miał tyle szczęścia. Od uderzenia w krawężnik pękła mu czaszka, mózg wypłynął z niej niczym pasta z przełamanej tubki, przesłaniając fragment pajęczynowego tatuażu.

- Łup łup po łbie - zachichotała Nikola.

Nieznajoma zaprowadziła ją w głąb pobliskiej uliczki, po czym ujęła ją za ramiona i odwróciła twarzą do siebie. Zdjęła lustrzanki, ukazując oczy koloru świeżej krwi.

- Posłuchaj mnie uważnie, Nikola.

Tancerka zamrugła powiekami i drgnęła, ale nie próbowała się wyrwać.

- Powiedz mi, gdzie to jest.

- Co mam ci powiedzieć? - wyszeptała cichutko.

- Gdzie jest kokaina, którą Webb i Obeah zabrali Borgesowi. Gdzie ona jest?

- W pokoju Eshera.

- Gdzie dokładnie w pokoju Eshera?

- W chińskim kufrze.

- Dobra z ciebie dziewczynka. - Nieznajoma pochyliła się i palcem wskazującym

dotknęła karku tancerki. - Teraz zaśnij.

Pochwyciła Nikole, gdy ta w jednej chwili zwiotczała i przerzuciła ją sobie przez ramię jak worek z mokrym praniem. Nie miała wyjścia, musiała skorzystać z Akceleracji, zabierając z sobą Nikole. Nie była pewna, jaki efekt może wyrzucić taka przejażdżka na jej towarzysze, bądź co bądź Widmowy Krok czy Szybkość, jak go nazywali głupcy w rodzaju Eshera, był fizycznie wyczerpujący nawet dla wampirów. Mimo to na obecnym etapie nie miała wyboru.

Wzięła głęboki oddech, skoncentrowała się i wykonała krok w bok, poprzez czas i przestrzeń. Dla nieuzbrojonego oka wyglądało to, jakby nagle zniknęła, lecz wciąż tam była, jako iskierka czerni, dostrzegalna kątem oka. Zwykle, wchodząc w Akcelerację, poruszała się raczej leniwie, ale tym razem bardzo się jej spieszyło. Jak błyskawica pokonywała kolejne zaułki i uliczki, starając się omijać rejony nawiedzane przez sługi Eshera. Z Akceleracji wyszła dopiero przed drzwiami Czarnej Łoży, pojawiając się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki tuż przed zdezorientowanym i mocno wystraszonego wartownikiem w kurtce Black Spoons.

- Sinjon mnie oczekuje - rzuciła oschle, mijając młodzieńca, zanim zdążył wymierzyć w nią AK - 47.

Sinjona zastała w jego prywatnej komnacie, gdzie z posępną fascynacją człowieka obserwującego, jak posila się boa dusiciel, przyglądał się Ryanowi pochłaniającemu chrupki i popijającemu mleko czekoladowe. Vere, faworyt Sinjona, siedział w kącie na otomanie. Minę miał nietęgą. Ryan, ujrawszy, jak nieznajoma zdejmuje z ramienia bezwładną Nikole, natychmiast zapomniał o łakociach i poderwał się gwałtownie, rozlewając mleko czekoladowe na siedemnastowieczny perski dywan.

- MAMA!

Przebiegł przez pokój, wtulając twarz w podołek Nikoli, rozsmarowując czekoladę i okruchy chrupek na jej białej, satynowej sukience. Nikola zamrugła powiekami, jakby coś zbudziło ją nagle ze snu, po czym spojrzała na tulącego się do niej chłopca. Wyciągnęła drżącą dłoń i lekko dotknęła jego głowy, mierzwiąc identyczne jak u niej, przedwcześnie posiwiałe włosy.

- R - ryan? - wyszeptała.

- Wymówiłaś moje imię! - Chłopiec uśmiechnął się do matki. Nagle, gdy spojrzał na jej twarz, jego uśmiech przygasł. Spojrzał z zakłopotaniem na nieznaną, po czym znów przeniósł wzrok na matkę.

- Ryan. Masz na imię Ryan. Wiedziałaś to, prawda? - Nikola nie zwróciła uwagi na reakcję syna. - Wiedziałaś to jeszcze przed Esherem, zgadza się? - Odwróciła się i uśmiechnęła do nieznanym, ukazując jej swoje oblicze. W ciągu zaledwie jednego dnia tancerka postarzała się o dziesięć lat.

Nieznaną nie okazała zaskoczenia ani zdumienia i odpowiedziała uśmiechem.

- Oczywiście że znasz Ryana. To twój syn.

Sinjon odprowadził nieznaną na stronę, uśmiechając się krzywo.

- Udowodniłaś dziś, że zaprawdę dobrze mieć cię po swojej stronie, moja droga.

Najpierw ostrzegasz mnie przed knowaniami Eshera i jego podwójną grą, a teraz dostarczasz mi do domu jego cenną tancerczkę! Gdybyś jeszcze zdołała odzyskać dla mnie narkotyki?

Nieznaną pokręciła głową.

- Nic z tego, krewniaku. Maje przy sobie. Zamierza oznajmić, że jeden z jego sług odebrał je twojemu kurierowi, a następnie oddać je Braciom w goście dobrej woli.

- Niech go wszyscy diabli! - wysyczał Sinjon.

- Wygląda na to, że możesz odzyskać dobre imię tylko w jeden sposób - musisz rozbić

jego wieczorne spotkanie z twoimi byłymi kontrahentami. Dostałeś ode mnie wiadomość?

- Tak. I wiem, o którą restaurację chodzi.

- Na co więc czekasz?

- Już teraz na nic. A ty, moja droga? Czy wybierzesz się tam z nami?

Pokręciła głową.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, panie, wołałabym nie ujawniać na razie, po czyjej stronie się opowiadam. W razie gdyby coś poszło nie tak, zawsze mógłbyś liczyć na moją dalszą współpracę.

- A co z nimi? - Vere wskazał na Ryana i Nikole, siedzących na otomanie przy kominku.

- Pozostaną pod moją ochroną! - oznajmił Sinjon, sięgając po swój kapelusz i laseczkę. - Kobieta może okazać się słabym atutem przetargowym, zwłaszcza gdyby Esher przyjrzał się jej w silnym świetle, ale on nie ma o tym pojęcia i nie dowie się, bo niby skąd?

Dziesięć lat temu w tej okolicy stały tylko walące się magazyny, jadłodajnie dla ubogich i misje, lecz przed kilkoma laty handlarze nieruchomości „przechrzcili” ją na „dzielnicę sztuki”. Magazyny odnowiono i przerobiono na pracownie artystyczne, na które nie było stać żadnego artysty. Jadłodajnie stały się modnymi drogimi restauracjami serwującymi specjały kuchni nouvelle, południowoamerykańskiej oraz japońskiej. W miejsce misji pojawiły się butik i sklepy pamiątkarskie serwujące po zawyżonych cenach rozmaite drobiazgi.

Restauracja stanowiąca przykrywkę dla Kolumbijczyków nosiła nazwę L'Emeraud. Na parterze mieściły się sala jadalna oraz bar. Piętro rezerwowane było na zamówienia zbiorowe i specjalne okazje w rodzaju wesel, przyjęć urodzinowych oraz spotkań pomiędzy bossami narkotykowymi a panami wampirów.

Sala bankietowa na piętrze urządzona była w modnej tonacji bieli i morskiej zieleni.

Trzy francuskie okna wychodziły na zadaszony ganek, skąd, jeśli pozwalała na to pogoda, uczujący mogli rozkoszować się przepiękną panoramą zatoki roziskrzanej światłami miasta.

Tej nocy kotary były szczelnie zaciągnięte, a przy oknach stali uzbrojeni po zęby ochroniarze w tandetnych garniturach. Schody służbowe prowadzące do kuchni również były strzeżone.

Bracia Borges siedzieli przy końcu długiego stołu, w otoczeniu kilku silnorękich. Ich przywódcą był Antonio Borges, niski, krępy mężczyzna o włosach posiwiałych na skroniach i z długim kucykiem zwieszającym się aż na plecy nieskazitelnie skrojonej marynarki od Armaniego. Podczas gdy kartel, z którym był związany, miał swoje korzenie w Cali i okolicach, on prowadził interesy z terenu Miami. Po drugiej stronie stołu siedział Esher wraz z towarzyszącą mu Decimą, czterema członkami swojej enklawy i półtuzinem Pointersów.

- To dla mnie zaszczyt, że zgodziłeś spotkać się z nami, lordzie Esher - rzekł Borges.

- Cała przyjemność po mojej stronie, senior Borges - powiedział Esher, nie pokazując zębów. - Wyrazy współczucia z powodu przedwczesnej śmierci brata.

- Dario był nie tylko moim bratem, lecz również współnikiem w interesach. Wiesz o tym doskonale, znasz wszak lepiej od innych wartość i znaczenie krwi.

- Tak, to prawda - przyznał Esher. - Co pan proponuje, senior Borges?

- Sojusz pomiędzy twoją enklawą a naszym kartelem. Chcielibyśmy, abyś wspomógł nas przeciwko Sinjonowi.

- Wspomógł, to znaczy...?

- Unicestwił.

Esher przez chwilę gładził się po podbródku, po czym nachylił się i wyszeptał coś do Decimy, która pokręciła głową. Esher ponownie skupił swą uwagę na Borgesie.

- Co będę z tego miał?



- Pozbędziesz się wroga.

Władca wampirów wybuchnął śmiechem, tym razem w taki sposób, że narkotykowy boss wyraźnie zobaczył jego zęby.

- Gdyby ta motywacja była dla mnie wystarczająca do podjęcia działań przeciwko wolnomularzom, już dawno temu umarłby Ostateczną Śmiercią! Nie, senor Borges. Wie pan doskonale, że Spokrewnieni nie mieszają się w sprawy śmiertelnych, chyba że może to przynieść nam wymierne korzyści. No dalej, amigo, co możesz zaproponować, aby skłonić do współpracy kogoś takiego jak ja?

- Kokainę w takich ilościach, że będziesz dwakroć bogatszy niż Sinjon.

Uśmiech Eshera poszerzył się i wystrzył.

- No, no, to ciekawe. Chyba dobijemy targu, senor. Jakkolwiek musimy najpierw dopełnić kilku niezbędnych formalności. - Esher wyjął z kieszeni umieszczonej na piersi złożony arkusz pergaminu i staroświeckie wieczne pióro z obsydianu. Stalówka rozbłysła; wydawała się ostrą niczym brzytwa.

- Formalności?

- Lubię mieć wszystko na piśmie. Borges zmarszczył brwi.

- Miałbym podpisać kontrakt?

- Nazwałbym to raczej paktem, mój drogi - wyjaśnił Esher, podchodząc do drugiego końca stołu, gdzie siedział Borges. Rozłożył pergamin i koniuszkami palców podsunął w stronę narkotykowego bossa.

Borges podniósł czysty arkusz i wymamrotał coś po hiszpańsku do swoich kompanów, którzy poruszyli się nerwowo. Spojrzał na Eshera, usiłując możliwie jak najlepiej ukryć przepelniający go wstręt i odrazę.

- To... nie jest... papier.

- Och! Doceniam, gdy ktoś potrafi po dotyku rozpoznać ludzką skórę!

Esher podał Borgesowi pióro, ten, wymieniwszy spojrzenia z pozostałymi, wyciągnął po nie rękę.

Poruszając się z szybkością kobry, Esher wbił czubek stalówki w kciuk Borgesa, aż pociekła krew. Boss narkotykowy cofnął dłoń.

- *Madre de Dios!* Co to za sztuczki, ty obłudny łotrze!

- To żadne sztuczki, senor! Nie mam takiego zwyczaju. Jeżeli chcesz, bym wspomógł cię przeciwko Sinjonowi, musisz uczynić, co każe, czyli podpisać się własną krwią na tym oto pergaminie. Jeśli tego nie zrobisz... niechaj Bóg ma cię w swojej opiece. Bo kto ma mnie pod opieką, wiem doskonale.

Na twarzy Borgesa malował się grymas konsternacji i z troskania. Wyglądał jak ktoś, kto balansuje na granicy potępienia i wie, że nic już nie może go ocalić. Drżącą ręką przyjął od Eshera wieczne pióro i nakreślił swe imię u dołu pustego arkusza z ludzkiej skóry.

- Doskonale! - wampir uśmiechnął się. - Później potwierdzą to notarialnie.

Kiedy wyciągnął rękę, aby złożyć dokument i schować do kieszeni, rozległ się głośny szum, jakby świst porywistego wiatru, wszystkie francuskie okna otwarły się równocześnie i do pomieszczenia wkroczył w aureoli chwały, jak zawsze wytworny na swój sposób, Sinjon, w asyście kilku wampirów i ponad tuzina Black Spoonsów.

- Dobry wieczór wszystkim! Wygląda na to, że ktoś zapomniał wysłać mi zaproszenie na to małe soiree. Mam nadzieję, że nie gniewacie się, iż przybyłem tu z własnej inicjatywy? Ludzie Borgesa, Pointersi i Black Spoons dobyli broni. Zapanowała chwila napięcia, podczas gdy Black Spoons wycelowali w Pointersów i ludzi Borgesa, Pointersi wymierzili w Black Spoons, a ludzie Borgesa, dezorientowani, skierowali broń w członków obu gangów.

- Ty żaloszny, żłopiący krew dziwolągu! - ryknął do Eshera Borgesa, odsuwając się od

stołu. Spod marynarki od Armaniego wydobyl niklowana .38. - Wystawiles mnie! Nikt nie bedzie robic w konia Antonio Borgesa! Nikt!

Borges wypalil z przylozenia, lecz wampir zmienil sie w rozmyta, ciemna plame, pojawiajac sie w ulamku sekundy pozniej przy drugim koncu stołu. Kula przeznaczona dla Eshera nie zmarnowala sie jednak, trafiajac w kelnera, który pojawil sie wlasnie w drzwiach wejscia sluzbowego z kawą na tacy przyslaną przez kierownictwo lokalu. Pechowy pracownik L'Emerauda runal na podloge posrod jezorow bialego ognia i potluczonej porcelany, jego krew mieszala sie z goracym, wonnym naparem.

W oczach Eshera pojawily sie gniewne blyski.

- Fosfor? Przyniosles na nasze spotkanie broń z pociskami zapalajacymi?

- Pewno, ze tak! - odparowal Borges. - Sdzisz, ze moglbym negocjowac z potworami, nie majac przy sobie odpowiedniego zabezpieczenia?

- Dość tego! Zrywam umowe! - warknal Esher i zmiął w dłoni arkusz pergaminu.

Borges przylozyl obie dlonie do piersi, oczy wyszly mu z orbit, w kancikach ust pojawila sie krew. Upadl na podloge, krwawiac z nozdrzy, uszu, ust, gruczołow łzowych oraz odbytu.

Ludzie Borgesa otworzyli ogien do gangsterów Sinjona i Eshera, i w ciagu paru sekund pomieszczenie wypełnilo sie gradem zapalajacych pocisków. Esher, ryczac z wsciekłosci, wyrócił stól konferencyjny, miażdzac pod nim jednego z przybocznych Borgesa. Powietrze stęzalo na ulamek sekundy jak bańka mydlana, zanim pęknie i wampiry w jednej chwili zniknęly, pozostawiajac na sali wyłacznie swoich ludzkich podwładnych.

Pointersi i Black Spoons natychmiast zorientowali sie, co oznaczal ten zmasowany exodus i zbili sie w zwartą grupe, by nie pozostawic odsłoniętych tyłów.

Ludzie Borgesa jednakze tylko mrugali powiekami i rozgladali sie dokoła

zdezorientowani. Nagle jeden z nich wrzasnął, gdy niewidzialne dłonie zgruchotały mu ramię. W chwilę później głowa drugiego z nich została oddzielona od ciała i ciśnięta na podłogę. W przeciągu kilku sekund dwunastu ochroniarzy narkotykowego bossa zostało rozszarpanych na sztuki jak kury w kurniku, do którego zakradła się nocą łasica.

Pozostając w Akceleracji, wampiry z łatwością mogły unikać tnących powietrze pocisków. Śmiertelni słudzy obu lordów nie mieli takiej możliwości. Dymiące ciała zarówno Pointersów, jak i Black Spoons zasłały podłogę, podziurawione fosforowymi kulami. Trudno to było stwierdzić, ale wydawało się, że przewagę w walce zaczynają zdobywać siły Sinjona. Decima znowu stała się widoczna. Pojawiła się w jednym z okien, opasując jedną ręką szyję Vere'a, faworyta Sinjona, a drugą przytykając do podbródka chłopca naładowaną kuszę.

- Tatusiu! - jęknął Vere. - Przestań!

Sinjon, w przekrzywionej, upudrowanej peruce i kamizelce pokrytej plamami krwi, dał pozostałym sygnał do wyjścia z Akceleracji. Ruszył w stronę swego oblubieńca, lecz Decima warknęła groźnie i pokręciła głową.

- Nie zbliżaj się, starcze, albo nadzieję jego mózg na ten bełt jak oliwkę!

Ponownie pojawili się słudzy Eshera. Choć sam mag krwi nie ucierpiał podczas walki, nie można było powiedzieć tego samego o jego rekrutach. Mimo iż enklawa Eshera była liczniejsza niż Sinjona, tworzyli ją w większości młodzi, niedoświadczeni Spokrewnieni.

Potomstwo Sinjona składało się natomiast ze starszych, bardziej zaprawionych w bojach wampirów, którzy spędzili w piekle Umarłego Miasta wiele dekad i nauczyli się niejednego, a teraz pokazali, co potrafią.

- Dobra robota, Decimo - pochwalił Esher. - Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

- Puść chłopaka! - warknął Sinjon. - On na nic ci się nie przyda!

- Wręcz przeciwnie, mój drogi Sinjonie - odparł Esher. - Przyda się, i to bardzo, jako

nasze zabezpieczenie i tarcza. Rozkaż swoim sługom, aby opuścili broń albo Decima zrobi twojemu kochasiowi coś bardzo nieprzyjemnego!

- Słyszeliście, co powiedział! - ryknął do swych podwładnych Sinjon. - Opuśćcie broń!

Black Spoons wymienili niepewne spojrzenia, po czym wykonali polecenie. Decima, ciągnąc za sobą chłopca, wyminęła starszego wampira, przystając na chwilę, aby mógł po raz ostatni spojrzeć w oczy młodemu kochankowi.

- Nie waż się go skrzywdzić! - ostrzegł Sinjon. - Albo srodze tego pożałujesz, magu. Zapamiętaj moje słowa!

- Co ty nie powiesz! - mruknął drwiąco Esher.

Sinjon posłał swemu rywalowi lodowate spojrzenie i uśmiechając się złowróźnie, wyrecytował:

- Pod swój kamień wróc robaku, dom twój lada chwila zgorze, twoje dzieci same są, ocal je, dopóki możesz.

Triumfalny uśmiech Eshera znikł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Na dźwięk syren wozów policyjnych i karettek obaj lordowie zasyczeli gniewnie. Przywykli do Umarłego Miasta i tego, że ludzie nie mieszają się w ich sprawy.

W kilka chwil później na piętro wdarli się policjanci wraz z grupą sanitariuszy.

Napotkali tam tuzin częściowo zwęglonych ciał, w tym kilka naszpikowanych kulami, pozostałe były rozdarte na strzępy. Na dodatek niektóre z ciał nie wyglądały zbyt świeżo. Na ich oczach trupy zaczęły się rozkładać, kurcząc się, wysychając i zapadając się w sobie jak gnijące dynie. Policjanci i sanitariusze zaczęli szeptać między sobą, a kilku starszych spośród nich spoglądało niespokojnie dokoła. Jeżeli nawet któryś z nich zauważył kątem oka cienie majaczące na obrzeżach pola widzenia, nie wspomniał o tym ani słowem.

## ROZDZIAŁ 8

Nieznajoma niepewnym krokiem przemierzała zapętlające się korytarze twierdzy Eshera. Musiała się spieszyć. Esher mógł wrócić lada chwila. Gdyby zastał ją przeszukującą jego prywatny apartament, byłoby po wszystkim; musiałyby podjąć walkę nie tylko z magiem krwi, lecz z całą jego enklawą. Od czasu do czasu lubiła ryzyko, nie była jednak niespełna rozumu. Wędrówka przez Dom, gdy znajdował się w nim Esher, nie należała do najłatwiejszych, pod jego nieobecność zaś okazała się istnym koszmarem. Wszystkie drzwi wydawały się znajome i obce zarazem, zakłócając jej orientację. Kilkoro drzwi, które zdecydowała się otworzyć, prowadziło do względnie zwyczajnych pokoi, inne natomiast skrywały w sobie pułapki międzywymiarowej pustki. Drzwi do tych ostatnich zamykała w okamgnieniu. Któż wie, co czai się w zakamarkach domu, gdzie przestrzeń zakrzywia się sama na siebie niczym origami?

Nacisnęła kolejną klamkę, spodziewając się ujrzeć za progiem czarną nicość, tym razem jednak jej oczom ukazał się pełen przepychu prywatny apartament Eshera. Pokoje były przestronne i w wystroju zbliżone do komnaty audiencyjnej, na ścianach wisiały gobeliny, z sufitu zwieszały się kandelabry. Wystroju dopełniały zadziwiające pod względem doboru antyczne meble, oscylujące od empire po Jugendendstil, za sprawą których odnalezienie chińskiego kufra wspomnianego przez Nikole okazało się trudniejsze, niż nieznajoma się spodziewała.

Napotkała go w końcu w alkowie, stał ukryty za kotarą z barwnych, szklanych paciorków układających się w wizerunek ryczącego tygrysa. Był to czarny, lakierowany kufer o kształcie pagody, ze spiżowymi smoczymi łapami i wyszczerzonym smoczym łbem zdobiącym wieko. Uniosła je i ujrzała na dnie skrzyni dwa pięcioletowe pakiety zawierające biały proszek. Uśmiechnęła się i pokręciła głową. Musiała to przyznać Esherowi, nie tracił

czasu na przepakowywanie skradzionych narkotyków. Pospiesznie ukryła paczuski w specjalnych kieszeniach wszytych w podszewkę jej kurtki. W minionych latach niejednokrotnie miała okazję przemycać w nich kontrabandę, aczkolwiek były to zwykle towary bardziej ezoterycznej natury.

Gdy ma się do czynienia z demonami i innymi paskudnymi istotami, części ciała skazanych morderców i tym podobne mroczne talizmany okazują się znacznie bardziej cenne niż pieniądze czy narkotyki.

Upewniwszy się, że pakiety zostały właściwie zabezpieczone, wyjęła z tylnej kieszeni perfumowaną, koronkową chustkę do nosa. Wyglądała całkiem zwyczajnie, lecz roztaczała silny, charakterystyczny zapach, a w jednym rogu ozdobiona była symbolem Masonów.

Sinjon musiał być wyjątkowo nieostrożny, pozostawiając tego typu przedmioty osobiste gdzie popadnie. Uśmiechnęła się drwiąco, upuściła chustkę na dno kufra i zamknęła wieko.

Musiała teraz jak najszybciej powrócić do komnaty audiencyjnej, aby poczekać tam na Eshera. Jednego była pewna, gdy wróci do domu, Esher na pewno nie będzie w szampańskim nastroju.

Drzwi do komnaty audiencyjnej otwarły się, uderzając z trzaskiem o ścianę, aż zatrzęsł się cały Dom i nieznajoma natychmiast podeszła, by powitać Eshera.

- Gdzie ona jest? - zagrzemiał lord. - Gdzie Nikola?!

- Nie ma jej tutaj, panie.

Prawa dłoń Eshera wystrzeliła z nadludzką szybkością, palce jak szczęki imadła zacisnęły się na gardle nieznajomej.

Jej ciało wyprężyło się, gdy toczyła wewnętrzny bój z pragnieniem zdobycia sprężynowca i zatopienia srebrnego ostrza w piersi pana wampirów. Bezpośredni atak przyniósłby jej prawdziwą satysfakcję, lecz nie był rozsądnym posunięciem. Tańczyła

złożonego kadryla z dwoma książętami wampirów i jeden fałszywy krok mógł okazać się dla niej zgubny. Czowała, jak Inna w jej wnętrzu budzi się i porusza gdzieś na dnie mózgu, reagując na emanującą z Eshera agresję i wrogość niczym pogrążony w hibernacji wąż na pierwsze oznaki ocieplenia. Ostatnia rzecz, jakiej mogła pragnąć, to ujawnienie Obcej, która w obłąkanym szale obróciłaby wniwecz jej starannie opracowany plan. Wytłumaczyła sobie, że już wkrótce wytoczy z Eshera krew, teraz jednak potrzebowała go żywego. A w każdym razie nieumarłego.

- Jeżeli skręcisz mi kark, niczego ci nie powiem - wysapała. - Uniosła dłonie i spróbowała odgiąć palce Eshera wpijające się w jej krtań. Gdy przemówiła, jej głos był twardy i zimny jak czarne szkło. - Nigdy więcej tak nie rób.

- Grozisz mi, dziecino? - warknął władca wampirów.

- Nie grożę. Mówię tylko.

Jego usta wykrzywił cyniczny grymas, błysnął obnażony kiel.

- Tutaj ja mówię, kobieto! Lepiej, żebyś o tym pamiętała, jeżeli nie chcesz stracić głowy! A teraz mów, gdzie Nikola?

- Sinjon ją ma.

- Jak to? Co się stało?

- Zrobiłam, jak kazałeś, czekałam przed Domem na przyjazd Batmobilu. Gdy się nie zjawił, zaczęłam go szukać. Odnalazłam go w połowie drogi. Zjechał z ulicy i uderzył w jakiś budynek. Kierowca i Webb zginęli. Obeah przeżył, choć był ranny i nieprzytomny.

Sprowadziłam go tutaj i przydzieliłam kilku Pointersów do ochrony. Uznałam, że zechcesz przesłuchać go, aby dowiedzieć się, co zaszło.

- Czy jest przytomny?

- Tak. Chyba tak.



Esher zaczął krążyć niespokojnie po pokoju, po czym wspiął się na podwyższenie, gdzie stał jego tron.

- Przyrowadź go do mnie.

W minutę później zjawił się Obeah, eskortowany przez dwóch Pointersów.

Jego szerokie, ciemne oblicze przecinały czerwone pręgi, w grubych dredach wciąż lśniły odłamki szkła. Opierał się na prowizorycznej lasce z ołowianej rurki, oszczędzając zeszywniała prawą nogę. Nos miał złamany, a lewe oko prawie całkiem zamknięte, lecz poza tym prezentował się całkiem nieźle jak na kogoś, kto wyleciał przez przednią szybę i jak piłka odbił się od maski auta.

- Zawiodłeś mnie, bokorze - rzucił posępnie Esher.

- To nie moja wina, panie - wyjaśnił Obeah. - To, co nas zaatakowało, nie było człowiekiem! Zwykle nie stanowiło to dla nas problemu, gdyż towarzyszyła nam lady Decima, lecz dzisiejszej nocy nie było jej z nami. Musiało ich być dwóch albo nawet trzech! Zanim się zorientowałem, Webba już nie było, wywleczono go przez boczną szybę, jakbyśmy stali w miejscu!

Potem rozprawili się z kierowcą. A ja siedziałem na tylnej kanapie! Próbowałem złapać kierownicę, ale to nie takie proste. Następne co pamiętam, to jak wyfrunąłem przez przednią szybę. Kiedy się ocknąłem, wszędzie miałem odłamki szkła - we włosach, twarzy, nawet, kurwa, w ustach! Patrząc, a ta lustrzana - oka dziwka potrząsa mną i pyta, gdzie jest Nikola. Powiedziałem, że została porwana przez Sinjona.

- Jesteś pewien, że to robota potomków Sinjona?

- Poruszali się widmowym krokiem, więc nie mogłem się im przyjrzeć. Wiem tylko, że w jednej chwili siedziałem w samochodzie, a w następnej odbiłem się od maski i wylądowałem na chodniku! Ale to musiał być Sinjon, bo któżby inny?

Esher zamyślił się przez dłuższą chwilę, po czym skinął na Tonton Macoute'a, aby podszedł bliżej. Murzyn, mimo przerażenia malującego się w oczach, wykonał polecenie. Esher wychylił się, opierając dłoń na rękę Obeaha. Głos miał cichy, łagodny, niemal smutny.

- Pomimo udzielonych wyjaśnień z przykrością muszę stwierdzić, że mimo wszystko mnie zawiodłeś, Obeahu. A ci, którzy mnie zawodzą, muszą odpowiedzieć cierpieniem za swoje błędy. To kwestia dyscypliny, czyż nie?

- T - tak, panie.

- Cieszę się, że się rozumiemy, bokorze - mruknął Esher, uśmiechając się delikatnie.

Wyrwał z ręki Obeaha ołowianą rurkę i trzasnął nią z całej siły w kolano czarnoskórego. Murzyn wrzasnął z bólu i upadł na podłogę, kurczowo ściskając obiema dłońmi zranioną nogę. Esher pstryknął palcami i dwaj Pointersi ujęli Obeaha pod pachy, po czym wynieśli go z sali audiencyjnej. - Dopilnujcie, aby został opatrzony. Dajcie mu heroiny, aby go uciszyć.

Ale jeszcze nie teraz, za jakiś czas - zawołał za nimi, ponownie rozsiadając się na tronie.

Gniew znów wykrzywił jego oblicze. - Ten stary wąż ma więcej ikry, niż sądziłem, skoro zdołał rozszyfrować moje spotkanie z Borgesem i wykraść mi przed nosa nową oblubienicę! Nie doceniłem tego masona, ale to już się więcej nie powtórzy! Mimo wszystko nie jest tak sprytny, jak mu się zdaje, popełnił wszak błąd, zabierając na wizytę w L'Emeraud swojego pieska pokojowego!

- Co zrobił? - zapytała wyraźnie zdezorientowana nieznajoma.

Do pokoju weszła Decima, wlokąc za sobą na smyczy Vere'a. Chłopak miał na szyi kolczatkę. Jego ręce były skute za plecami parą staroświeckich kajdanek. Na widok nieznajomej Vere wybałuszył oczy, ale nie powiedział ani słowa, między innymi dlatego, że w ustach miał masochistyczny knebel z gumowej piłki.

- Chcę, abyś zaniósła wiadomość Sinjonowi - rzekł Esher, wskazując na nieznajomą.

- Ja? - Starła się zachować naturalny ton głosu.

- Sinjon zna Decimę i nie ufa jej. Ty wszelako jesteś dla niego tabula rasa. Nie ma podstaw, by wątpić w twoje słowa. Powiedz Sinjonowi, że wymienię Vere'a na Nikole za godzinę, na Ulicy Bez Nazwy. Żadnej broni. Żadnych sztuczek. Jeżeli się nie zjawi albo przyjdzie na spotkanie uzbrojony, odeślę mu chłopaka kawałek po kawałku.

Nieznajoma spojrzała na Vere'a. Ta sytuacja w znacznej mierze pokrzyżowała jej szyki. Liczyła, że jeszcze przed świtem zdoła wywieźć Nikole i Ryana z Umarłego Miasta, teraz jednak jej przemyślny plan został skutecznie zniweczony. Wiedziała, że musi działać szybko, w przeciwnym razie Vere na pewno ją zdemaskuje. Ukrywając, najlepiej jak potrafiła, trawiące ją frustracje, pokłoniła się, dotykając dłonią szyi w poddańczym geście.

- Możesz już uznać tę wiadomość za przekazaną, panie.

Sinjon był silnie wzburzony, gdy nieznajoma ponownie zjawiła się w Czarnej Łoży.

Krążył w tę i z powrotem po salonie z dłońmi splecionymi za plecami. Uniósł wzrok, gdy weszła, jego oczy rozbłysły jak polerowane rubiny.

- Esher ma Vere'a!

- Wiem. Widziałam go.

- Czy nic mu nie jest?

- Wygląda dobrze. Przynajmniej na razie. Ale to już wkrótce może się zmienić. Esher przysłał mnie, abym omówiła z tobą warunki wymiany zakładników.

- Nie podejrzewa, że maczałaś w tym palce?

- Być może. Ale jeżeli nawet, zachowuje to dla siebie.

- Jakie są warunki wymiany?

- Odbędzie się za godzinę na Ulicy Bez Nazwy. Żadnej broni. Żadnych numerów.

Vere za Nikole. Nawiasem mówiąc, gdzie ona jest?

- W bezpiecznym miejscu, nie musisz się o nią obawiać. Dwóch moich ludzi stale jej pilnuje. Kazałem ją zamknąć w jednym z pokoi, oczywiście dla jej własnego bezpieczeństwa. Tego małego obwiesia wypuściłem, aby wrócił do domu. Powiedz Esherowi, że przyjmuję jego warunki.

- Sinjonie, obiecałeś mi tę dziewczynę.

Sinjon usiadł w rokokowym fotelu, zakładając nogę na nogę. Wyjął z rękawa uperfumowaną chustkę i otarł nią górną wargę.

- To prawda. Ale co było, a nie jest... To było wtedy. Teraz jest teraz. Nie dostaniesz jej.

- Czy Vere tak wiele dla ciebie znaczy?

- Wszyscy moi chłopcy są dla mnie bardzo ważni - odparł wampir. - Bądź co bądź, jestem ich Ojcem, nieprawdaż?

W ciągu godziny na Ulicy Bez Nazwy zrobiło się tłoczno. Pointersi i Black Spoons ustawili się w szeregu na chodnikach przed swoimi lokalami. Członkowie obu gangów popatrywali na rywali złośliwie, drażniąc jedni drugich klubowymi sygnałami i zgrywając zimnych twardzieli.

O umówionej porze drzwi do Danse Macabre i Sticka otworzyły się równocześnie.

Sinjon, w tradycyjnym stroju, upudrowanej peruce i butach z brylantowymi sprzączkami, wyłonił się z salonu bilardowego.

Esher, w czarnym skórzanym płaszczu, z pasem ozdobionym niklowaną czaszką niemowlęcia, wolnym krokiem wyszedł ze swego baru.

Młodociani gangsterzy odwrócili się w stronę swych przywódców jak stokrotki

kierujące się ku słońcu. Kiedy Esher i Sinjon ruszyli naprzód, Pointersi i Black Spoons rozstąpili się, by ich przepuścić.

Dwaj władcy wampirów spotkali się twarzą w twarz w środku ulicy.

- Wydaje mi się, że masz coś, co należy do mnie - sapnął Sinjon.

- Do rzeczy, masonie, nie mam ochoty z tobą gadać - uciął Esher.

Sinjon wyjął z rękawa uperfumowaną chustkę i otarł nią górną wargę. Był to sygnał dla młodego wampira, Tristana, aby wyszedł z salonu bilardowego i wyprowadził Nikole.

Chłopak wykonał polecenie, wlokąc tancerkę na niklowanym łańcuchu ze stalowych ogniw zakończonym kolczatką.

- Zadowolony jesteś, parweniuszu? Pokazałem ci, co mam, teraz twoja kolej.

Nie odrywając wzroku od Nikoli, Esher pstryknął palcami. Czerwone, winylowe drzwi do Danse Macabre otworzyły się po raz drugi i pojawił się w nich Vere, wciąż skuty i zakneblowany; idąca za nim Decima mierzyła z kuszy w jego plecy.

Sinjon z aprobatą pokiwał głową.

- Doskonale. Rozpocznijmy wymianę.

Esher wskazał na stojących opodal Black Spoons.

- Ostrzegam, Sinjonie, jeśli zobaczę u któregoś z nich jakąś broń, choćby nawet wykałaczkę, Decima wpakuje twojemu małemu kochasiowi bełt prosto w serce! Potraktuj to jak obietnicę.

- Pozwól, że ja też coś ci obiecuję, Esherze. Jeśli twoi chłopcy zrobią choć jeden nieostrożny gest, Tristan zgarotuje tę śliczną tancerczkę. Wystarczy, że mocniej szarpnie rzemień smyczy i będzie po sprawie. Rozumiemy się?

- Wygląda na to, że tak - odparł beznamiętnie Esher. Skinął na Decimę, która bezceremonialnie szturchnęła Vere'a kuszą w plecy. Przerażony chłopak z wyraźnym wahaniem zrobił pierwszy krok naprzód.

Sinjon skinął na Tristana, który również pomaszerował przed siebie, ciągnąc za sobą

jak psa na smyczy oszłomioną Nikole.

Zakładnicy znajdowali się o kilka stóp od miejsca wymiany, gdy wśród ludzi Sinjona zrobiło się nagle zamieszanie.

- Mamo!

Ryan, z brudną buzią pokrytą śladami łez, wybiegł spomiędzy szeregów Black Spoons i popędził w stronę Nikoli. Bładoskóra tancerka odwróciła się ku niemu, smutek w jej oczach natychmiast stopniał.

- Ryan! Syneczku! - zawołała.

Unikając jak futbolista pochwylenia przez próbujących go złapać opryszków, chłopiec dobiegł do matki, oplatając ją w talii chudymi rękoma i wtulając buzię w jej spódnicę. Nikola próbowała pochylić się, aby go objąć, lecz silne szarpnięcie smyczy i kolczatka wpijająca się w gardło skutecznie jej to uniemożliwiły.

- Decimo! Pozbądź się tego dziecka raz na zawsze! - warknął Esher.

Decima odepchnęła Vere'a, wolną ręką chwyciła Ryana za kołnierz i dźwignęła wierzgającego chłopca w górę, trzymając go jak zawszone wilcze szczenię na odległość wyprostowanego ramienia.

- Mój synek! - jęknęła Nikola, próbując odebrać chłopca - A ca wampirzycy. - Nie waż się go skrzywdzić!

- Zamknij się, suko! - ucięła Decima, uderzając Nikole I na odlew dłonią, w której trzymała kuszę. Nikola zatoczyła się f do tyłu, rozpaczliwie próbując zachować równowagę i uniknąć i uduszenia przez kolczatkę.

- Nie rób krzywdy mojej mamie! - zawołał piskliwie Ryan.

- Bo co, mały? - warknęła drwiąco Decima, przysuwając chłopca do siebie; z kącików jej ust ciekła ślina.

Ryan chwycił otrzymany od nieznajomej krzyżyk i z siłą zrodzoną ze strachu zerwał go jednym szarpnięciem z szyi, po czym przytknął do twarzy wampirzycy.

Decima wrzasnęła, gdy srebro poparzyło jej skórę, upuściła chłopca i kuszę, unosząc obie ręce do zranionej twarzy. Ryan miękko wylądował na ziemi i natychmiast rzucił się do ucieczki, zwinnie unikając wymierzanych weń ciosów oraz kopnięć. Był szybki i zdeterminowany, lecz tamci mieli zbyt wielką przewagę. Krępy, gruby Pointer złapał Ryana z tyłu za spodnie i odwrócił głową do dołu, trzymając malca za kostkę.

- Mam go! Mam go! - Opryszek uśmiechnął się triumfalnie, prezentując mocno przerzedzony, zwłaszcza z przodu, szereg zębów. - Mam...

Nagle gangster utracił również pozostałe zęby wraz z całą głową. Jego ciało runęło na chodnik, odsłaniając Cloudy'ego, trzymającego w dłoniach dymiący obrzynek. Ryan schronił się za plecami przyjaciela, rozglądając się trwożliwie dokoła.

- Zostawcie chłopca w spokoju! - ryknął Cloudy. - Jeżeli chcecie go dostać, to tylko po moim trupie!

Esher wyprostował się i roześmiał, opierając dłonie na biodrach.

- Głupiec z ciebie, starcze! Jesteś sam, a nas wielu! Poza tym mógłbym odebrać tę strzelbę i wetknąć ci ją w tyłek, zanim zdążyłbyś mrugnąć powieką.

- Czemu więc tego nie zrobisz, pijawo?

Przyobleczone w skórę ramię opłotło od tyłu szyję starego hipisa, dławiąc go. Cloudy krzyknął zdezorientowany; stracił równowagę i nacisnął spust. Strzelba wypaliła w powietrze. Ryan wykrzyknął imię przyjaciela, gdy dłoń o palcach zakończonych szponami pochwyciła go za ramię.

- Dobra robota, moja droga. - Esher uśmiechnął się. - Bądź tak uprzejma i zrób z nimi porządek, bardzo proszę.

- Oczywiście, szefie. - Nieznajoma odpowiedziała uśmiechem i odprowadziła

szamoczących się zawzięcie hipisa oraz chłopca w głąb pobliskiej ciemnej uliczki.

- Ryan! - krzyknęła Nikola, szarpiąc się na uwięzi tak mocno, że aż pośmiały jej usta.

- Obeah! - warknął Esher.

Bokor pokuśtykał naprzód; na uszkodzonej nodze miał założone prowizoryczne łubki.

Powolnym ruchem wydobył z kieszeni woreczek z „lekami”. Wysypał odrobinę proszku na odwróconą dłoń i dmuchnął tak, aby mialki pył obsypał twarz Nikoli. Tancerka zaczęła silnie kasłać i nagle zwiotczała. Esher wprawnie pochwycił swą niepokorną oblubienicę i wziął na

ręce, aby się nie udusiła. Nikola jęknęła, głowa opadła jej do tyłu, a Esher dopiero teraz po raz pierwszy spostrzegł kurze łapki w kącikach jej oczu i drobne zmarszczki przy ustach.

- Co to za sztuczki, Sinjonie? - mruknął, obnażając kły. - Coś ty jej zrobił?

- Nie wiń mnie za to, że twoja wybranka nie potrafi znieść życia w szybszym tempie -

parsknął drwiąco Sinjon. Ktoś pociągnął go za rękaw. Sinjon odwrócił się i ujrzał Tristana stojącego tuż obok i trzymającego na smyczy Vere'a. - Och, to ty. Czego chcesz?

- Czy mam go uwolnić, panie?

Sinjon przez dłuższą chwilę lustrował wzrokiem rozdygotanego młodzieńca, aż w końcu się uśmiechnął. To nie był przyjemny widok.

- Nie. Niech tak zostanie. Będzie to dla niego karą, że dał się złapać. Zajmę się nim później.

Pointersi rozstąpili się przed nieznajomą i jej jeńcami, żaden jednak nie kwapił się, by za nią podążyć. Gdy tylko oddaliła się na bezpieczną odległość od grupy gangsterów, skręciła w pobliską uliczkę, bezceremonialnie popychając obu więźniów przed sobą.

- Co wy, u licha, wyprawiacie? - zasyczała. - Po tobie, Ryan, mogłabym się tego spodziewać, ale ty, Cloudy...? Kurwa, myślałam, że masz więcej oleju w głowie, ale



posunąłeś się do czegoś tak głupiego.

Nieznajoma rozejrzała się szybko dokoła, po czym sięgnęła do kurtki i z ukrytych kieszeni wydobyla pakiety „białego proszku”. Podała je wraz ze złożoną kartką papieru i studolarowym banknotem Cloudy'emu.

- Mamy mało czasu. Sprawy potoczyły się szybciej, niż sądziłam. Musisz zabrać to ze sobą do domu.

- Nie ma sprawy. Co to jest?

- Jakieś dziesięć funtów czystej kokainy.

- O cholera.

- Ukryj ją na poddaszu, wśród moich rzeczy. Coś zgłosi się po nie później.

- Chyba chciałaś powiedzieć - ktoś?

- Nie. Musisz także zadzwonić pod numer, który ci tutaj zapisałam. Na tej kartce znajdziesz wszystkie niezbędne informacje. Będziesz musiał pójść i osobiście odebrać zamówienie. Nieżyjący prezydent powinien wystarczyć na opłatę i taksówkę. Weź ze sobą Ryana, nie chcę, aby znów wyciął jakiś numer! Pamiętaj, ty i on dla reszty świata jesteście martwi. A teraz spadajcie! Muszę szybko wracać, w przeciwnym razie mogliby zacząć coś podejrzewać.

Nieznajoma zaczęła się odwracać, lecz Ryan złapał ją za rękaw.

- A co z moją mamą?

Uśmiechnęła się i pogładziła go po głowie.

- Robię, co w mojej mocy, Rynie. Przyprawdżę twoją mamę z powrotem. Obiecuję.

Musisz jednak robić dokładnie to, co każę i nie wolno ci odstępować Cloudy'ego ani na krok.

Zrozumiałeś?

- Tak.

- Świetnie. No to zmykaj! Mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia.

Patrzyła, jak Cloudy ujmując Ryana za rękę, po czym obaj pędem wybiegają z uliczki.

Tryby wielkiej maszyny zaczęły się obracać i nie było już odwrotu. Mogła mieć jedynie nadzieję, że nie zostanie przez nie zmiądzona. W gruncie rzeczy jednak nie po raz pierwszy podejmowała takie ryzyko.

Budka telefoniczna najlepsze lata miała już za sobą. Znajdowała się przed sklepem monopolowym, chyba jedynym na całej Ulicy Bez Nazwy, gdzie prowadzono jawną i zgoła legalną sprzedaż. Puskę na monety splądrowano dawno temu, klapka wyłamana łomem zwisała jak most zwodzony w starym, złupionym przez grabieżców zamku. To jednak było bez znaczenia. Nikt przy zdrowych zmysłach nie wrzuciłby monety do tego automatu.

Metalową pokrywę zdobiły symbole gangów, przewód łączący słuchawkę z aparatem przecięto nożycami do metalu, a ją samą rozłupano na dwoje.

Nieznajoma sięgnęła po uszkodzoną słuchawkę i wystukała kilka cyfr. W słuchawce rozległo się zawodzenie, przypominające jęk potępionych dusz, a potem na drugim końcu łącza rozległ się opryskliwy męski głos.

- Bar Monastyr.

- Cześć, Grendel. Daj mi Malfaisa, dobrze?

Barman burknął coś i po chwili w słuchawce dał się słyszeć młodszy męski głos.

- Dziewczątko! Co u ciebie?

- Nie mam czasu na pogawędki, Mai. Chcę ubić interes. Mam dla ciebie towar.

Młody głos stał się ochrypły i gardłowy jak głos nałogowego palacza.

- Czy kiedykolwiek dzwoniłaś w innej sprawie, panienczko? Stale tylko interesy i interesy. Nie podejrzewałem, że mogłabyś zadzwonić ot tak, tylko po to, żeby pogadać. Co dla mnie masz?

- Cztery kilo śniegu. Czystego.

- Ojoj - demon na drugim końcu łącza zarechotał. - Tracimy fason, co, laluniu?

Prawdę mówiąc sądziłem, że będziesz miała dla mnie coś znacznie ciekawszego. Ten pył z zamachu w Oklahoma City był po prostu zabójczy!

- Ta kokaina jest jak dotąd odpowiedzialna za mniej więcej tuzin zgonów.

- Doprawdy? - Nieomal widziała, jak Mai po drugiej stronie linii nadstawił czujniej uszu. I bez wątpienia zaczął też kołysać ogonem jak niespokojny kot.

- Potrzebuję gotówki jeszcze na dziś wieczór, a najpóźniej na jutro rano.

- Wyślę jednego z moich uczniów.

- Namierzyłeś mnie?

- Oczywiście. Szczycimy się tym, że oferujemy pełną gamę usług. Aczkolwiek będę potrzebował dokładnego adresu, jeżeli chodzi o wymianę.

- W porządku. Tylko pamiętaj, tym razem żadnego pożerania!

- No dobrze, skoro nalegasz - Malfeis westchnął.

Gdy odwiesiła słuchawkę, doświadczyła osobliwego doznania. Było to łagodne, lecz uporczywe przyciąganie, jakby magnesu. To Esher przyzywał do siebie wszystkich związanych z nim Przysięgą Krwi. Zwalczyła ten zew, lecz w żaden sposób nie mogła go zignorować.

W Danse Macabre było pełno, zarówno ludzi, jak i Spokrewnionych. Nieznajoma wiedziała, że Esher utworzył całkiem sporą enklawę, lecz aż do teraz nie zdawała sobie sprawy, ilu ściągnął do siebie rekrutów. Nigdy jeszcze nie widziała tylu wampirów pod jednym dachem. Na sam ich widok zaczęły świerzbic ją ręce. W większości były to młodsze, nie mające pana wampiry, nazywane przez Spokrewnionych Caitiffami. Naturalnie stwierdzenie „młodsze” miało wśród nieumarłych inną wymowę i znaczenie niż u

śmiertelników. Niektóre z wampirów nosiły ciała zbiegłych z domu nastolatków, inne zaś przyoblekły się w powłoki włóczęgów i bezdomnych. Żaden z nich nie był martwy dłużej niż rok lub dwa. Wszystkie powstały za sprawą beztroskich żądź, ich ojcami byli zapewne podobni im Spokrewnieni, po czym pozostawiono je, by przemierzały miejską dżungłę samotne i nie wyszkolone. Enklawa Eshera przypominała jej skrzyżowanie Szkoły Złodziei Fagina i Rodziny Mansona, tworzyła ją gromada tanich rzezimieszków i podejrzanych typów o zranionych duszach, którzy zostali tu ściągnięci i poddani psychicznej manipulacji przez nieludzką istotę dysponującą potężną i amoralną siłą woli.

Gdy tak przemierzała zatłoczony klub, zauważyła, że Pointersi zgromadzili się w jednej części sali i niespokojnie przyglądali się stamtąd Spokrewnionym. Choć gang zaprzysiągł posłuszeństwo Esherowi, najwyraźniej nawet dla nich sprawy nie przedstawiały się różowo. Młodzi opryszkowie czuli się nieswojo. Wnętrze sali przesycone było złą aurą. Wampiry posilające się z dystrybutorów przykutych do ścian zachowywały się jak lwy u wodopoju.

Widziała, jak dwaj Spokrewnieni, jeden przyobleczony w ciało młodego urzędnika, drugi zaś wyglądający jak alfons, sycząc, głośno zaczęli kłócić się o wysokiego, szczupłego mężczyznę. Dystrybutor był tak blady, że jego żyły wyglądały jak nitki niebieskiej włóczki. Doszło do przepychanki. Urzędnik zjeżył się jak kot, alfons zasyczał niczym rozjuszony górski lew, obnażając kły na taką długość, że wydawało się, jakby miał rozcięte wargi. Po kilku chwilach takiej próby sił urzędnik wycofał się jak niepyszny, alfons zaś powrócił do dystrybutora.

Nieznajoma patrzyła, jak zwycięzca opróżnia umierający dystrybutor do cna, po czym szybko odwróciła wzrok. Widok i zapach krwi dokoła zaczynały jej działać na nerwy. Nie pożywiała się od prawie dwóch dni. Zwykle miała ze sobą parę jednostek plazmy w

specjalnym kriopojemniku zapakowanym do sportowej torby, wołała jednak korzystać ze zwykłej lodówki, gdy tylko było to możliwe i pozostawiła cały zapas w zamrażarce w domu Cloudy'ego. Gdy ponownie spojrzała na ścianę z dawcami, zobaczyła, jak obsługa z baru wynosi uwolnione z okowów martwe ciało dystrybutora, a na jego miejsce zakuwa w kajdany następnego.

Industrialna muzyka taneczna płynąca z głośników przycichła, tłum odwrócił się ku scenie. Zza krwistoczerwonej kurtyny wyłonił się półnagi Esher i skinął na zgromadzonych, aby podeszli bliżej.

- Zbliżcie się, moje dzieci.

Spokrewnieni i śmiertelnicy przez chwilę szeptali między sobą, po czym przesunęli się bliżej sceny i wybiegu; ich blade twarze uniesione były w górę ku postaci ich przywódcy.

- Wezwałem was, moje dzieci, bo choć to nie ja was stworzyłem, moja krew płynie w waszych żyłach. Wy, którzy nie macie rodziny, którzy zostaliście odrzuceni, z radością przyjmę was do siebie! Wy, którzy nie przynależycie do żadnego klanu, którzy nie macie swego miejsca na tym świecie, odnajdziecie je u mnie! Nadchodzi czas wielkiego cierpienia, chwila jest już bliska! Jeżeli mamy przetrwać ten ciężki czas, musimy pokazać, że jesteśmy silni i umiemy odeprzeć każde zagrożenie, każdą przeciwność na naszej drodze, i co więcej, zjednoczyć się, stawiając czoło naszym wrogom. To dlatego dziś wieczorem przywołałem was tutaj, moje dzieci, aby jeszcze bardziej zacieśnić łączące nas więzi.

Zza kotary wyszła Decima, niosąc rytualny claive i złoty kielich. Ryan nie przytrzymał krzyżyka przy jej ciele dostatecznie długo, by ją zabić, lecz mimo to wampirzyca wciąż jeszcze nie doszła do siebie. Rana na jej czole była czerwona i zaogniona jak świeże piętno. Nieznajoma, choć zagniewana nieroztropnym zachowaniem malca, musiała przyznać, że w gruncie rzeczy była z niego dumna.

Esher przyjął ciałko od Decimy, przyłożył czubek ostrza do prawego nadgarstka i rozplatał sobie przedramię aż do łokcia. Buchnął brązowawy płyn, przypominający bardziej burgundzkie wino niż krew. Choć gęstszy niż krew, płynął znacznie szybciej niż zazwyczaj. Esher musiał niedawno się nasycić, chcąc teraz utoczyć nieco swej posoki. Decima uklękała przed nim, unosząc kielich, by nie uronić ani jednej cennej kropli. Gdy naczynie wypełniło się, Esher wziął je z rąk Decimy i podniósł do góry, aby wszyscy mogli je ujrzeć.

- Spójrzcie! Moja krew jest waszą krwią! Podejdźcie i skosztujcie tego, co jest Życiem!

Spokrewnieni wydali głośniejszy jęk i ruszyli w stronę sceny, przepychając się jeden przez drugiego, by jak najszybciej móc skosztować potęgi ich suzerena. Jakiś pomysłowy krwiopijca próbował wdrzeć się na początek kolejki, wspinając się na rampę; Decima kopnięciem w głowę odrzuciła go z powrotem w tłum.

- Zaczekaj na swoją kolej, zgniły mózdzku! - warknęła.

- Spróbuj tego raz jeszcze, a wpakuję ci bełt prosto w oczodół!

Nieznajoma znalazła się pomiędzy jakąś dragqueen a turystą. Ten ostatni wyglądał wyjątkowo świeżo, wciąż bowiem miał na szyi aparat fotograficzny i przeszklony wzrok, typowy dla nowo wskrzeszonych. Rozejrzała się niepewnie, lecz nie było sposobu, aby zdołała uniknąć udziału w komunii, nie zwracając przy tym na siebie uwagi. Jeżeli którykolwiek z obecnych na sali podchodził ambiwalentnie do zacieśnienia więzów krwi pomiędzy nim a Esherem, najwyraźniej skutecznie to ukrywał. Większość wampirów trzęsła się jak gromada ćpunów na głodzie, oczekująca kolejnej działki.

Gdy wreszcie nadeszła jej kolej, Esher z uśmiechem podał jej kielich.

- Napij się, abyśmy mogli zostać prawdziwie połączeni, jak krew z krwią.

Wzięła się w garść i przyjęła naczynie. Ciecz, która się w nim znajdowała, smakowała

jak wyborne wino, a na dodatek była gęsta i sycąca jak mleko matki. Poczwała, jak wsącza się w jej żyły, a jej ciało od stóp do głów ogarnia rozlewająca się powoli fala ciepła. Nic nie mogło się z tym równać: ani seks, ani jedzenie, ani nawet alkohol. To było znacznie lepsze od tego wszystkiego, a równocześnie było tym samym. Zamknęła oczy, sycąc się tą chwilą, kusiło ją, by dać się ponieść i zatracić w owej niezwykłej ekstazie.

Z zamyślenia wyrwał ją Esher, wyjmując kielich z jej rąk. Zdezorientowana zamrugła powiekami, podczas gdy jej miejsce w kolejce zajął turysta z aparatem fotograficznym. Schodząc ze sceny na parkiet, poczuła się jak na haju. Czuła w sobie krew Eshera, mruczając cichutko niczym maleńkie dynamo.

Prawie wszyscy zdążyli już przyjąć komunię, gdy wtem frontowe drzwi otwarły się z hukiem i do klubu wkroczyła wysoka postać w szkarłatnym płaszczu z kapturem. Pointersi nie zastąpili drogi nowo przybyłemu, gdyż sam jego ubiór zdradzał, iż nie mógł być on byle podrzędnym wampirem.

- Esherze! - zagrzmiął głos z wnętrza szkarłatnego kaptura.

Pan wampirów zaprzestał udzielania komunii i marszcząc brwi, zlustrował wzrokiem tłum.

- Znam ten głos! Kto mnie wołał?

Nowo przybyły zsunął kaptur do tyłu, odsłaniając długie do ramion jasne włosy związane w kucyk i twarz o rysach tak klasycznych i doskonałych, że mogłaby stanowić model greckiej rzeźby.

- Czy nie widzieliśmy się tak dawno, że uczeń zapomniał już swego mistrza?

Esher postąpił naprzód, mina zrzędła mu jeszcze bardziej.

- Caul? Przysłali tutaj ciebie?

- A kogóż by innego? To ja wprowadziłem cię do gildii, nic dziwnego, że wysłali

właśnie mnie, bym sprowadził cię z powrotem do Wiednia, odszczepieńcze!

- Odszczepieńcze? Chyba żartujesz, stary przyjacielu! Wszystko, co tu robię, ma służyć większej chwale Tremere!

- Okłamuj samego siebie, jeżeli tego chcesz, Esherze! Mnie nie zwiedzisz, więc daruj sobie te łgarstwa! To, co czynisz, nie ma służyć dobru naszego klanu, Esherze, lecz doprowadzić do obalenia Rady, abyś ty mógł urosnąć w siłę i zająć jej miejsce! Znajdujesz się o krok od dżihadu, jeżeli wypowiedzisz wojnę Sinjonowi, jego bracia Ventrue, związani przysięgą honoru, nie zawahają się ani chwili, lecz uderzą w jego imieniu na Tremerów. Nieroztropnością jest wszczynać w tych burzliwych czasach wojnę z jednym z najpotężniejszych klanów Camarilli!

- Zapewniam cię, stary druhu, że nie było to moim zamiarem!

- Mów, co chcesz, faktem jest, że złamałeś świętą doktrynę Tremere, tworząc swą przyboczną, Decimę. Nie wypieraj się ojcostwa, Esherze, jej pochodzenie jest dla mnie aż nadto czytelne.

- Wiedziemy długą i samotną egzystencję, Caulu - a ja od wielu już lat pozostaję z dala od członków mojego klanu. Stworzyłem tylko jedno dziecko. Czy Rada może potępić mnie za stworzenie jednej jedynej towarzyszki?

- Znasz zasady, Esherze. Żaden Tremere nie może tworzyć potomków na własną rękę!

A jeżeli chodzi o tę jedną jedyką, czyżbyś już zapomniał o Bakil?

Oblicze Eshera zmarsowiało. Nie spodziewał się, że tamci wiedzieli o poprzedniczce Decimy.

- Już jej nie ma! Za jej pośrednictwem dostałem surową lekcję! Wiele się nauczyłem!

Nie wtajemniczyłem Decimy w arkana Sztuki, jak to uczyniłem z Bakil. Przysięgam, że to prawda. Ona nie ma pojęcia o tajnikach Sztuki Krwi, zatem wedle prawa nie jest prawdziwą



Tremere.

- A co ze śmiertelniczką? Tancerką imieniem Nikola? Czy nie zamierzasz dokonać jej Przeistoczenia i uczynić swą oblubienicą?

Esher przymrużył oczy, a posepny grymas na jego twarzy zmienił się w wyraz wściekłości.

- Mam już dość twoich pytań, Caulu! Kiedyś byliśmy przyjaciółmi, ba, więcej nawet, lecz te noce należą dziś do przeszłości! Był taki czas, kiedy ty byłeś mistrzem, a ja uczniem, lecz od tamtej pory osiągnąłem moc i potęgę, o których nawet nie śniłem. Nie waż się mi grozić, bo nie ręczę za siebie!

- Musisz jeszcze odpowiedzieć na kilka pytań i jest mi obojętne, czy pragniesz je usłyszeć, czy też nie. Rada mogłaby przymknąć oko na tworzenie przez ciebie potomków, zakładając, że zostaliby unicestwieni, lecz twe poczynania to całkiem inna rzecz! Tremerowie cenią sobie upór i ambicję, to szczerą prawdą. Jednakże tego typu ślepe dążenie do potęgi i władzy jest niebezpieczne, nie tylko dla klanu, lecz dla wszystkich Spokrewnionych na całym świecie! Czy zaryzykowałbyś ujawnienie naszego istnienia tylko po to, by zawładnąć Umarłym Miastem? Jatka w restauracji nie pozostanie nie zauważona, możesz być tego pewien. W Stolicy Apostolskiej są frakcje, które tylko czekają na niepodważalne dowody takiej właśnie działalności Spokrewnionych, mogące usprawiedliwić reaktywowanie Inkwizytorów; obawiam się, że swoimi poczynaniami możesz doprowadzić do rozpętania kolejnego polowania na czarownice!

- No i co z tego? Niech sobie Inkwizytorzy przybywają! - Esher skrzywił się ironicznie. - Mogą mnie kłuć swoimi wiedźmimi szpilkami, ile dusza zapagnie!

Caul pokręcił głową z konsternacją.

- Miałem nadzieję, że zdołam ci przemówić do rozsądku.

Widzę jednak, że to nie jest możliwe. W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak zabrać cię ze sobą do Austrii.

Esher zaśmiał się pośepnie.

- Nikt mnie nie będzie sądził! Ani ty, Caulu, ani Rada!

- Trudno - jasnowłosy wampir westchnął. - Nie pozostawiasz mi zatem wyboru.

Caul wskoczył na wybieg, ruchy miał szybkie i płynne niczym tygrys, jego dłonie zapłonęły czerwienią, jakby trzymał w nich gorejące węgle. Pointersi i Spokrewnieni zaczęli kierować się ku wyjściu, podczas gdy Esher, obnażając kły i miotając czerwone skry z koniuszków palców, ruszył w stronę swego dawnego przyjaciela.

Magowie krwi zwarli się, palce zakrzywione w szpony zacisnęli jeden drugiemu na ramionach.

Dla niewtajemniczonych mogło to wyglądać jak typowy pokaz zapasów, lecz grymas bólu malujący się na twarzach obu walczących oznaczał, że nie była to zwyczajna walka.

Powietrze wewnątrz Danse Macabre zrobiło się ciężkie; nieznajoma poczuła, że jeżą się jej włoski na karku, jak podczas burzy, tuż przed uderzeniem pioruna. Rozległ się głośny trzask, przypominający odgłos pracującego na pełnej mocy łuku elektrycznego i jęzor czerwonej energii spowił obu walczących magów. Nieznajoma zaklęła i zmuszona była zasłonić oczy. Jej nozdrza wypełniła drażniąca woń palonej krwi i skrzywiła się z niesmakiem. Słyszała opowieści o Tremerach oraz ich sztukach okultystycznych, jednak nigdy dotąd nie miała okazji widzieć magii krwi w działaniu. Plotki głosiły, że jej adepci potrafili ugotować krew w żyłach wrogów jednym tylko dotknięciem, przejmować władzę nad innymi, rzucając na nich urok wsparty odrobiną ich własnej esencji życiowej, a także wywoływać silne krwotoki bądź skrzepy za pomocą wypowiedzianych szeptem inkantacji. Jako wampirzyca znała niezwykłą moc krwi, nigdy jednak nie miała okazji oglądać takiego

spektaklu, jaki rozgrywał się obecnie na scenie.

Esher i Caul wciąż trwali w zwarciu, w kącikach ich oczu pojawiły się karmazynowe łzy i zaczęły spływać strużkami po policzkach. Krwawe łzy, skapując na drewniany parkiet sceny, syczały jak kwas. Po chwili krew zaczęła wypływać także z ich nozdrzy i uszu.

- Przestań, Caul! - warknął Esher. - Przestań albo ugotuję cię jak homara!

- Przestanę, ale pod warunkiem, że zgodzisz się wrócić ze mną do Wiednia!

W odpowiedzi Esher zamknął oczy, zacisnął wargi i napał na przeciwnika jeszcze silniej niż dotychczas. Caul krzyknął i został odrzucony do tyłu; wylądował ciężko na wznak na końcu sceny i przejechał na plecach przez całą długość wybiegu. Nie miał już oczu, jego oczodoły wypełniła krew, bulgocząca jak wrzący cukier. Krew lała mu się z nosa, uszu i ust, zmieniając jego twarz w szkarłatną maskę.

W zachowaniu lorda Eshera dostrzec można było szczery smutek, gdy stanął nad umierającym przyjacielem i wierzchem dłoni otarł swą twarz z krwi.

- Dlaczego ty? Niech ich wszyscy diabli, dlaczego musieli przysłać właśnie ciebie?

Gdy wyślą z wizytą kolejnego pełnomocnika, będę przygotowany i powitam go odpowiednio!

Nie pozwolę, by powstrzymała mnie garstka Starszych!

Caul zachichotał - towarzyszyło temu wilgotne bulgotanie płynące z wnętrza jego klatki piersiowej.

- Głupcze - wychrypiał. - Ty ślepy głupcze. Tremerowie nie muszą nawet kiwnąć palcem, aby cię unicestwić. Czas twojej zguby jest już bliski, lecz nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy. Nie dostrzegasz zagrożenia i może nawet nie zobaczysz ręki, która przyniesie ci Ostateczną Śmierć. Hodujesz zmiję na własnym łonie, Esherze.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - warknął gniewnie Esher, ale Caul nie mógł już odpowiedzieć na żadne pytanie.

## ZAGŁADA DOMU ESHERA

Oglądałem się, by zobaczyć, skąd ta niespodziewana jasność pochodzi, gdyż poza mną nie znajdowało się nic, ogrom potwornego zamczyska i jego mroków. Było to światło wschodzącego i jak gdyby okrwawionego księżyca w pełni, co przeświecał jaskrawo przez ową, ongi zaledwie dostrzegalną szczelinę, o której wspomniałem, iż wiła się zygzakowato od dachu aż do posad budynku. Gdym patrzył, szczelina nagle się powiększyła; wichur znów silniej się zakłębił, za - skrzył mi nagle w oczach cały krąg miesiąca; pociemniało mi w mózgu, gdym ujrzał, jak potężne mury rozpadają się na dwoje; wionął przeciągły, rozgłośny, ogłuszający huk, niby poszum nieprzebranych wód - i u mych stóp, głucho, złowrogo, nad rozwalinami Domu Usherów zawarła się czarna, posępna topiel.

E.A. Poe *Zagłada domu Usherów* □

□ Przełożył Stanisław Wyrzykowski.

## ROZDZIAŁ 9

- Cloudy! Otwórz! To ja!

Oczy starego hipisa były szeroko otwarte i pełne przerażenia, gdy zdejmował łańcuch z drzwi.

Do licha, to się, kurwa, robi coraz dziwniejsze, nawet jak na Umarłe Miasto! -

wyszeptał, gdy nieznajoma przestąpiła próg.

- Masz dla mnie to, o co prosiłam?

- Tak, tak, tutaj - rzekł Cloudy, wskazując na pudełko z kwiaciarni. - Masz dziwnych przyjaciół, nie ma co. Kobieta prowadząca tę całonocną kwiaciarnię... hmm, mógłbym przysiąc, że pod tą grubą warstwą makijażu była całkiem zielona!

- Gaję mógłbyś nazwać także Matką Ziemią - nieznajoma zachichotała. - Czy ostatnio

ktoś wchodził lub wychodził z budynku?

Cloudy pokiwał głową, wyglądał, jakby właśnie połknął cytrynę.

- Tja. To także bardzo dziwne! Ten facet właśnie wychodził, gdy wracaliśmy z

Ryanem ze sprawunkami, po które nas wysłałaś. Wielki facet. Chyba z siedem stóp wzrostu.

Nosił trencz i kapelusz. To zabawne, wyglądało, jakby ten gość nie miał ręki. Ale miał za to

szable jak odyniec. Poza tym wyglądał całkiem zwyczajnie.

- Najwyraźniej Mai przysłał Grendela. Rozmawiał z tobą?

- Nie, ale strasznie się gapił na Ryana. Tak samo mógłby łypać głodny pies na

soczysty stek. Aż mi ciarki przeszły po plecach.

- Taa. Powinieneś zobaczyć jego starą. Cloudy, przepraszam na chwilę. Muszę

skoczyć teraz na górę i coś sprawdzić.

Hipis zmarszczył brwi i pociągnął lekko za brodę.

- Powiedziałaś, że sprawy potoczą się teraz znacznie szybciej ...

- Machina poszła w ruch, Cloudy, a ja robię co w mojej mocy, aby żadne z nas nie

zostało zmiażdżone w jej trybach. To wszystko, co ci mogę powiedzieć - dokończyła,

otwierając drzwi.

Wróciła po kilku minutach, niosąc swoją torbę sportową. Uklękła wśród stert książek i

wyjęła kilka spiętych banderolami plików studolarówek, układając je obok siebie na

podłodze.

Cloudy aż zagwizdał ze zdumienia i pochylił się, aby podnieść jeden z plików.

- Chryste Panie na osiołku!

- Musisz przechować te pieniądze do mojego powrotu - stwierdziła.

- Nie ma sprawy!

Nieznajoma wyjęła z pudełka bukiet czarnych róż. Na widok długich łodyg

zmarszczyła brwi, po czym swoim sprężynowcem skróciła je trochę i włożyła do torby. Gdy to robiła, kilka kolców wbiło się jej w dłonie, ale nie zwróciła uwagi na kropelki krwi sączące się z ran. . - Gdzie Ryan? - zapytała, idąc do kuchni.

- Jestem tutaj! - odpowiedział chłopiec, wystawiając głowę spod zlewu.

- Powinieneś spać! - wtrącił Cloudy.

- Mogłoby mnie coś ominąć!

- I o to chodzi! - mruknęła nieznajoma, otwierając lodówkę. Wyjęła jeden z plastikowych pojemników z plazmą i mocno potrząsnęła. Spojrzała na chłopca, który przyglądał się jej z wyteżoną uwagą. - Mały, nie chcesz tego oglądać.

- A właśnie, że chcę!

- RYAN! - warknął Cloudy. Chłopiec posłusznie na powrót zniknął pod zlewem.

Nieznajoma otworzyła pojemnik i uniosła do ust, chlepcząc schłodzoną plazmę jak spragniony smakosz piwo w telewizyjnej reklamówce. Krew była dla niej pokarmem i niczym więcej. W porównaniu z życiem wysączonym prosto z żyły ciecz w butelce była pozbawiona świeżości i trochę zatęczała plastykiem.

Różnica pomiędzy jednym a drugim była taka, jak między dom perignonem a tanim sikaczem. Gdy skończyła, oblizwała wargi niczym kot po opróżnieniu miseczki mleka, po czym odwróciła się, by ujrzeć Cloudy'ego, który przyglądał się jej z nie do końca skrywaną odrazą. Zażenowany, pospiesznie odwrócił wzrok. Udała, że tego nie zauważyła.

- Do świtu pozostała niecała godzina - oznajmiła, sięgając po swoją torbę. -

Spodziewaj się mnie po wschodzie słońca.

- A jeżeli się nie zjawisz?

- Weź pieniądze, chłopaka, wyjeżdżajcie z Umarłego Miasta i nigdy, przenigdy już tu nie wracajcie.

Obeah siedział, wpatrując się pośepnie w ekran telewizora. Zwykle, gdy nie miał nic do roboty, grał z Webbem w karty albo spał. Webba już jednak nie było, jego mózg rozbryzwał się na ulicy, na której chłopak spędził większość swego młodego życia, a Obeah nie miał z kim pogadać ani rozegrać partyjki. Skrzywił się, gdy palący ból promieniujący ze strzaskanej rzepki kolanowej przeszył jego nogę. Klnąc pod nosem, wyjął z kieszeni koszuli plastikową buteleczkę i wysypał na dłoń dwie pastylki. Miał nadzieję, że ból ustąpi, zanim skończą mu się pigułki.

Tydzień czy dwa temu Pointersi włamali się do magazynu leków, aby podreperować zapasy w prowizorycznej „aptece” gangu. Niestety większość chłopaków biorących udział w kradzieży nie zaliczała się do umysłowych tytanów, zabrali więc tylko kilka butelek z pigułkami na różne dolegliwości, resztę ich łupu stanowiły pochodne morfiny.

Gdyby ból stał się nie do zniesienia, zawsze mógł sięgnąć do swojego woreczka z „lekami”, wolał jednak zachować trzeźwy umysł, a poza tym proszek zombi mógł nieźle namieszać w głowie, jeżeli nie zachowało się należytej ostrożności. Obeah sięgnął po pilota i zaczął przełączać kanały.

Jednym z plusów pełnienia roli ochroniarza Nikoli był dostęp do telewizji satelitarnej.

Obeah najbardziej lubił Nick At Nitę i kanał z filmami SF.

Kolejna fala bólu wycisnęła z jego ust przekleństwo skierowane pod adresem Eshera, nie na tyle jednak głośne, by ktokolwiek mógł je, choćby przypadkiem, usłyszeć. Esher był jedynym facetem, którego Obeah szanował i lękał się bardziej nawet niż Papy Doca. W sumie Papa Doc odgrywał tylko rolę sługi Barona Samedi, Władcy Cmentarzy. Esher był nim naprawdę.

Chociaż służył w Tontons Macoute, Obeah nie był rodowitym Haitańczykiem. Urodził się i dorastał w Nowym Orleanie jako syn niepiśmiennego dokera. Jego matka jako młoda

dziewczyna przybyła z Haiti do Stanów w nadziei, że w Świecie I Białego Człowieka spełnią się jej najskrytsze marzenia. Spełniły się one na tyle, że znalazła sobie pracę w pralni.

Ponieważ była silną i dumną kobietą, wielokrotnie opowiadała swemu jednemu synowi o kraju, który opuściła. W połowie lat sześćdziesiątych Obeah otrzymał powołanie do wojska i bilet do Wietnamu. Ponieważ nie chciał brać udziału w wojnie białych, uciekł ze Stanów do ojczyzny swej matki, gdzie z otwartymi ramionami zaproponowano mu pracę w tajnej policji Papy Doca.

W latach 1968 - 1986, kiedy Baby Doc opuścił ojczyznę i wyjechał do Francji, Obeah uczestniczył w tak wielu morderstwach, pobiciach, gwałtach i torturach, że stracił ich rachubę. Któregoś razu wraz z innymi Tontons Macoute zrobił nalot na lokal, gdzie odbywało się spotkanie opozycji i poodrąbywał obie ręce wszystkim, którzy znajdowali się wtedy w domu, mężczyznom, kobietom i dzieciom, a następnie ułożył z nich stos na ulicy, by wszyscy sąsiedzi mogli je zobaczyć. Pamiętał, jak śmiał się na widok drgających spazmatycznie kończyn, sprawiających wrażenie, jakby machały im na pożegnanie. To były wspaniałe dni.

□ Francois „Papa Doc” Duvalier, długoletni dyktator Haiti.

A teraz był w kraju, z którego czmychnął przed trzydziestu laty. Ostatnia dekada okazała się dlań szczególnie ciężka - Baby Doca już nie było, mieszkańcy Port - au - Prince, których pomagał terroryzować, odkryli nagle w sobie gwałtowne pragnienie zemsty.

Ostatecznie skończyło się na tym, że Obeah niespodziewanie został bez pracy, a jego dom spłonął do fundamentów.

Choć w 1988 roku władzę na Haiti przejął generał Avril, niewiele to zmieniło, gdyż Obeah miał z nim na pieńku. W obawie o swoje bezpieczeństwo zmuszony był uciekać z wyspy - i jak na ironię ukrył się wśród tysięcy emigrantów usiłujących dopłynąć do wybrzeży Florydy na prowizorycznych łódkach i tratwach skleconych z byle czego i spojonych w całość



mieszanią desperacji i żywic roślinnych.

Pod jego nieobecność w Ameryce wiele się zmieniło. Jego rodzice nie żyli, ojciec zginął przygnieciony przez kontener, przy którym zerwała się lina mocująca, a matka zaharowała się na śmierć, piorąc ubrania innych ludzi. Ponieważ ostatnio w Stanach nie było wielkiego popytu na przywódcę szwadronu śmierci, Obeah został zawodowym zabójcą, a jego hobby stała się magia wudu.

I nagle, kilka lat temu spotkał Eshera. Obeah rozpoznał tamtego, gdy tylko ów biały mężczyzna przekroczył próg sklepiku z ziołami BOTANICA, służącego za przykrywkę jego zabójczego interesu. Trudno nie rozpoznać Niewidzialnego, gdy przez dwadzieścia lat balansujesz na granicy Ukrytego Świata. To się wyczuwa. Władca wampirów poszukiwał ludzkiego przybocznego, dysponującego wiedzą okultystyczną i polecono mu Obeaha. Dwa lata temu zaczął współpracować z Webbem i to właśnie z nim czarnoskóry kapłan wudu wykonał większość „mokrych robót”, które mu zlecono. Wreszcie pół roku temu Esher przydzielił im zadanie pilnowania swej nowej oblubienicy.

Zwykle było to spokojne i nudne zajęcie. Większość czasu spędzali w luksusowej kamienicy pełniącej funkcję Bezpiecznego Domu Nikoli, oglądając telewizję, grając w karty lub rozmawiając o bzdurach. Wyglądało na to, jakby ta dziwka zupełnie nic nie robiła. W każdym razie - już nie. W pierwszych tygodniach próbowała uciec, podejmowała jedną próbę po drugiej, a kiedy w końcu zrozumiała, że to jej się nie uda, targnęła się na życie. Kilka razy. Właśnie wtedy Esher polecił mu, aby zaczął regularnie podawać jej proszek zombich. Od tego czasu ich zadanie stało się jeszcze łatwiejsze. Obeahowi było to jak najbardziej na rękę.

Webba, który był od niego młodszy, drażniła nuda i nieustanna monotonia ich pracy. Obeah osiągnął już taki wiek, w którym ciągłe działanie, napięcie i zagrożenie przestało go pociągać i fascynować. Mimo to Esher od czasu do czasu przydzielał im kolejne zlecenia, których

wykonania nie powierzyłby nikomu innemu, jak choćby kontrakt na Dario Borgesa.

Spojrzał na zegarek i zmarszczył brwi. Już czas sprawdzić, co u tej dziwki. Spróbował podnieść się z fotela, podpierając się rurką, której używał jako laski, ale ból, który przeszył mu nogę, był tak silny, że Murzyn aż krzyknął i ponownie opadł na miękkie siedzenie. Pieprzyć to. Ta suka i tak nie ucieknie.

Miał nadzieję, że Esher znajdzie wkrótce kogoś, kto zastąpiłby Webba, ale wydawało się to mało prawdopodobne. Pointersi stanowili jedyną w swoim rodzaju zbieraninę półgłówków i tępaków, największą, jaką kiedykolwiek miał okazję widzieć. W porównaniu z oprychami z jego ojczystej wyspy byli bandą smarkaczy w obwisłych spodniach i drogich adidasach, gówniarzami zgrywającymi twardzieli. Od czasu do czasu któryś z tych śmieci próbował pokazać kumplom, jaki z niego mocny gość i rzucał wyzwanie Obeahowi, kapłanowi wudu. Koniec był zawsze taki sam. Gnojek zapoznawał się bliżej z jego maczetą. Jeśli miał szczęście, tracił jedynie nos lub ucho. Ci mali skurwiele byli podstępni jak grzechotniki, musiałeś stale mieć ich na oku, bo gdy tylko się odwróciłeś, próbowali kasać. Większość z nich stanowili narkomani, ćpuny nadające się co najwyżej na mięso armatnie. Nie ufał im bardziej niż skorpionowi i do żadnego z nich nie odwróciłby się plecami. Webb był może stuknięty, ale z pewnością był to szajbus z jajami. W dodatku naprawdę paskudny szajbus.

Skrzywił się i pociągnął z butelki Olde English, którą trzymał wetkniętą w zagłębienie przy oparciu fotela. Sprawy wyglądały coraz gorzej. Wszystko się sypało. Esher przegrywał na całej linii. Mimo to wciąż nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Miał klasę i moc. Wiele potrafił. Możliwe nawet, że był potężniejszy niż kiedykolwiek. Nie na tym polegał problem. Stanowiła go ta lala. Gdy w grę wchodziła Nikola, Esherowi zaczynało mieszać się w głowie. I o co tu kruszyć kopie? Cokolwiek wydarzyło się po jej uprowadzeniu, musiało na niej

wywrzeć spore piętno. To prawda, wciąż wyglądała ponętnie, ale choć atrakcyjna, nie była już dwudziestopięciolatką. Wyglądała na dobrze ponad trzydzieści lat. Poza tym nie ulegało wątpliwości, że Esher nie zdoła wymazać z jej pamięci tego dzieciaka. Skoro dzisiejszego wieczoru zareagowała tak silnie po regularnej kuracji „proszkowej”, wiadomo było, że nic nie może odebrać Nikoli tych wspomnień. Gdyby to zależało od niego, wszedłby do jej sypialni, wpakował tej suce kulę w łeb i po krzyku. Niestety takie rozwiązanie w tym przypadku nie wchodziło w rachubę. Równało by się samobójstwu. Bądź co bądź, własną krwią podpisał kontrakt, który zawarł z magiem wampirem. I doskonale wiedział, co spotykało tych, którzy próbowali renegocjować jego warunki.

Pomimo iż lękał się o swoje życie, Obeah szczyił się niezłomną lojalnością. Pomimo bólu i upokorzeń doznanych z rąk Eshera wciąż był mu w pełni oddany. Zresztą zbyt daleko zaszedł, aby miał teraz opuścić swego suzerena. Był za stary, by zająć się czymś innym prócz tego, co umiał najlepiej, czyli zabijania. Od dziecka miał skłonność do przemocy i starał się być tym najsilniejszym, który zgodnie z prawem dżungli zawsze wygrywa. Jego dusza należała do szatana, wraz z całym dobrodziejstwem inwentarza, jak mawiała mu często matka i nie mógł już wycofać się z układu, w który wdepnął. Było na to za późno. Odegra swoją rolę do końca - własnego lub Eshera.

Spojrzał w stronę, gdzie zwykle siedział Webb i poruszył się niespokojnie. W tym uprowadzeniu było coś niejasnego, co nie dawało mu spokoju, a czego nie potrafił sprecyzować. Dręczyło go to jak łuska prażonej kukurydzy tkwiąca między zębami. Nie mógł wyzbyć się przekonania, że coś przeoczył. Ostatnią rzeczą, którą ujrzał, były podeszwy butów Webba, gdy wywleczono go przez boczną szybę z jadącego samochodu. Ale przecież było coś jeszcze, prawda? Coś, co widział, ale nie potrafił sobie przypomnieć.

Widmowy krok, owa szczególna zdolność Spokrewnionych, zawsze napawał go

trwogą i niepokojem. To właśnie dlatego w drodze z i do Bezpiecznego Domu zwykle towarzyszyła im Decima. Choć zwykli ludzie nie byli w stanie spostrzec wampira poruszającego się widmowym krokiem, inny krwio pijca nie miał z tym większego problemu. I dlatego funkcję ochroniarzy pełnili faktycznie tylko podczas przejazdów Batmobilem. Obeah jednak osobiście rozmawiał z guede - duchami zmarłych i był nawiedzany przez loa, boskie siły pradawnej Afryki. Żaden człowiek nie może tego doświadczyć, aby nie doznać przemiany, która uczyniłaby go naznaczonym. Bogowie zawsze pozostawiają po sobie jakiś ślad, podwyższoną świadomość, dar jasnowidzenia, coś, z czego może skorzystać bokor w razie potrzeby. Obeah wiedział, że tuż przed i zaraz po wypadku zobaczył coś charakterystycznego, ale co?

Pieszczotliwie musnął palcami rękojeść maczety. Broń stała oparta o prawy bok fotela, balansując na ostrzu, aby łatwo mógł po nią sięgnąć. Rękojeść wykonano z najlepszego mahoni; otrzymał tę broń podczas specjalnej ceremonii z rąk samego Papy Doca. Była to najcenniejsza rzecz, jaką posiadał Obeah.

Ktoś zapukał do drzwi. Obeah skrzywił się i znów spojrzał na zegarek. Zbliżał się świt, zatem ktokolwiek znajdował się po drugiej stronie drzwi, musiał to być człowiek. Krzywiąc się z bólu, wstał z fotela, starając się nie stracić równowagi ani przytomności. Prowizoryczne łubki bynajmniej nie polepszały jego zdolności poruszania się.

Pokuśtykał do drzwi, do których ktoś głośno załomotał, w jednym ręku trzymał maczetę, a pistolet kalibru 9 mm z magazynkiem pełnym naboju fosforowych zatknął za pasek spodni.

- Idę, już idę! Nie pali się! - burknął. Zajrzał przez judasz umieszczony pośrodku drzwi i aż stęknął ze zdumienia. Gościem była Spokrewniona, ta nowa, nosząca czarną skórę i lustrzanki. Esher rzadko wysyłał do Bezpiecznego Domu wampiry. Nazbyt kojarzyło się to z wysyłaniem niedźwiedzi, aby pilnowały miodnej barci.

Krzywiąc się podejrzliwie, Obeah otworzył kolejno pięć grubych zasuw i uchylił drzwi, nie zwalniając wcale łańcucha o grubości dwóch cali.

- Czego? - warknął opryskliwie.

- Esher mnie przysłał. To bardzo pilne! - Pokazała mu trzymaną w dłoni sportową torbę. - Mam dać jej sporządzony przez niego eliksir, który rzekomo odwróci efekty starzenia.

Musi go otrzymać przed wschodem słońca.

- Dlaczego wcześniej nie zadzwonił i nie powiadomił mnie, że się zjawisz?

- Twoja komórka została zniszczona podczas wypadku, pamiętasz?

- Przepraszam. Zapomniałem. - Zadowolony Obeah zdjął łańcuch i wpuścił

nieznaną do środka. Rozejrzała się po pokoju i kuchni, podczas gdy Obeah zatrzasnął drzwi i pozamykał zasuwę.

- Gdzie Nikola?

- W sypialni. Śpi - mruknął, wskazując drzwi po drugiej stronie pokoju.

- Czy znaleźli już następcę Webba? - zapytała, wchodząc w głąb pomieszczenia.

- Nie. Jeszcze nie.

- Szkoda. Akurat teraz przydałby ci się partner. - Mówiąc te słowa odwróciła się, a coś

w jej ruchach odblokowało wspomnienie tkwiące gdzieś w głębi umysłu Obeaha. Leżał na

ulicy, wśród rozsypanych odłamków szkła. Krew zalewała mu twarz, usta, oczy. Gdy tak

leżał, zawieszony pomiędzy jawą a nieświadomością, uniósł głowę i przez woal czerwieni i

bólu mącący mu wzrok spostrzegł nad sobą jakiś kształt. Coś rozmytego, zamazanego jak

stara, wyblakła fotografia. Zanim pochłonęła go ciemność, odniósł wrażenie, że to coś, ten

kształt, miał oczy jak dwa małe zwierciadła.

- To ty! - wrzasnął. - To byłaś ty! - i zamachnął się maczetą.

Nieznaną uniosła lewą rękę, aby zablokować cios i warknęła jak rozjuszona

pantera. Dopadła go w czasie nie dłuższym, niż trwa skurcz serca i uderzeniem torby sportowej wytrąciła maczetę z dłoni. Obeah krzyknął z bólu, upadając na ziemię i przygniatając zranioną nogę. Nieznajoma postawiła stopę na szyi bokora, opierając obcas buta na tchawicy. Wyłuskała zza jego paska pistolet, wyjęła magazynek i po sprawdzeniu wprawnym ruchem wcisnęła go na miejsce.

Spojrzała na Obeaha, który rozpaczliwie walczył o kolejny oddech i modlił się do swych bogów. Kusiło ją, by wyssać mu krew. Plazma, którą wypła wcześniej, jedynie zaostrzyła jej apetyt, ale nie chciała pozostawiać dowodów, że mordę dokonał ktoś ze Spokrewnionych.

Lepiej, żeby Esher myślał, iż jest to dzieło likwidatorów z gangu Black Spoons.

Zdjęła nogę z gardła Obeaha i jednym kopnięciem przewróciła go na brzuch. Choć ból musiał być potworny, Murzyn wydobył z siebie tylko cichy, rozpaczliwy jęk. Obeah dostatecznie dużo czasu spędził wśród szwadronów śmierci, by wiedzieć, co teraz nastąpi. Ostatnią rzeczą o jakiej pomyślał, zanim kula przeszła mu potylicę, była chęć przeproszenia matki za to, że ją zawiódł.

Nieznajoma podeszła do drzwi sypialni. Nacisnęła kłamkę i stwierdziła, że drzwi są otwarte.

- Nikola?

Bez odpowiedzi.

Ostrożnie weszła do środka.

W pokoju było ciemno choć oko wykol, wszystkie okna pomalowano na czarno, usunięto lampy, a nawet żyrandol. Najwyraźniej Esher chciał, by jego oblubienica przyzwyczajała się do życia w świetle mroku. Brak światła nic nie znaczył dla nieznajomej, gdyż po ciemku widziała równie dobrze jak w biały dzień, i to nawet w lustrzankach.

Ciemny pokój utrzymany był w białej tonacji - białe, pluszowe dywany, białe zasłony, biała toaletka, biały kredens i bieliźniarka.

Pośrodku wielkiego, okrągłego łóżka, wśród białej satynowej pościeli i miękkich poduszek, owinięta w narzutę jak w kokon leżała Nikola.

Nieznajoma postawiła sportową torbę na podłodze, w nogach łóżka i szturchnęła kształt rysujący się wśród pościeli.

- Nikola? Obudź się.

Spod narzuty dobiegł cichy jęk, kształt pod materiałem poruszył się, jakby próbował spełznąć z łóżka, ale zaraz znieruchomiał.

Nieznajoma chwyciła za brzeg materaca i wywróciła go, zrzucając Nikole z łóżka na podłogę. Tancerka leżała tak przez chwilę, naga, jeśli nie liczyć białych koronowych fig i kręciła głową z boku na bok jak porcelanowa lalka.

- J - już pora p - potaćzyć? - wykrztusiła bełkotliwie, rozglądając się dokoła spod półprzymkniętych, opuchniętych od snu powiek.

Nieznajoma złapała ją za nadgarstek i podźwignęła na nogi.

- No, Nikola, rusz się! Pora iść! Zabieram cię stąd! - Podeszła do bieliźniarki, ciągnąc tancerkę za sobą jak zabawkę na sznurku, po czym zaczęła wyrzucać ubrania na łóżko.

Puściła rękę Nikoli i otworzywszy sportową torbę, wyjęła z niej tuzin czarnych róż. Rzuciła bukiet na łóżko. Wylądował tuż przy wezglowiu. Wrzuciła kilka rzeczy Nikoli do torby i odwróciła się do tancerki, by stwierdzić, że ta, przybrawszy pozycję płodową, ułożyła się na podłodze. Uklęka przy niej i zaczęła ją zawzięcie tarmosić.

- No, Nikola, weź się w garść! Potrafisz to zrobić! Musimy już iść! Czy chciałabyś, aby Ryan zobaczył cię w takim stanie?

- Ryan? - zamrugła powiekami i leciutko uniosła głowę. - Ryan jest tutaj?

- Nie, ale jeżeli chcesz go zobaczyć, musisz zrobić, co ci każę. Czy chcesz być z

Ryanem?

- T - tak.

- Wobec tego udowodnij to. Wstań i ubierz się.

Tancerka podźwignęła się z podłogi. Chwiała się lekko, ale wydawała się rozbudzona.

Włożyła przez głowę jednoczęściową, białą, satynową sukienkę i wzięła białe szpilki. Gdy się ubrała, nieznajoma wzięła ją za rękę i zaprowadziła do sąsiedniego pokoju. Nikola zamrugła, gdy weszła do pomieszczenia tonącego w promieniach wschodzącego słońca i uniosła bladą dłoń do oczu. Skóra wokół jej oczu była podpuchnięta i zaróżowiona, zamrugła nerwowo, a po policzkach pociekły jej łzy. Po raz pierwszy od wielu miesięcy ujrzała światło dzienne.

Nieznajoma przeprowadziła ją obok ciała Obeaha w kierunku drzwi. Jeżeli nawet

Nikola zauważyła zwłoki swego byłego ochroniarza, nie dała tego po sobie poznać. Nie zrobił także na niej wrażenia widok pół tuzina Pointersów spoczywających na schodach i chodniku przed domem.

- Gdzie jest Ryan? - zapytała Nikola, rozglądając się na lewo i prawo.

- Czeka na ciebie w domu przyjaciela.

- Jezu! - wyszeptał Cloudy na widok Nikoli. Odsunął się, aby wpuścić do mieszkania nieznajomą wraz z oswobodzoną przez nią tancerką.

- Mama! - pisnął Ryan. Wypełzył spod zlewu i dosłownie rzucił się matce w ramiona.

Nikola zachwiała się pod jego ciężarem, ale nie upadła. Uściskała syna, wtulając twarz w jego włosy.

Cloudy nachylił się i wyszeptał:

- Jesteś pewna, że to właściwa kobieta?

- Tak jak tu stoję.



- Co się z nią stało? Wygląda, jakby postarzała się o dziesięć lat!

Nieznajoma wydawała się odrobinę zażenowana.

- Bo tak jest. Popełniłam błąd, zabierając ją ze sobą, gdy wchodziłam w Akcelerację.

Wiedziałam, że Szybkość jest wyczerpująca nawet dla Spokrewnionych, ale nigdy nie przypuszczałam, że może wyrzucić aż taki efekt na śmiertelniku; zupełnie jakby za każdą minutę poruszania się przeze mnie widmowym krokiem ona musiała zapłacić jednym rokiem swojego życia. Chciałabym jakoś to naprawić, ale nic już nie da się zrobić.

- Kompletnie zbiłaś mnie z tropu - mruknął Cloudy, kręcąc głową. - Nie wiem, co mam powiedzieć. Sądziłem, że mieszkając w Umarłym Mieście, widziałem wiele osobliwych rzeczy, ale odkąd cię spotkałem, to słowo nabrało dla mnie całkiem nowego znaczenia!

- Cloudy! Cloudy! To moja mama! - Ryan jedną ręką trzymał dłoń matki, a drugą wyciągnął do przyjaciela.

Cloudy spróbował się uśmiechnąć i postąpił naprzód, podając rękę Nikoli, która patrzyła na niego wielkimi sarnimi oczami.

- Miło mi panią poznać. Odkąd go poznałem, Ryan stale o pani mówi. Nazywam się Edward McLeod.

- Czy pan? opiekował się moim synkiem?

- Gdy tylko mi na to pozwalał.

Nikola uśmiechnęła się, a w jej oczach pojawiły się radosne błyski. Przez chwilę wyglądała jak kobieta, którą zapewne kiedyś była, zanim znalazła się w mocy pana wampirów. Ujęła dłoń Cloudy'ego i nachyliła się, by pocałować go w policzek.

- Dziękuję, że się pan nim zajął. Jak mogłabym odwdziaczyć się panu za to, co pan dla niego zrobił?

- Nie ma potrzeby. Zrobiłem to, co uznałem za stosowne, i tyle. Taka karma, rozumie

pani?

- Posłuchaj, nie chcę przerywać tego radosnego spotkania, ale nie zostało wiele czasu - oznajmiła nieznajoma. - Jeśli mamy wywieźć was z Umarłego Miasta, trzeba to zrobić za dnia, gdy Spokrewnieni są nieaktywni, a większość ich śmiertelnych sług nie zdążyła jeszcze wstać. Co oznacza, że mamy jeszcze najwyżej godzinę lub dwie. - Odwróciła się do Cloudy'ego. - Gdzie są pieniądze, które dałam ci na przechowanie?

Cloudy zniknął wśród wysokich stert starych książek i po chwili wrócił, niosąc egzemplarz *Oxford English Dictionary*.

- Zawsze byłem przekonany, że złodziejowi nie przyjdzie do głowy, aby zaglądać do książki, a co dopiero do słownika. - Uśmiechnął się.

Nieznajoma rozsunęła suwak torby i zaczęła wkładać pieniądze pod znajdujące się wewnątrz rzeczy Nikoli.

- Za kokainę zwędzoną Esherowi zarobiłam trzysta kawałków. Ty dostaniesz setkę w gotówce. To powinno wystarczyć, abyście wyjechali możliwie jak najdalej od Umarłego Miasta i rozpoczęli nowe życie. Gdzieś, gdzie przez dłuższy czas nie będziesz musiała martwić się o następną wypłatę ani pracować nocami, pozostawiając Ryana samego. Cloudy otrzyma pięćdziesiąt tysięcy za fatygę, czy to cię satysfakcjonuje?

- W zupełności.

- Tak też sądziłam. Resztę zatrzymam dla siebie. Jak rozumiesz, nie robię takich rzeczy za darmo.

Nikola przejrzała zawartość torby, po czym przeniosła wzrok na nieznajomą.

Wyglądała na oszołomioną, ale trudno powiedzieć, czy było to skutkiem szoku po otrzymaniu tak wielkiej fortuny, czy efektem działania narkotyków obecnych w jej organizmie.

Zamrugała i pokręciła głową, jakby próbowała się obudzić.

- Dlaczego to robisz? Czemu mi pomagasz?

Lustrzane spojrzenie nieznajomej padło na uniesioną twarz Ryana, a potem przeniosło się na jej sterane martensy.

- Może dlatego, że przypominasz mi kogoś, kogo kiedyś znałam. Kogoś, kto też potrzebował pomocy, lecz się jej nie doczekał.

Nikola przez dłuższą chwilę przyglądała się nieznajomej, po czym spojrzała na syna, odgarniając włosy z jego bladego, wysokiego czoła.

- Zawdzięczam ci życie, duszę i syna. Niechaj Bóg błogosławi cię za wszystko, co uczyniłaś.

Uśmiech nieznajomej był cienki jak zacięcie od papieru. Obawiam się, że to raczej niemożliwe.

- Jezus Maria! Kiedy to się stało? - wykrztusił Cloudy.

Nieznajoma spojrzała na swoją lewą dłoń i po raz pierwszy zauważyła, że brakowało jej całego małego palca i fragmentu serdecznego, aż do drugiego stawu. Rozcapierzyła palce, przyglądając się ranie. Musiała to przyznać Obeahowi, maczeta była tak ostra, a cięcie tak szybkie, że nawet nie poczuła, kiedy ją trafił.

- Czy to cię nie boli? - zapytał Cloudy z zasmuconą miną.

- Ból jest pojęciem względnym. Różni ludzie różnie reagują. Jeżeli chodzi o mnie, mam znacznie podwyższony próg wytrzymałości.

- Bez kitu!

- Nie mamy czasu przejmować się takimi drobiazgami - mruknęła, machając obojętnie zranioną ręką. - Pora ruszać w drogę.

- Ale... przecież... straciłaś dwa palce... - zaprotestował Cloudy.

- Nic nie szkodzi, odrosną! Teraz najważniejsze jest dla nas bezpieczne wywiezienie

Nikoli i Ryana z Umarłego Miasta. - Odwróciła się do Nikoli, która wciąż patrzyła na pieniądze w sportowej torbie. - Czy wiesz już, dokąd chciałabyś pojechać?

- M - mam rodzinę w San Luis Obispo. Mieszka tam moja siostra.

- Doskonale. Niech będzie San Luis Obispo. - Nieznajoma odwróciła się do

Cloudy'ego. - Powinieneś pojechać z nimi. W Umarłym Mieście zrobi się dla ciebie za gorąco. Zresztą kto wie, czy po dzisiejszej nocy ta dziura będzie jeszcze istniała.

Cloudy pokręcił głową.

- Nie mogę stąd wyjechać. Tu jest mój dom.

Ryan odsunął się od matki i obiema rękoma ujął potężną, spracowaną, szorstką dłoń przyjaciela.

- Pojedziesz z nami, prawda, Cloudy?

Stary hipis uśmiechnął się smutno i ukląkł, aby spojrzeć Ryanowi prosto w oczy.

- Jestem naprawdę wzruszony twoją propozycją, mały.

Serio. Ale nie mogę z wami pojechać. Tu jest moje miejsce.

Może któregoś dnia zdecyduję się i wybiorę do was w odwiedziny, co ty na to?

Ryan objął przyjaciela za szyję i rozplakał się. Cloudy przytulił chłopca, ostrożnie, aby nie uszkodzić jego chudego, kruchej ciała.

- Cloudy... już czas... - rzuciła cichym, lecz ponagającym tonem nieznajoma.

Pokiwał głową z wyrozumiałością i puścił chłopca.

- Ona ma rację. Lepiej już idź, mały. - Wierzchem dłoni otarł oba policzki i spróbował się uśmiechnąć. - Jednak zanim odejdziesz, chciałbym coś ci podarować.

Odwrócił się i przez chwilę szperał wśród otaczających go książek, z gracją czapli łowiącej ryby w stawie. Podał chłopcu mocno zaczytany egzemplarz *Przygód kaczątek*.

- Proszę, to dla ciebie, abyś miał co czytać w samolocie. - Ryan, dzielnie tłumiąc łzy,

przyjął podaną mu książkę i przycisnął do swej szczupłej piersi niczym ryngraf.

Nieznajoma stanęła przy drzwiach, nerwowo stukając stopą w podłogę, dopóki nie dołączyli do niej Nikola i Ryan.

Rozległ się trzask odblokowywanej zasuwki i już po chwili znaleźli się na ulicy.

Nikola przez moment stała przy wejściu, ściskając w dłoniach sportową torbę i mrużąc oczy od słońca, aż w końcu nieznajoma chwyciła ją za rękę i wyprowadziła na ulicę.

W blasku wschodzącego słońca Umarłe Miasto wyglądało prawie normalnie. A w każdym razie na tyle normalnie, na ile może wyglądać zapomniana dzielnica wewnętrznego miasta. Spokrewnieni, którzy rządili tymi ulicami, pochowali się w swoich mrocznych, podziemnych norach, ich śmiertelni słudzy zaś drzemali jeszcze w zrujnowanych, opustoszałych budynkach, pozostawiając ulice tym, którzy zawsze nazywali Umarłe Miasto swoim domem. Większość mieszkańców stanowili ludzie w podeszłym wieku - jak ta staruszka w obszernym płaszczu przeciwdeszczowym i czarnej chustce, pchająca przed sobą zdezelowany sklepowy wózek o dwóch kółkach. Byli tu także narkomani i alkoholicy, trzęsący się jak osika i maszerujący chwiejnym krokiem na spotkanie dilera lub do najbliższego sklepu monopolowego, jak choćby ten chudy, wynędzniały starszy mężczyzna w brudnej koloratce pod szyją - bez wątpienia to właśnie jego widziała nieznajoma, jak chował się na dzwonnicy. Gdy cała trójka podeszła bliżej, ksiądz pośpiesznie się przeżegnał i z papierową torbą pod pachą przeszedł na drugą stronę ulicy.

Nikola, Ryan i nieznajoma ruszyli dalej. Po drodze spotkali niewiele osób, wszystkie jednak reagowały na ich widok podobnie jak stary ksiądz. Z początku ludzie wydawali się zaskoczeni, ujrawszy dziecko, potem, gdy dostrzegali nieznajomą, zdumienie przeradzało się w nie skrywany strach, czym prędzej odwracali wzrok, wyraźnie wstrząśnięci widokiem potwora w biały dzień paradującego po ulicach miasta.

Jeżeli chodzi o nieznajomą, ten spacer wcale nie był dla niej przyjemnością. Mimo iż mogła wędrować za dnia, nie lękając się, że promienie słońca położą kres jej egzystencji, nie było to dla niej miłe doświadczenie. Czuła się zmęczona, a jej ciało domagało się regeneracji. Jasne światło przyprawiało ją o ból głowy, a skóra swędziała, jakby obsiadła ją cała armia pcheł.

Im bardziej oddalali się od trawionego rakiem serca Umarłego Miasta, tym więcej ludzi widzieli na ulicach, jakby wpływ zabójczej choroby nękającej ich dzielnicę słabł z każdą mijaną przecznicą. Skręcili za kolejny róg i nagle, zupełnie nieoczekiwanie znaleźli się w okolicy tętniącej życiem, pełnej kurierów na rowerach, ryczących klaksonami taksówek, eleganckich mężczyzn w garniturach i kobiet w modnych kostiumach.

Nikoła zadrżała i odwróciła się, by spojrzeć w stronę, skąd przyszli.

- Czy odejście stąd zawsze było takie proste? - zapytała.

- Opuszczenie takiego miejsca jak Umarłe Miasto zawsze jest piekielnie proste, a zarazem niesłychanie trudne - odrzekła nieznajoma. - Chodź, nie jesteśmy jeszcze bezpieczni, musicie dostać się na Zachodnie Wybrzeże.

Wyszła na jezdnię i uderzyła dłońmi w maskę przejeżdżającej taksówki, aby ją zatrzymać. Taksjaryz wydawał się bardziej wystraszony niż zagniewany, gdyż nie zdjął stopy z hamulca.

- D - dokąd, paniusiu? - wykrztusił, gdy nieznajoma, Nikoła i Ryan zajęli miejsca na tylnym siedzeniu.

- Na lotnisko - odrzekła nieznajoma.

- Jakiej linii lotniczej?

- Byle jakiej. Jakiegokolwiek. Jedź!

Dotarli na lotnisko bez przeszkód. Ryan siedział z nosem przyklejonym do szyby,

podziwiając widoki, których nie miał okazji oglądać w miejscu, gdzie spędził całe swoje życie. Kiedy dojechali na lotnisko i zatrzymali się przy terminalu odlotów, nieznajoma zapłaciła kierowcy, wręczając mu banknot studolarowy.

Taksiarz podziękował uprzejmie i po chwili już go nie było.

- Chyba nie spodobało mu się to, co ujrzał w lusterku wstecznym - rzuciła nieznajoma, śmiejąc się oschle. - Ale kurs to kurs, prawda?

Weszli do głównego terminalu i już po chwili Nikola wypatrzyła na tablicy odlotów startujący za dwie godziny samolot do Los Angeles. Nieznajoma została w hali, podczas gdy Nikola podeszła do stanowiska biletowego i wdała się w rozmowę z obsługującą je hostessą. Po kilku minutach wróciła, machając trzymanymi w rękę biletami. Choć się uśmiechała, wciąż była blada jak ściana. Wyglądała jak narkomanka na głodzie.

- Mam bilety na najbliższy lot! Niestety były miejsca już tylko w pierwszej klasie.

- Stać cię na nią - rzekła nieznajoma, wzruszając ramionami.

- Muszę zadzwonić do siostry i powiadomić ją, że przyjeżdżamy.

- Popilnuję Ryana, a ty zadzwoń.

Nieznajoma zaczęła, aż Nikola podejdzie do aparatu, po czym odwróciła się do chłopca. Przyklękła na jedno kolano i delikatnie dotknęła obojczyka malca.

- Ryanie, musisz pilnować swojej mamy. Sporo przeszła. Będzie potrzebowała twojej pomocy, jeśli ma znów być taka jak kiedyś, a to może potrwać długo, nawet bardzo długo.

- Czy już zawsze będzie stara?

- Nie powiedziałabym, że twoja mama jest stara - nieznajoma uśmiechnęła się krzywo.

- Ale tak, pozostanie taka jak teraz. Może to i lepiej. Mówią, że z wiekiem człowiek staje się mądrzejszy.

- Czy to prawda?

- W przypadku większości ludzi tak. Mimo to zapamiętaj - niezależnie od tego, co czeka w przyszłości ciebie i twoją mamę, liczy się tylko jedno: Esher nie może sprawić, aby przestała cię kochać. Zrobił wszystko, co tylko mógł, aby wymazać jej przeszłość i zmusić ją, by go polubiła, lecz ona się nie poddała. To właśnie pozwoliło jej pozostać człowiekiem.

- Wiem - rzekł Ryan tak cicho, że jego głos niemal rozpląnął się w hałasie panującym w hali terminalu. Spojrzał ze smutkiem w zwierciadlane oczy nieznajomej. - Czy jeszcze się kiedyś spotkamy?

Nieznajoma wzruszyła ramionami, wstała i poklepała malca po głowie.

- Któż to wie, chłopcze? Jestem jeszcze młoda i lubię podróżować. Może któregoś dnia to ja będę potrzebowała twojej pomocy? O, już idzie twoja mama.

Nikola uśmiechała się jeszcze promiennie niż dotychczas, w jej oczach błyszczały radosne iskierki.

- Dodzwoniłam się do siostry. Powiedziała jej, że przylecimy i o której powinniśmy dotrzeć na miejsce, a ona na to, że wyjdzie po nas na lotnisko! Nie znasz jeszcze swojej cioci Kate, prawda, Ryan?

Chłopiec pokręcił przecząco głową.

- Ma synka, to twój kuzyn Jeremy, jest o rok lub dwa starszy od ciebie. Będziesz miał się z kim bawić. Będzie twoim przyjacielem.

- Cloudy jest moim przyjacielem - rzekł Ryan, zerkając na książkę *Przygody kaczątek*, którą trzymał w dłoni.

- Ale on będzie twoim nowym przyjacielem - odparła Nikola, a uśmiech na jej ustach niespodziewanie przygasł.

Nieznajoma podała Ryanowi garść ćwierćdolarówek.

- Do odlotu zostało jeszcze trochę czasu. Może chciałbyś pograć trochę na



automatach? Tam jest salon gier. Idź, rozerwij się trochę!

Ryan wetknął książeczkę pod pachę, przyjął wręczone monety i przebiegł chyłkiem przez hol, poruszając się miękko, nisko i płynnie jak na ulicach Umarłego Miasta.

- To wspaniały dzieciak - rzekła nieznajoma, patrząc, jak chłopiec wrzuca monety do jednego z automatów. - Szczęściara z ciebie, Nikola.

- Wiem.

Nieznajoma odwróciła się i jej zwierciadlane spojrzenie padło na tancerkę. Głos, dotąd miękki i łagodny, nabrał twardości i ostrości klingi z hartowanej stali.

- Powiem wprost - nie zrobiłam tego wszystkiego dla ciebie. Zrobiłam to dla Ryana.

Jeśli dojdą mnie słuchy, że zaniedbujesz to dziecko, odnajdę cię i porozmawiamy inaczej.

Uwierz mi, że to nie będzie przyjemne. Szczerze ci to odradzam. Czy wyraziłam się jasno?

Oblicze Nikoli, zazwyczaj blade, wydawało się w tej chwili śnieżnobiałe. Pokiwała głową jak automat, nie odrywając wzroku od lustrzanek nieznajomej.

- Mamo! Mamo! Chodź, zobacz! - zawołał Ryan, podskakując radośnie przy konsolecie gry wideo.

Nieznajoma spojrzała ponad ramieniem chłopca na ekran, na którym dwa generowane komputerowo dinozaury walczyły ze sobą jak oszalałe, rozbryzgując na wszystkie strony strugi pikselowanej krwi.

- Ale ekstra!

Nieznajoma z głośnym westchnieniem, potwornie zmęczona, wsiadła do czekającej taksówki. Zaczekała, aż samolot z Nikolą i Ryanem wzbije się z pasa startowego, kierując w stronę Kalifornii. Patrzyła przez szybę na widoczny w górze kształt boeinga 747.

Zastanawiała się, czy Ryan rozglądał się teraz po pełnej wspaniałości kabinie pasażerskiej pierwszej klasy, czy może wyglądał przez okno, usiłując po raz ostatni ujrzeć jedyny znany

mu dotąd zakątek świata.

Chociaż nie powinna aż w takim stopniu manipulować umysłem Nikoli, nie czuła z tego powodu wielkich wyrzutów sumienia. No i co z tego, że sięgnęła w głąb mózgu tancerki, podkreślając o kilka jednostek jej poczucie odpowiedzialności? Przecież nie spaczyła jej umysłu, nakazując, by wzięła karabin i zaczęła strzelać do ludzi na ulicach. Ta kobieta miała w sobie silny instynkt macierzyński i dość miłości, by stać się dobrą matką, lecz cierpiała na ustawiczną słabość do niewłaściwych facetów, zwłaszcza tych o silniejszym od niej charakterze, i nieumiejętność przewidywania zdarzeń. Esher natychmiast zorientował się w jej największych słabościach i bazował na nich. Nieznajoma podejrzewała, że nie był on pierwszym, który tego dokonał, lecz z całą pewnością najbardziej okrutnym i nieludzkim spośród jej ciemnych.

Zanim zajdzie słońce, Nikola i Ryan będą bezpieczni w domu jej siostry w San Luis Obispo. Staną w obliczu nowego świata - wolnego, przynajmniej na pozór, od żądnych ludzkiej krwi potworów, podczas gdy ona podejmie próbę oczyszczenia paskudnego bagniska, brodząc po pas wśród aligatorów.

Skrzywiła się i zwalczyła w sobie pragnienie podrapania kikuta małego palca u lewej ręki. Te draństwa, odrastając, zawsze cholernie swędziały.

## **ROZDZIAŁ 10**

Esher wyszedł ze stanu hibernacji, a jego myśli na powrót przyjęły ten sam rytm, jak w chwili, gdy zamykał oczy z nadejściem świtu. Wciąż miał świeżo w pamięci wypadki z ubiegłej nocy. Będzie musiał działać szybko, jeśli chce umocnić swą pozycję i stawić czoło zarówno Sinjonowi, jak i Radzie. Spośród tych dwóch przeciwników bardziej przejmował się Radą. Choć ufał swoim umiejętnościom magicznym, był sam. Na przestrzeni lat poznał wiele zaklęć i miał okazję ich użyć, zawarł sporo paktów i można by rzec, iż zaskarbił sobie

znaczne grono przyjaciół w pewnych mocno podejrzanych kręgach. Mimo iż raczej nie udałooby mu się obalić wiedeńskiej Rady, nie wątpił, że jest w stanie skutecznie dawać jej odpór.

O tym wszystkim rozmyślał, podnosząc się ze swej skrzyni, by powitać nadchodzący wieczór. Trumna została specjalnie skonstruowana, jej boczna ścianka miała wmontowane zawiasy i opadała, gdy wieko zostało otwarte i podniesione od wewnątrz. Gdy Esher wstał, uznał, że już wkrótce będzie mu potrzebny nowy model, powiększony, aby Nikola mogła spać u jego boku. Jej niewyjaśnione postarzenie się wprawiło go w zakłopotanie i rozgniewało, ale namiętność, którą odczuwał wobec bladej tancereczki, nie wygasła. Nawet przed samym sobą nie potrafił wyjaśnić swojej obsesji śmiertelniczką. Było to jednak typowe dla Spokrewnionych i ich oblubienic. Fascynacja płonęła silnym, gorącym płomieniem i choć nie sposób przyrównać jej do prawdziwej miłości, ze swym blaskiem i żarem może stanowić udaną jej namiastkę. Jedynie w tych ulotnych chwilach szaleńczego zapomnienia Esher naprawdę czuł, że żyje. Kiedyś, wiele dekad temu podobnie obsesyjnym uczuciem darzył Decimę, a jeszcze wcześniej Bakil.

Esher nie lubił wspominać Bakil. Była jego pierwszą progeniturą i największą pomyłką. Nie znoził roztrząsać błędów przeszłości. Być może drażniło go, że w chwilach całkowitego wyciszenia widział w myślach jej twarz. Pojawiała się nagle i niespodziewanie, choć wcale sobie tego nie życzył. Za życia była knajpianą szansonistką, śpiewającą za marne grosze w najgorszych spelunkach Bowery. Nie nazywała się wtedy Bakil - imię to przybrała po Przeistoczeniu, co miało symbolizować jej ostateczny rozbrat ze światem żyjących. W owych czasach znano ją jako Czarną Nanę.

Włosy miała czarne jak skrzydła kruka, a skórę, gdy wyszorowano ją z węglowego pyłu i brudu Lower East Side, białą niczym miąższ jabłka. Jednak to jej głos sprawił, że

zwrócił na nią uwagę. Był rok 1879. Esher maszerował po zatłoczonym chodniku w poszukiwaniu wieczornej ofiary, gdy usłyszał głos, który przywiódł mu na myśl anielicę wśród zgrai potępionych dusz. Odwiedził kilka knajp, znajdujących się przy tej ulicy, aż w końcu trafił do baru, gdzie podłoga usłana była słomą i trocinami, mającymi wchłaniać rozlane piwo, wymiociny, a niekiedy także krew. Wśród gromady gości spostrzegł stojącą na barze jedenastoletnią dziewczynkę, śpiewającą za monety rzucane przez podchmielone towarzystwo, podczas gdy jej ojciec stał tuż obok i równie szybko przepijał zarobione przez małą pieniądze. Ten tłusty wieprz był skłonny oddać ją na noc każdemu za równowartość butelki taniego rumu.

Jeszcze tego samego wieczoru Esher zabił wyrodnego ojca i postanowił, że Czarna Nana zostanie jego oblubienicą. Popełnił jednak błąd, próbując uczynić ją równą sobie. W ciągu następnych sześciu lat, które z nim spędziła, podróżując po świecie, nauczał ją sekretów Tremere, tak jak wcześniej sam uczył się ich od Caula. Okazało się to niemal tragiczną w skutkach pomyłką, gdyż Bakil wiele dekad później spróbowała obrócić swą magię przeciwko niemu. Zakochała się w śmiertelnym mężczyźnie i zapragnęła go dla siebie, lecz Esher kategorycznie jej tego zabronił. Ponieważ wciąż się upierała, lord zabił jej wybranka. Bakil w przyływie szału rzuciła mu wyzwanie. W tej sytuacji nie pozostało mu nic innego, jak unicestwić ją w ten sam sposób, w jaki poprzedniej nocy uśmiercił Caula.

Było to w roku 1910. Upłynęło sześćdziesiąt lat, zanim odważył się stworzyć kolejną progeniturę, efektem tych działań była Decima. Otrzymana lekcja nie poszła jednak na marne. Decima odrodziła się w wiecznym świecie Spokrewnionych nieświadoma szkarłatnych sekretów, które dawały Tremerom ich moc. Gdy ją spotkał, Decima była opryskliwą, zbuntowaną hipiską, buntowniczą córką średniozamożnych rodziców zamieszkujących na przedmieściu, dziewczyną na gigancie - uciekającą przed czymś lub do czegoś, czego nie

potrafiła sprecyzować. Pod jego kuratelą zmieniła się z dziecka kwiatu w dziecię księżycy i przez kilka lat był tym w pełni usatysfakcjonowany.

Dopóki nie ujrzał Nikoli.

Coś w jej ruchach, gdy tańczyła, ożywiło ukrytą w nim żądzę posiadania, jakiej nie zaznał od owej pamiętnej nocy, gdy po raz pierwszy usłyszał śpiew Bakil. Być może poprzez Przeistoczenie wybrańców muzy doświadczał tego, co utracił. A jednak nie. To oznaczałoby słabość. Żal. Smutek. Książę Spokrewnionych nie powinien doświadczać takich doznań. Ani ich przejawiać. Tak przynajmniej to sobie tłumaczył.

I właśnie dlatego nie lubił wspominać Bakil.

Lepiej zająć umysł innymi pilniejszymi sprawami. Takimi jak naprawa szkód poczynionych fatalnym splotem wypadków zaszłych ubiegłej nocy.

Jego oryginalny plan zakładał, że zostanie najemnikiem na usługach Braci Borges i w ten sposób uniknie posądzenia o dżihad. Dzisiejszej nocy w geście dobrej woli zamierzał przekazać Borgesom skradzione narkotyki, lecz skoro Bracia nie żyli, jego plan spalił na panewce. Mimo to cztery kilogramy kokainy mogły mu się przydać. Bez trudu mógł ją wymienić na broń i amunicję. Bądź co bądź, pociski zapalające nie były tanie, nawet gdy nabywał je hurtowo.

Pogładził pieszczotliwie wieko starego, czarnego lakierowanego chińskiego kufra.

Boki skrzyni zdobiły ornamenty przypominające z pozoru czerwone orchidee, lecz po bliższym przyjrzeniu się okazywało się, że są to wykwintnie stylizowane nietoperze, chiński symbol szczęścia i dostatku. Esher zacisnął dłoń na łbie złotego, przynoszącego szczęście smoka i uniósł wieko kufra. Wnętrze skrzyni było puste. To znaczy jeśli nie liczyć uperfumowanej koronkowej chustki do nosa.

Gniew Eshera był tak silny, że z pozoru przejawiał się jako niezmacony spokój; pan

wampirów sięgnął w głąb kufra i wyjął cienką, delikatną chustkę. Nie musiał jej wachać, by po charakterystycznym zapachu zidentyfikować właściciela. Symbol Masonów wyhaftowany w rogu chustki zamiast monogramu zdradził Esherowi, do kogo należała. Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła Decima; rana od krzyżyka na jej czole wciąż pulsowała gniewną, surową czerwienią. Esher szybko zmiął chustkę w dłoni.

- Panie, Batmobil został naprawiony, zgodnie z twymi rozkazami.

- Doskonale. Jedź i sprowadź tu lady Nikole. Dzisiejszej nocy zarządzam pełną gotowość bojową dla całej mojej enklawy.

Decima uniosła brew w wyrazie zdumienia.

- Już dziś? Tak szybko?

- Nie kwestionuj mojej decyzji! - warknął. - Rób, co mówię! Przekaż moje rozkazy pozostałym!

- Jak sobie życzysz, panie - rzuciła półgłosem, opuszczając pokój.

Esher rozwarł palce i spojrzał gniewnie na chustkę. Włożył ją do kieszeni i ruszył krętymi, zawilými korytarzami w kierunku sali audiencyjnej. Gdy wszedł do środka, oczekiwał tam już na niego chudy, niepozorny wampir o długich, prostych włosach i w garniturze urzędnika biurowego. Wydawał się czymś mocno poruszony.

- Słucham, o co chodzi...? - burknął Esher.

- Wilfred.

- Ach tak, więc o co chodzi, Wilfredzie?

- My... ee... no... tego... znaleźliśmy Torgo, panie.

- Rozumiem. - Esher westchnął i usadowił się na tronie. - Jaką wymyślił wymówkę mającą tłumaczyć jego kilkudniową nieobecność?

- P - p - panie, on nie żyje.

- Oczywiście, że nie żyje! Jest jednym z nas!

Wilfred skrzywił się i zadygotał jeszcze silniej niż dotychczas.

- Nie, panie, on umarł Ostateczną Śmiercią. Odnaleźliśmy go, a raczej to, co z niego zostało, wciśnięte pod jedną z kanap w barakach. Gdy go odkryliśmy, był już całkiem... nieświeży.

- Torgo umarł? Jak to się stało?

- Nie mamy pewności, panie. Jak już wspomniałem, niewiele z niego zostało.

Wygląda to na dzieło szponów Gangreli albo jakieś magiczne zaklęcie.

Esher rozsiadł się wygodniej na tronie i zamyślił się. Na jego czole pojawiły się głębokie zmarszczki. Co powiedział mu Caul, nim skonał? „Hodujesz zmię na własnym łonie, Esherze”.

- Panie! - Drzwi do sali audiencyjnej otwarły się na oścież i do komnaty wpadła wielce wzburzona Decima. W ręce trzymała bukiet czarnych róż, przewiązany fioletową satynową wstążką. - Panie! Sinjon porwał lady Nikole!

- Co takiego?

- Pojechałam po Nikole, jak rozkazałeś, ale gdy tylko samochód stanął przed Bezpiecznym Domem, ujrzałam ciała leżące na schodach i na chodniku. Pointersi, którzy mieli strzec wejścia do budynku, byli martwi. Sądząc po chmarach krążących nad nimi much, powiedziałabym, że leżeli tam przez cały dzień. Wewnątrz budynku natknęłam się na Obeaha - on również był martwy, odstrzelono mu całą potylicę. Lady Nikola zniknęła - a na łóżku pozostawiono te kwiaty!

- A więc to jednak džihad? - rzekł Esher, odbierając od niej tuzin czarnych róż. - Ten stary wąż oszczędził mi przynajmniej kłopotu z wypowiedaniem mu wojny. Chyba to rozumiesz, prawda? - Machnął bukietem w stronę Decimy. - To ON rzucił rękawicę, a nie JA.

To on jest agresorem, ja tylko się bronię!

- Oczywiście, panie.

- Czy było tam coś jeszcze, jakiś list, cokolwiek?

- Nie, nie było listu, ale znalazłam coś innego. Leżały pod ciałem Obeaha. - Decima sięgnęła do kieszeni skórzanej kurtki i wyjęła dwa gładko odcięte palce, mały palec i fragment palca serdecznego lewej ręki. Podała je Esherowi. Ten wziął od niej mały palec i powąchał. Następnie oblizał okrwawiony kikut i zasepił się.

- W ciele ich właściciela płynie moja krew. Ktokolwiek to zrobił, należy do Spokrewnionych.

- Mogłam ci od razu powiedzieć, że była to robota kogoś od nas - parsknęła Decima. -

Drzwi do mieszkania nie zostały sforsowane. Obeah otworzył je z własnej woli. To znaczy, że rozpoznał tego, kogo zobaczył przez wizjer. Te palce należą do kobiety, idę o zakład, że do tej lustrzanookiej dziwki, którą tak polubiłeś.

Marsowa mina Eshera przerodziła się w grymas wściekłości. Decima miała rację.

Wszystkie dowody zdawały się pasować. Nieznajoma była ostatnią osobą, która widziała Torgo „żywego”, to ona miała czuwać nad Nikola i jako jedyna pozostała w Twierdzy.

Zastanawiał się, jak udało się jej dokonać powtórnego uprowadzenia w tak krótkim czasie, tuż przed świtem, ale najwidoczniej nieznajoma była o wiele bardziej pomysłowa, niż przypuszczał.

Wziął od Decimy palce i owinał je starannie w lawendową chustkę, po czym włożył zawiniątko do kieszeni. Ruchy miał spokojne i rozważne. Bardzo spokojne. Gdy skończył, spojrzał na Decimę, która jak wierny pies oczekiwała jego rozkazów.

- Przyrowadź do mnie tę nieznajomą - powiedział. Jego głos również był wyjątkowo spokojny.



Decima oblizwała wargi, ukazując kły i zdobiący język kolczyk z chirurgicznej stali.

- Jak rozkażesz, panie.

Nieznajoma, zwlekając się z brudnego materaca, przeklinała swój altruizm. Oto, co otrzymywała w zamian za wyciągnięcie kogoś z bagna - uporczywy ból głowy i zeszywniałe stawy. Spojrzała na zranioną dłoń i skrzywiła się. Palec serdeczny odrósł, ale najmniejszy wyglądał jak ogryzek ołówka. Tego się właśnie obawiała - zbyt krótko spała, aby móc właściwie zregenerować swój organizm. Wiedziała, że się przeforsowuje, nie miała jednak innej alternatywy. Musiała utrzymać to szaleńcze tempo, w przeciwnym razie tryby maszyny, którą puściła w ruch, pochwycą ją i zmiażdżą.

Choć nie chciała tego przyznać, nawet odrobina świeżej krwi pomogłaby jej odzyskać trzeźwość umysłu i dodała sił niezbędnych do dalszego wytężonego działania. Mogła nasycić się krwią jednego z wielu Pointersów lub Black Spoons, od których roiło się w Umarłym Mieście, lub skorzystać z dystrybutorów w Danse Macabre. To drugie rozwiązanie było mniej kłopotliwe, ale nie chciała z niego skorzystać. Była inna niż te chichoczące monstra, nowi rekruci Eshera. Tak sobie przynajmniej wmawiała. Mimo to miała w sobie odrobinę jego krwi. Zapewne to stąd wzięła się w jej głowie sugestia, aby skorzystać z dystrybutora.

Ponieważ oddała Nikoli sportową torbę, swoje rzeczy - a nie miała ich wiele - przechowywała teraz w pomiętej torbie papierowej. Zaczęła przebierać wśród sterty brudnych i czystych ubrań, aż w końcu zdecydowała się na sprany, stary podkoszulek. Zrzuciła ten, który miała na sobie, poplamiony jej własną krwią i Obeaha, po czym nałożyła czystszy. Do tej pory Esher na pewno dowiedział się już o zniknięciu Nikoli. Bukiet czarnych róż - rytualny symbol wypowiedzenia wojny pomiędzy książętami - był jedynym dowodem niezbędnym do powiązania uprowadzenia tancerki z Sinjonem. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że Esher unicestwi Sinjona i tym samym ją wyręczy.

Pozostanie jej tylko uporanie się z Esherem, aczkolwiek nie będzie musiała obawiać się, że wampirzy lordowie mogliby pokrzyżować jej szyki, decydując się na tymczasowy rozejm lub kłopotliwy sojusz. Pojedynczo mogłaby się z nimi rozprawić, lecz gdyby współdziałali, nie miałyby żadnych szans. Odbicie matki Ryana i wywiezienie jej wraz z synem z Umarłego Miasta nie było częścią opracowanego przez nią oryginalnego planu, a teraz musiała za to zapłacić. W porządku, zdecydowała się pomóc malcowi i dokonała tego. Sprawa zamknięta. Nie ma się czym przejmować. Nie można cofnąć czasu i odmienić tego, co się stało. Poza tym plan, który opracowała, wydawał się łatwy do zrealizowania, a ona nie ufała temu, co sprawiało wrażenie prostego.

Opuściła poddasze i przez wychodzące na ulicę okno na opuszczonym drugim piętrze wyslizgnęła się na zewnątrz. Zwinnie niczym czarna jaszczurka spełzła po ścianie na dół. Trzymając się wśród najgęstszych cieni, dotarła do Ulicy Bez Nazwy. Z łatwością mogłaby wywabić któregoś z Pointersów w ciemną uliczkę. Pomimo ich buńczucznej pozycji zgrzywający twardzieli młodociani bandyci w obliczu przedstawiciela Spokrewnionych tracili rezon i miękli niczym wosk. Jak większość ludzi nakłonionych do służenia ciemnym mocom oni również pragnęli posiąść ów niezwykły ogień, obawiali się jednak, że próbując go zdobyć, mogliby sami spłonąć.

Dostrzegła trzech Pointersów stojących nieco dalej na ulicy i przyspieszyła kroku.

Jeden z młodzieńców zauważył ją i wskazał pozostałym. Ten, który był do niej odwrócony plecami, wyrzucił niedopałek papierosa i zaczął się odwracać, sięgając po coś, co miał zatknięte za paskiem na brzuchu.

Nieznajoma odskoczyła w bok, miękko wylądowała i przetoczyła się po chodniku, podczas gdy Pointer odwrócił się i wypalił z pistoletu, trzymając broń z dala od siebie, by nie poparzyły go wylatujące z niej łuski. Nawet gdyby zawczasu nie zdołała odczytać jego

zamiarów, wątpiła, by opryszkowi udało się ją trafić, najprawdopodobniej nie wcelowałby nawet w stojącą tuż przed nim stodołę.

Przeturlała się po chodniku i podniosła na klęczki, sprężając się do skoku jak dzika kotka. Pointer, który do niej strzelał, spojrzał na swój pusty już pistolet, przełknął ślinę i cofnął się o krok. Z gniewnym warknięciem nieznajoma rzuciła się na chłopaka, przewracając go na ziemię tak raptownie, że złamała mu kręgosłup. Pozostali gangsterzy stali jak wrośnięci w ziemię, zbyt oszołomieni, by mogli uczynić coś więcej, niż tylko patrzeć na dramat swego kompana. Po dłuższej chwili ten, który znajdował się najbliżej nieznajomej, sięgnął po pistolet zatknięty za paskiem, okazał się jednak zbyt powolny. Wampirzyca wyprysnęła w górę jak diablik z pudełka, uderzając go „z byka” w splot słoneczny i odrzucając o kilkanaście stóp do tyłu. Stojący za nią Pointer nacisnął spust, lecz zamiast nieznajomej trafił swego kolegę.

- Cholera! Przecież zabroniłam wam do niej strzelać! - krzyknęła Decima, wyłaniając się z sąsiedniej uliczki. - Ma zostać przesłuchana! Musimy wziąć ją żywcem!

Choć nie czuła się na siłach, aby wejść w Akcelerację, nieznajoma okazała się dostatecznie szybka, by wykonać w locie kopnięcie boczne, którym wytrąciła pistolet z dłoni gangstera, a następnie proste kopnięcie przednie, na tyle mocne, że obity stałą czubek jej martensa niemal całkiem zagłębił się w brzuchu chłopaka i uszkodził mu śledzionę. Gdy odwróciła się do Decimy, coś z impetem pchnęło ją na ścianę. Spróbowała się poruszyć, ale w tej samej chwili przeszył ją tak silny ból, że omal nie straciła przytomności.

Spuściła wzrok i ujrzała wystający z jej prawego boku fragment bełtu z kuszy, który przyszpilił ją do ściany jak motyla.

- Esher chce cię widzieć - rzekła Decima, beznamiętnie napinając cięciwę broni i zakładając nowy bełt z przytroczonego na plecach kołczanu.

- Nic z tego. Nie mam ochoty się z nim spotkać - wysyczała nieznajoma przez zaciśnięte zęby. Szarpnęła za koniec beltu, lecz drewniany trzpień był śliski od krwi i innej, trudnej do zidentyfikowania posoki, i nie zdołała go dostatecznie mocno uchwycić. Za każdym pociągnięciem czuła tak silny ból, że przed oczami wirowały jej ciemne plamy.

- Ależ spotkasz się z nim, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz w twoim życiu - odparła Decima i wycelowała z kuszy w głowę nieznajomej.

Czuła dojmujący ból w barkach. I w boku. Ból oznaczał, że jeszcze nie całkiem umarła. Otworzyła najpierw jedno, potem drugie oko. Najwyraźniej była zawieszona za nadgarstki, a czubkami butów ledwie dosięgała podłogi. Nie miała na sobie kurtki ani okularów. Nie wiedziała, gdzie się znajduje ani jak tu trafiła. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, to wyrwanie z jej boku beltu przez Decimę. To było bolesne. Nawet bardzo. Na tyle, że osunęła się na kolana. Wtedy Decima kopnęła ją w głowę, trzy, a może nawet więcej razy. Potem wszystko ściemniało.

- Chyba nasza mała zdrajczynie dochodzi do siebie, Znajdowała się w pomieszczeniu o grubych, kamiennych ścianach, bez okien. Esher stał oparty o metalowe drzwi i przyglądał się jej z odrazą jak ktoś, kto właśnie spostrzegł w talerzu z owsianką wielkiego karalucha.

- Miły loszek, nie ma co - mruknęła, odpluwając krew na klepisko. - Powinieneś go tylko trochę ozdobić. Parę szkieletów tu i tam znacznie poprawiłoby wystrój wnętrza. Esher uśmiechnął się niewyraźnie i skinął na kogoś, kogo nie widziała, a zaraz potem u podstawy jej kręgosłupa eksplodowała fala tępego, białego bólu. Decima obeszła ją i zbliżyła się do swego pana, wywijając trzymaną w dłoni ołowianą rurką.

- Poznajesz tę rurkę? - zapytał Esher zdumiewająco łagodnym tonem. Równie dobrze mógłby rozmawiać o pogodzie lub o ulubionym serialu telewizyjnym. - Została odcięta z

prowizorycznej laski, którą posługiwał się Obeah. Pomyślałem, że zdołasz docenić ironię tej sytuacji.

- Taa, prawdziwy z ciebie Oskar Wilde.

Decima podeszła, by wymierzyć jej kolejny cios, lecz Esher powstrzymał ją nieznacznym ruchem głowy. Odszedł od drzwi i stanął tuż przed nieznajomą, wpatrując się w jej poobijaną twarz i nie osłonięte oczy.

- Rozczarowałaś mnie, moja droga. Sądziłem, że masz dość oleju w głowie, aby nie opowiadać się po stronie przegranych w rodzaju Sinjona. Ale cóż, więzy klanowe są silne. Twój ojciec był z Ventrue, zgadza się? Powinienem był podejrzewać cię od samego początku. Przyznaję, że moją enklawę tworzą w znacznej mierze wyrzutki, włóczędzy i samotnicy. To niezwykle, że ktoś taki jak ty zechciał się do nas przyłączyć.

- Mówiłam ci, że nie można jej ufać, nawet pomimo twojej krwi w jej żyłach - warknęła Decima. - Od samego początku czułam, że będą z nią kłopoty.

- Czynię to niechętnie, jednakże w tym przypadku muszę przyznać się do błędu - rzekł z powagą Esher. - To prawda, że Decima wykazała się w związku z naszą zdrajczynią lepszą intuicją. Być może dałem się zwieść tej ślicznej twarzyczce, a może po prostu rozpaczliwie potrzebowałem popleczników twojego kalibru. To teraz bez znaczenia, zdradziłaś moje zaufanie i musisz za to zapłacić. Najpierw jednak chcę usłyszeć od ciebie kilka odpowiedzi. Czy będziesz współpracować?

Bliskość Eshera sprawiła, że poczuła, jak krew burzy się w jej żyłach. I doświadczyła czegoś jeszcze, osobliwego uniesienia, jak narkotyczny odlot lub dotknięcie kochanka. Przez krótką chwilę odczuwała gwałtowną panikę, ogarnął ją lęk, że mógłby odejść, a ona pozostałaby tutaj smutna, samotna i rozdzierana tęsknotą. Jej upór zaczął słabnąć. Tak łatwo byłoby powiedzieć mu prawdę. Dać mu to, czego chciał. Gdyby dała mu to, nie odeszłaby jej,

nie porzucił.

Coś mrocznego poruszyło się w zakamarkach jej czaszki, jak wielki wąż budzący się z uśpienia. Na przestrzeni lat nauczyła się rozpoznawać to uczucie, ale nigdy nie witała go z radością. Aż do teraz.

- CO JEST? CZY ZAWSZE MUSZĘ RATOWAĆ TWÓJ TYŁEK Z OPRESJI? -

burknęła Inna. Jej cichy głos był głęboki i gardłowy jak warkot dzikiego zwierzęcia. -

TERAZ JUŻ WIESZ, DLACZEGO CI KRETYNI SKACZĄ PRZED NIM JAK PCHŁY PO ROZGRZANEJ SKALE. ON NIE TYLKO NAWIĄZAŁ Z NIMI WIĘZ, LECZ UZALEŻNIŁ ICH OD SIEBIE JAK DILER BANDE ĆPUNÓW! BOISZ SIĘ, ŻE WSZYSTKO MU WYŚPIEWASZ? CZY TO DLATEGO MNIE WYPUŚCIŁAŚ? TYLKO PO TO SPUSZCZASZ MNIE Z ŁAŃCUCHA? ALEŻ Z CIEBIE ŻAŁOSNA CIPA, KOBIETO.

- Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

- Gdzie jest Nikola?

- W Czarnej Łoży.

- A kokaina?

- Też ją ma.

- Co zamierza zrobić z Nikolą?

- Chce, aby z nim została. Na zawsze. Powiedział, że prędej z Czarnej Łoży nie zostanie kamień na kamieniu, aniżeli ty staniesz się księciem Umarłego Miasta.

- Sinjon tak powiedział? - Esher zmrużył oczy. - Cóż, jego życzenie już wkrótce się spełni! - Odwracając się, by odejść, skinął na Decimę. - Zrób z nią, co zechcesz. Tylko gdy już skończysz, upewnij się, że jest martwa.

Decima uśmiechnęła się złowrogo.

- Jak rozkażesz, panie.

Marvin Kopeck siedział skulony przy niedużym piecyku, który ogrzewał jego nędzną klitkę, na ramiona zarzucił wyświechtany koc. Na ulicy tuż pod jego oknem ktoś krzyczał, lecz mężczyzna nie wyjrzał na zewnątrz. Dawno temu nauczył się ignorować wszystko, co działo się po zmroku. Przed dwudziestu siedmiu laty Kopeck odsłużył turę w Wietnamie, ale nic, co przeżył wtedy w dżungli, nie mogło równać się z tym, co krążyło ulicami Umarłego Miasta po zmierzchu. Mimo to wojna namieszała mu w głowie - przeniósł się z przyjaznych i tak dobrze mu znanych przedmieść do wewnętrznego miasta, a któregoś dnia trafił aż tutaj. Zupełnie jakby w tym miejscu skorupa ziemską pękła i na zewnątrz wypłynęła odrobina Piekła. Czymże były koszmary o płonących chatach i krzyczącym, zżerającym przez napalm dzieciach w porównaniu z tym, co działo się w Umarłym Mieście?

Ilyana zmarszczyła brwi, gdy na zewnątrz zaczęły się krzyki. Pamiętała czasy, gdy jeszcze nie mieszkała w Umarłym Mieście, ale nie mogła sobie przypomnieć nocy, żeby z ulicy nie dochodziły przeraźliwe wrzaski. Przeżyła faszystów i pogromy tylko po to, żeby znaleźć się w miejscu rodem z ludowych podań jej babki. Jakby nie dość, że roiło się tu od paskudnych wampirów, ci chłopcy, którzy im służyli, byli jeszcze gorsi! Okrutne bandziory, diabły w ludzkich skórkach, niewolnicy Złego, jak Cyganie w starym kraju. Tylko gorsi. Cyganie nigdy nie wystawali pod jej domem, domagając się, aby oddała im lwią część emerytury.

- Odejdź od okna - wyszeptał Tommy, głos miał bardzo zmęczony jak na trzydziestotrzylatka. - Nie chcesz widzieć, co się tam dzieje.

- Nic na to nie poradzę - rzekła Janice, krzyżując ramiona na piersiach i obserwując, jak na ulicy trzech Pointersów kopniakami zakatowuje na śmierć jakiegoś mężczyznę. - Kiedy słyszę, jak ktoś tak krzyczy, muszę wyjrzeć i zobaczyć, co się dzieje. Sprawdzić, czy to może

ktoś, kogo znam. To taki ludzki odruch.

- Podobnie jak instynkt przetrwania - mruknął Tommy, nie unosząc wzroku znad łyżeczki, którą podgrzewał. - Chodź, usiądź. Chyba nie chcesz, żeby zwrócili na ciebie uwagę.

Wetknął igłę w nasączoną watkę, jednym szybkim ruchem nabierając brązowego płynu do strzykawki. - Poza tym mam tu dla ciebie śliczny odlotowy strzał.

Janice pokręciła głową, odgarniając z twarzy długie strąki przetłuszczonych włosów.

- No, nie wiem. Może tylko mi się wydaje, może mi odbija, ale dziś wieczorem jest jakoś inaczej. Chyba coś się dzieje.

Coś dziwnego. Skóra mnie swędzi i jeżą mi się włoski na karku jak przed wielką burzą. Nie czujesz tego?

Tommy zaśmiał się oschle, owijając przedramię kawałkiem gumowej rurki.

- Mała, ja już dawno temu przestałem odczuwać cokolwiek.

Ojciec Eamon ukląkł przed ołtarzem, w jednej dłoni ścisnął różaniec, w drugiej butelkę taniej whisky. W słabym, migotliwym świetle wotywnych świec oblicza gipsowych świętych przypominały twarze trędowatych. Odkąd zaszło słońce, zaczął słyszeć głosy - niekiedy brzmiały one jak płacz dziecka na schodach przed kościołem, innym razem jak demoniczny, gardłowy rechot, nie wiedział jednak, czy rozlegały się one naprawdę, czy były może wytworem delirium tremens. Zamknął oczy, lecz zamiast słów modlitwy z jego ust dobyło się:

- „Nakłuwając sobie kciuki...”.

Istnieje kilka różnych sposobów na zabicie nieumarłego. Jednym jest ogień. Innym wystawienie na światło dzienne. Dekapitacja bywa równie skuteczna jak w przypadku zwykłego śmiertelnika. Wszystkie te metody są względnie szybkie. Ale Decima tego nie



chciała. Pragnęła, aby jej więzień umierał powoli i w męczarniach. Jedna z powszechnie znanych, acz z gruntu fałszywych opinii głosi, jakoby wampiry, teoretycznie martwe, miały z tego powodu nie odczuwać bólu. Nie jest to bynajmniej zgodne z prawdą. Mimo iż w porównaniu z ludźmi nieumarli mają znacznie podwyższony próg wytrzymałości, odczuwają ból jak każda inna istota. Decima zaś postanowiła sprawić, by jej więzień poznał każdą z istniejących odmian bólu i cierpienia.

- Wydawało ci się, że jesteś cwana, co? - mruknęła z przekąsem, uderzając rurką w obojczyk nieznajomej i rozłupując go jak kruchą gałązkę. - Myślałaś, że zdołasz oszukać naszego pana? Od początku wiedziałam, że nie można ci ufać!

Prymitywna pałka trafiła nieznajomą w lewy bok, roztrzaskując żebra i zasypując płuco gradem ostrych odłamków.

- Widziałam, jak na ciebie patrzył! Mężczyźni to głupcy!

Nawet nieumarli! Zapragnął cię od pierwszego wejrzenia. Dostrzegłam to w jego oczach!

Rurka trafiła nieznajomą w śledzionę, która pękła jak dziecięcy balonik.

- Muszę przyznać, że na swój sposób cieszę się, iż tak narozrabiałaś. Przynajmniej zabrałaś stąd tę dziwkę o cielecym wzroku, poza którą Esher ostatnio świata nie widział! Jak on mógł tak się w niej zadurzyć, a mnie odsunąć na boczny tor? Po tylu latach?

Pałka opadła najpierw na lewą, a potem prawą rzepkę kolanową nieznajomej.

- On jest mój! Należę do niego! Nie powinnam dopuścić, by się w niej zakochał!

Powinien kochać nie ją, lecz mnie!

Decima zamaszystym uderzeniem na odlew trafiła nieznajomą w twarz, roztrzaskując jej kości policzkowe i wybijając z zawiasów żuchwę. Nie martwiła się, że może ją zabić, bądź co bądź nieznajoma nie mogła umrzeć od takich ran. Ciało wampira jest w stanie regenerować

się w nieskończoność, dopóki jest regularnie karmione.

Cofnęła się, aby obejrzeć swoje dzieło. Nieznajoma wisząca na łańcuchu przypominała raczej wieprzową tuszę niż ludzką istotę. Krew ciekła jej z nosa i ust, prawe oko spuchło tak, że było całkiem zamknięte.

Decima zauważyła leżącą na podłodze skórzaną kurtkę nieznajomej i schyliła się, by ją podnieść. Pomyślała, że wymieni na nią swoją starą kurtkę, a ponieważ ona i nieznajoma były jednakowego wzrostu i miały podobną figurę, mogła nosić tę skórę nie tylko w charakterze trofeum. Poklepała się po kieszeniach i w wewnętrznej kieszonce na piersi wyczuła jakiś kształt. Sięgnęła do środka i wyjęła misternie zdobiony nóż sprężynowy. Rękojeść ozdabiał wizerunek złotego smoka, symbol szczęścia i przychylności losu, z małym rubinowym oczkiem. Zaciekawiona nacisnęła przycisk i z rękojeści wyprysnęło sześciocalowe srebrne ostrze, migoczące jak lodowy ogień, omal nie przebijając jej dłoni. Decima upuściła nóż jak małego grzechotnika. Choć nie była wyszkolonym magiem Tremerów, przebywała dostatecznie długo w towarzystwie Eshera.

- Czary! - Odwróciła się, aby z przerażeniem i zgrozą spojrzeć na nieznajomą zwieszającą się bezwładnie w okowach i przyglądającą się jej jedynym przekrwionym okiem.  
- Co z ciebie za Spokrewniona, że nosisz przy sobie taką broń?

Nieznajoma uśmiechnęła się. Szeroko. Od ucha do ucha. Z jej pogruchotanej piersi dobył się dźwięk przypominający coś pomiędzy lwim rykiem a zgrzytem starych, nie naoliwionych trybów wielkiej maszyny. Decima dopiero po kilku chwilach zorientowała się, że był to śmiech. Nieznajoma odchyliła głowę do tyłu i śmiała się na całe gardło, a dźwięk płynący z jej ust przypominał zawodzenie diabłów z najgłębszych czeluści piekieł.

Wokół niej pojawiła się czerwono - czarna poświata niczym nimb mrocznego świętego. Decima osłoniła dłońią oczy, gdy struga czarnego światła buchnęła z wierzchołka

czaszki nieznamomej, przebijając sufit. Powietrze przepełniła woń ozonu, nie wiadomo skąd powiał silny wiatr.

Inna była wolna. A jej nadejście oznaczało, że na ziemi rozpęta się prawdziwe Piekło.

Marvin Kopeck siedział zgięty niemal we dwoje, zatykał dłońmi uszy, chcąc zagłuszyć krzyki. Po jego nieruchomym obliczu płynęły strużki łez. Oczyma duszy widział, jak jego najlepszy przyjaciel wchodzi na minę i zostaje rozdarty na krwawe strzępy, jak wyjąca histerycznie wieśniaczka tuli do piersi spalone dziecko, jak oficer Viet Minh wpycha lufę karabinu w pochwę przerażonej dziewczyny i naciska spust. Wrzaski w jego wnętrzu zlały się w jedno z krzykami na zewnątrz i Marvin Kopeck uznał w końcu, że ma już dość. Po dwudziestu pięciu latach przestał się bać. Zwalczył w sobie strach. Jego miejsce zajął gniew. Wstał, zrzucając koc na podłogę i podszedł do wąskiej pryczy, na której sypiał. Wyjął spod niej drewnianą skrzynię i uniósł wieko. Wszystko było na swoim miejscu, tak jak w 1970, kiedy powkładał tu swoje rzeczy.

Janice spojrzała na pełną strzykawkę, a potem na Tommy'ego. Siedział przygarbiony w swoim fotelu, kołysząc się w narkotycznym transie, a na jego brudnej koszulce zaczynały krzepnąć wymiociny. Sięgnęła po strzykawkę i zmarszczyła brwi na widok igły pokrytej warstewką zeschniętej, brązowej krwi. Zmrużyła powieki i szykowała się do wbicia igły w żyłę, lecz nagle coś zmusiło ją do przerwania tej czynności i otwarcia oczu.

- Pieprzę to! - warknęła, ciskając strzykawką o ścianę.

Rozległ się grzmot. Ilyana właściwie wbrew sobie podeszła, by wyjrzeć przez okno.

Młodzi oprawcy na ulicy przestali kopać swą bezbronną ofiarę i znieruchomieli z uniesionymi głowami, jak wilki wyczuwające zbliżającą się burzę. Podmuchy wiatru porywały z ulic i rynsztoków porzucone gazety i strzępy papieru, unosząc je w dal. Niebo nad Umarłym Miastem zmętniało jak woda w akwarium, do którego ktoś wlał odrobinę atramentu. Pojawiły

się gęste, kłębiaste chmury o barwie dojrzałych sińców, z ich wnętrza raz po raz wystrzeliwały błyski fioleto-białego światła. Epicentrum tej przybierającej wciąż na sile gwałtownej burzy zdawała się warownia Eshera.

Czuwający na dzwonnicy kościoła Św. Everhilda ojciec Eamon, obserwujący rozwój tych osobliwych wypadków, przyłożył różaniec do splekanych warg i pociągnął z butelki. W tej samej chwili z domeny zła Eshera wystrzeliła fioleto-czarna błyskawica, przebijając pokrywę zwieszających się nisko, przypominających dojrzały bąbel chmur. Z ich środka, jak nitki pajęczyny, zaczęły rozchodzić się pasma mrocznych elektrycznych wyładowań, ogarniając zygzakowatymi smugami całą okolicę.

W Umarłym Mieście nastał Sądny Dzień.

Jeśli jakiegokolwiek miejsce można by uznać za dojrzałe do zamieszek, to właśnie Umarłe Miasto. Choć tego typu oazy rozpacz i bezradności stanowiły magnes dla nieumarłych, jedynie starsi, silniejsi Spokrewnieni potrafili manipulować i sycić się negatywnymi energiami generowanymi w tej nie poświęconej ziemi. Inna była dostatecznie starą istotą, aby osiągnąć w tej sztuce mistrzostwo.

Gniew i szaleństwo oddziela cienka granica, każdy człowiek od czasu do czasu doświadcza obu tych emocji, niekiedy silniej, innym razem słabiej. Tkwiąc w uścisku rozpalonej do białości dłoni gniewu, człowiek zwykle rozsądny i zrównoważony jest w stanie dokonać czynów, których nie podjąłby się, zachowując trzeźwy i spokojny umysł. Większość osób nie poddaje się zrodzonemu z pasji szaleństwu w obawie przed reperkusjami, które mogą wynikać z tego typu działań. Strach bardziej aniżeli prawość i cnoty utrzymuje ludzkość w ryzach. Obawa przed potępieniem, lęk przed karą, strach przed nieznanym, niepokój, że sprawy mogą przybrać inny, niekoniecznie pomyślny obrót. Jeśli jednak oburzenie i gniew, wrzące pod powłoką uciskanego społeczeństwa rozpalą się dostatecznie

mocno, lęk, który nakazuje im leżeć beczynn timer, podczas gdy wrogowie depcą butami ich zbiorowe oblicze, prysnie jak mydlana bańka, uwalniając instynkt samozachowawczy. Strach zostanie zastąpiony gniewem. A im bardziej zdesperowana społeczność, tym ma mniej do stracenia. Im ma mniej do stracenia, tym bardziej jest podatna na wpływ szaleństwa czającego się na dnie nawet najbardziej słusznego gniewu. Trzeba tu dodać, że mieszkańcy Umarłego Miasta już od dawna byli na wpół obłąkani ze strachu.

Jesse przestał zasypywać staruszkę kopniakami i odchyliwszy głowę zmarszczył brwi na widok wypełniających niebo czarnych, burzowych chmur. Wraz z Tuff Enuffem i B - Jo znaleźli starego pijaczynę kryjącego się za śmietnikiem. Bezdomny wypełził ze swojej nory, gdzie wegetował, w poszukiwaniu kolejnej flaszki, a teraz przyszło mu słono za to zapłacić. Jesse z przyjemnością wziął pijaka na fleki, gdyż przypominał mu tego starego skurwiela, jego ojca. Sądząc po gorliwości, z jaką pozostali wzięli się za tego śmiecia, każdy musiał widzieć w nim kogoś konkretnego.

Tuff Enuff przerwał na chwilę, by otrzeć spocone czoło i dostrzegł marsową minę Jessego.

- Co jest, stary?

- Nie wiem. Coś jest nie tak. - Ciarki przeszły mu po plecach, gdy w niebo wystrzeliła dziwna błyskawica rozdzielająca się na dziesiątki pomniejszych wyładowań. - Kurwa mać!

Co to było?

Odpowiedzią był jęk. Z początku Jesse sądził, że dźwięk ten płynął z ust włóczęgi leżącego w rynsztoku. Nagle uświadomił sobie, że jęk był zbyt głośny, by mógł pochodzić od jednego tylko człowieka. Zupełnie jakby setka głosów połączyła się w jedno przeciągłe zawodzenie, przypominające okrzyk rozpaczycy kibiców po przegranym meczu, ale znacznie donośniejszy. Zupełnie jakby odgłos ten wydawały stojące dokoła budynki. Jesse i pozostali

wymienili niepewne spojrzenia. Nocami w Umarłym Mieście działały się dziwne i złowrogie rzeczy, ale coś takiego miało tu miejsce po raz pierwszy.

Rozległ się donośny łoskot otwieranych równocześnie dziesiątków drzwi i mieszkańcy Umarłego Miasta wylegli na ulice jak mrówki z płonącego drzewa. Chociaż Jesse, Tuff Enuff i B - Jo rozpoznali napastników, nie potrafili ich zidentyfikować. Byli to bezimienni ludzie, twarze kryjące się w bramach lub w oknach i znikające, gdy na ulicach pojawiali się członkowie jednego lub drugiego gangu. Byli to ci sami ludzie, którzy o zmierzchu barykadowali się w swoich domach. Starcy, szaleńcy, narkomani, alkoholicy, zaprzańcy i wysiedleńcy, dzieci wygnania, którzy zrzędzeniem losu lub decyzją Wyższej Instancji z braku innych alternatyw trafili właśnie tu, do Umarłego Miasta. Jesse z niepokojem stwierdził, że choć większość z nich miała w rękach pałki i kije, niektórzy byli uzbrojeni w pistolety i karabiny automatyczne. Wyjął zza paska swój półautomat, zastanawiając się, czy powinien zostać i podjąć walkę, czy wziąć nogi za pas. Tuff Enuff wydawał się mieć podobny dylemat.

- Co robimy, Jesse? - wyszeptał B - Jo, starając się zachować niewzruszony ton głosu, z którego przebijała jednak nuta hysterii.

- Pieprzyć to! Rozwalmy ich! - warknął Tuff Enuff, opróżniając magazynek w nadciągającą zwartą ścianę ludzkich ciał.

Ilyana nie potrafiła stwierdzić, czy strzelający do niej młodzi ludzie to faszyci, kozacy czy żołnierze Armii Czerwonej. Stawali się na przemian to jednymi, to drugimi, ich sylwetki falowały, jakby oglądała je przez płomień gorejącego domu. Wtem kula przeszła gardło kobiety, powalając ją na chodnik. Prawie nie czuła tratujących ją stóp innych ludzi, ale widziała swoją krew plamiącą podeszwy ich butów. Gdy wydała z siebie ostatnie drżące tchnienie, duchy członków pomordowanej rodziny Ilyany przesłoniły jej wzrok, zlatując do niej jak ćmy do płomyka świecy.

Jesse z niedowierzaniem patrzył na sunący ku niemu tłum. Opróżnił w tę tłuszczę cały magazynek, a ona wciąż parła naprzód, tratując okrwawione ciała, jakby w ogóle ich tam nie było. Zawodzący, zanoszący jęk przybierał na sile i gwałtowności. Przybliżał się.

- Kurwa, stary! To jak *Noc żywych trupów* - rzucił Jesse, wbijając w kolbę półautomatu nowy magazynek. - Te skurwiele nie chcą się zatrzymać!

- Pierdolę taką akcją! - rzekł Tuff Enuff, cofając się o krok przed nadciągającym tłumem. - Oni nas zabiją! Musimy wiać!

- Jeśli chcesz osobiście powiedzieć Królowi Piekieł, co się tu dzieje, to proszę bardzo!

- zawołał Jesse przez ramię, zwracając się do przyjaciela. - Ja jednak spróbuję szczęścia z tymi sukinsynami!

Marvin Kopeck postąpił naprzód, odziany w mundur, w którym dwadzieścia pięć lat temu odesłano go do domu. Fioletowe Serce i Spizowa Gwiazda pobrzękiwały i kołysały się na jego piersi jak ozdoby na choince. Pointer stojący na wprost niego zafalował, zmieniając się w partyzanta Wietkongu w czarnej pizamie, w roześmianego oficera Viet Minh wymachującego karabinem z okrwawioną lufą i w dowódcę plutonu trzymającego za kostkę małe dziecko i unoszącego je w górę jak prosiaka. Tak czy owak to nie miało większego znaczenia. Oni wszyscy byli Wrogiem. Otworzył ogień z M - 16.

Pięć kul przedziurawiło tors Jessego od prawego biodra po lewy bark, unosząc go w górę i rzucając na jego kompanów jak rozdarty worek z ziarnem.

- Ja to pierdolę! - zaskomlał Tuff Enuff i odwrócił się, by uciec. Seria z M - 16 trafiła go w plecy, rozcinając gładko na dwoje.

B - Jo przez krótką chwilę wpatrywał się w okrwawione szczątki kolegów, po czym cisnął pistolet na ziemię i splótł dłonie na potylicy.

- Nie strzelaj! Człowieku, nie strzelaj! Poddaję się! - zawył przeciągle, wkładając w te

słowa ciężar każdego dnia z piętnastu lat swego krótkiego życia.

Morze gniewnych twarzy runęło ku niemu, wyciągnięte dłonie dosięgły jego ciała. B -  
Jo zaczął krzyczeć. Wołanie o pomoc już wkrótce ucichło, stłumiła je żądna krwi tłuszczka,  
rozszarpując, rozrywając, kopiając i kłując chłopaka, jak wataha wilków zameczająca na  
śmierć jelenia. Kiedy wrzaski w końcu umilkły zupełnie, tłum ruszył w dalszą drogę,  
pozostawiając okrwawione truchło rozwłócone po całej ulicy.

Zanim pomaszerowała dalej, Janice pochyliła się, by wyjąć pistolet ze stygnącej już  
dłoni Jessego. Obróciła dziewiątkę w dłoni, zastanawiając się, czy w magazynku są jeszcze  
naboje.

- Janice!

Tommy stał w drzwiach frontowych kamienicy, w której mieszkali, kołysząc się na  
miękkich nogach i kurczowo trzymając framugi. Wydawał się zdezorientowany i miał mętny  
wzrok, jakby zbudzono go nagle z długiego snu.

- Janice, co ty tam robisz? Wróć do środka, tam nie jest bezpiecznie! - Tommy mrużył  
powieki, spoglądając na lugera w jej dłoniach. - Co ty tam masz? Spluwę? - Jego oblicze  
wykrzywił podstępny, lisi uśmiezek. Tommy oblizał wargi. - Znam faceta, który da nam za  
nią parę działek „śniegu”...

Janice wycelowała w Tommy'ego i pociągnęła za spust. Tommy zachwiał się, po czym  
runął do przodu, sturlał się po kamiennych schodach i legł jak ciśnieńta niedbale szmata na  
chodniku przed budynkiem. Tak, skonstatowała Janice, w magazynku pozostało jeszcze parę  
kul.

Decima osłoniła oczy przed poświatą spowijającą ciało nieznajomej niczym ognie św.

Elma. Wiejący nie wiadomo skąd wiatr hulał w całym pomieszczeniu z istic huraganową siłą.

Przybocznej Eshera ciężko było utrzymać się na nogach. Choć wichur szalejący w pokoju



przesłuchań ryczał jak dzikie zwierzę, wciąż słyszała rozlegający się w tle dziwny śmiech. Głowa i dłonie nieznajomej pulsowały osobliwymi wyładowaniami, które zdawały się przybierać na sile z każdą upływającą sekundą. Na oczach Decimy sińce i zadrapania pokrywające twarz jej ofiary znikły bez śladu. Z przeraźliwym okrzykiem szaleńczej radości nieznajoma uwolniła się z pęt, wyrywając sobie ramię ze stawu. Kimkolwiek była, z pewnością znacznie musiała się różnić od pospolitych Spokrewnionych. Żaden żółtodziób nie posiadał władzy nad żywiołami ani nie potrafił regenerować się bez odpoczynku i świeżej dawki krwi.

Inna odwróciła się i uśmiechnęła do Decimy, a wówczas po raz pierwszy od wielu dekad wampirzyca poczuła prawdziwy strach. Nie był to lęk przed karą spowodowaną niezadowoleniem jej pana, lecz zgroza wywołana zapowiedzią własnej Ostatecznej Śmierci, dostrzeżoną w oczach niedoszej ofiary. Uśmiech Innej poszerzył się, gdy wolnym krokiem szła w jej kierunku, włosy falowały wokół jej głowy, kołysane wiatrem jak rozjuszony czarny węże.

Decima skoczyła naprzód, wymachując trzymaną oburącz rurką, lecz Inna okazała się dla niej zbyt szybka. Jednym ciosem wytrąciła jej ołowiany oręż z dłoni. Decima zakłęta i odskoczyła w bok, podnosząc pozostawioną na podłodze kuszę. Broń była naładowana, cięciwa napięta. Błyskawicznie zwolniła spust, mierząc w nieznajomą. Bełt trafił wampirzycę w prawą pierś, przebijając płuco. Nieznajoma zawyła z bólu i runęła do tyłu, chwytając dłonią tkwiące w jej piersi drzewce.

Decima rzuciła się naprzód i usiadła na niej okrakiem, przyszpilając nieznajomą do podłogi. Ostrożnie, aby się przez przypadek nie zranić, wyjęła sprężynowiec znaleziony w kieszeni kurtki swojej ofiary i nacisnęła wystający sztyft. Srebrne ostrze wyskoczyło z rękojeści. Na ten widok nieznajoma aż wybałuszyła oczy.

- Nie! - krzyknęła, unosząc dłonie do twarzy, jakby chciała zasłonić oczy przed wiszącym nad nią lśniącem narzędziem zguby.

- Giń, dziwko, zdychaj w imię Eshera, księcia Umarłego Miasta! - wykrzyknęła

Decima pośród ryku wichury i wbiła srebrne ostrze w serce nieznajomej.

Ciałem ofiary targnął konwulsyjny skurcz, z jej ust dobył się zduszony jęk, a potem nastąpiła cisza. Wampirzyca zwiotczała i znieruchomiała. Wiatr ustał, jakby ktoś wyjął wtyczkę z niewidocznego gniazdka. Niesamowity blask spowijający leżące w bezruchu ciało przygasł, skwiercząc jak wrzucona do kałuży petarda.

Decima odchyliła się do tyłu, przez chwilę przyglądając się swemu dziełu; jej wargi wykrzywił drapieżny uśmiech.

- Widzisz, tak kończą ci, którzy ze mną zadzierają, suko - rzuciła drwiąco.

W tej samej chwili Inna otworzyła oczy, wyszczerzyła się od ucha do ucha i nonszalanckim gestem wyjęła tkwiący w jej piersi nóż.

- Sama nie powiedziałabym tego lepiej - zamruczała, po czym wbiła sprężynowiec w prawe ucho Decimy.

Wampirzyca wyprężyła się, jakby przeszył ją prąd, obie dłonie przycisnęła do głowy.

Wrzaski płynące z jej ust były tak piskliwe i wysokie, że w pewnej chwili przeszły w ultradźwięki, jak te wydawane przez nietoperze. Jej oczy zaczęły pęcznieć, jakby coś nadmuchiwało je od wewnątrz, aż w końcu zupełnie wypłynęły z orbit. Zadrzała niczym kamerton, gdy jej mózg i centralny układ nerwowy zmieniły się w płynną breję i zaczęły

wypływać z czaszki przez uszy i nozdrza. Decima próbowała podejść do drzwi, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa i runęła ciężko na podłogę, przewracając się na prawy bok, tak że ostrze sprężynowca jeszcze głębiej wbiło się w jej czaszkę, przebijając mózg na wylot.

Gdy czubek ostrza przebił skórę, wychodząc przez lewe ucho, znieruchomiała, a jej gałki

oczne przeszklły się, białe i mętne jak oczy ugotowanej ryby.

Inna spojrzała na zwłoki swej przeciwniczki i uśmiechnęła się triumfalnie. Po chwili wykasła zebrałą w płucu krew. Spazm minął, a nieznajoma, ponownie przejmując kontrolę nad swoim ciałem, kopnięciem przewróciła Decimę na wznak i z głośnym stęknieniem pochyliła się, by odzyskać sprężynowiec, wyrrywając go z przebitego na wylot czerepu wampirzycy. Wyprostowała się i odłamała wystające z piersi, kilkucalowej długości drzewce bełtu. Ból był tak silny, że przez moment widziała wszystko w czerni i bieli, a wszelkie dźwięki zdawały się dochodzić jak spod wody. Zachwiała się do tyłu, zwalczając pragnienie natychmiastowego zwinięcia się w kłębek w ciemnym kącie i rozpoczęcia regeneracji. Jeżeli miała przetrwać noc, musiała wydostać się z twierdzy Eshera, a to z pewnością pochłonie całą resztę jej i tak mocno już osłabionych sił.

Nie miała pojęcia, jakie szaleństwo musiała rozpętać Inna, by pozyskać energię potrzebną do jej uwolnienia i stoczenia walki z Decimą, ale coś jej mówiło, że było to istne Piekło na ziemi. Inna wchłonęła dość energii, by zaleczyć wszystkie złamania w jej ciele, ale do stanu pełnej regeneracji wciąż wiele brakowało. Mocno się zdziwiła, stwierdziwszy, że drzwi nie były zamknięte na klucz, a w korytarzu nie ma ani żywego ducha. Nikt jednak nie spodziewał się, że mogłaby opuścić to pomieszczenie w inny sposób niż w plastikowym worku na zwłoki. Odwróciła się, spoglądając przez ramię na Decimę, która leżała zgięta w pół, jak zwierzę z łapą pochwyconą w sidła.

Musiała przyznać, że ona i Decima były bardzo do siebie podobne. Miała wrażenie, jakby patrzyła w lustro, dostrzegając w nim to, czym mogła się stać, gdyby lord Morgan zechciał wziąć ją pod swoje skrzydła i przez odpowiednią indoktrynację uczynił z niej potwora. Na samą myśl o tym przeszły ją ciarki.

- CO TY WYPRAWIASZ? - warknęła Inna. - PRZESTAŃ KONTEMPLOWAĆ

SWÓJ PEPEK! TA SUKA NIE ŻYJE, ZABIERAJ SIĘ STAMTĄD, ALE JUŻ!

- Zamknij się! - mruknęła gniewnie, potrząsając głową w daremnej próbie uciszenia wewnętrznego głosu.

- NIE POZBĘDZIESZ SIĘ MNIE TAK ŁATWO! A TERAZ ZABIERAJ NAS STĄD! NIE PO TO WYCIĄGNEŁAM CIĘ Z TEJ KABAŁY, ŻEBYŚ TERAZ, SZWENDAJĄC SIĘ PO TYM DOMU, ZNÓW WPAKOWAŁA SIĘ W TARAPATY!

Choć nie chciała się do tego przyznać, Inna, przynajmniej w tej kwestii, miała rację.

Doznała poważnych obrażeń wewnętrznych, nawet jak na Spokrewnioną, i błyskawicznie traciła siły. Musiała znaleźć wyjście, zanim Esher wyśle w ślad za nią swoich potomków.

Wiedziała, że w obecnym stanie, tak osłabiona, nie dostanie drugiej szansy na ucieczkę.

Zamknęła za sobą drzwi do pokoju przesłuchań i ruszyła w głąb ciemnego korytarza.

O ile dobrze pamiętała, przejście to prowadziło do głównych piwnic, z barakami dla członków esherowskiej enklawy. Jeżeli dopisze jej szczęście, dotarłszy tam wydostanie się na zewnątrz jednym z podziemnych tuneli rozchodzących się promieniście od rozległych katakumb. Uda się jej, jeśli tylko zdoła wyprzedzić innych, choćby o krok. W obecnym stanie zadowoliliby się nawet pół krokiem przewagi.

Esher stał pod owalnym witrażowym oknem zwieszającym się nad jego tronem ze splecionymi na piersiach rękami, wpatrując się w morze bladych, czerwonoookich twarzy skierowanych ku niemu. Nadszedł czas. Wojna była tuż - tuż, a oto i jego żołnierze. Uniósł ręce w górę i w sali zapadła cisza. Kiedy się w końcu odezwał, jego słowa zabrzmiały jak dźwięk dzwonu zwiastującego śmierć.

- Przyjaciele! Dzisiejszej nocy rozpoczniemy nasze dzieło! Dzisiejszej nocy wyruszamy na wojnę przeciwko naszemu wrogowi! Ta noc będzie ostatnia dla Sinjona i jego potomków! Rękawica została rzucona! Nie ma innego wyjścia, musimy przedsięwziąć

dżihad!

- DŻIHAD! - rozległo się w odpowiedzi, pół setki głosów zagrzmiało gromkim echem. - DŻIHAD!

Esher uśmiechnął się, gdy Spokrewnieni unieśli zaciśnięte pięści w górę i zaczęli wymachiwać rękami. Większość, jeżeli nie wszyscy, spośród nich nie doczeka świtu. To nie miało jednak większego znaczenia. Bądź co bądź, oni wszyscy byli jedynie mięsem armatnim. I zawsze mógł liczyć na świeży zapas. Nawet uprowadzenie Nikoli nie mogło zmącić przepelniającej go radości i uniesienia, sukces był na wyciągnięcie ręki, z nadejściem świtu on, Esher, stanie się jedynym niekwestionowanym władcą Umarłego Miasta! Kiedy tak pławił się w atmosferze bliskiego i absolutnego sukcesu, drzwi do sali audiencyjnej otwały się na oścież i do środka wbiegł chwiejnym krokiem śmiertelnie przerażony Pointer.

Członkowie enklawy spojrzeli ze zdumieniem na śmiertelnika, ludziom nie wolno było bez uprzedniego zezwolenia stawać przed obliczem Eshera. Ubranie młodzieńca było w nieładzie, twarz miał zakrwawioną i posiniaczoną od licznych upadków na schodach i zderzeń z drzwiami. Esher pstryknął palcami i dwa wampiry pochwyciły śmiertelnika, wykręcając mu do tyłu ręce i podprowadzając do podwyższenia.

- Bezczelny robaku! Jak śmiesz zakłócać nasz spokój? Co to wszystko ma znaczyć? - rzucił surowym tonem.

- Panie! - zawołał chłopak. - Panie, coś się dzieje na zewnątrz! Na ulicach!

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Umarłe Miasto oszalało! Ludzie ciskają butelkami i kamieniami, podkładają ogień pod domy! Niektórzy mają noże i broń palną!

Oblicze Eshera sposepniało jeszcze bardziej.

- Potomkowie Sinjona atakują?

Pointer pokręcił przecząco głową.

- To nie służy Sinjona! Widziałem, jak kilka starych bab gołymi rękami rozdarło na strzępy jednego z Black Spoons. To istny koszmar! Koniec świata!

- Co ty wiesz o Apokalipsie, durniu! - parsknął Esher.

- Nie kłamie, panie, sam sprawdź, a przekonasz się, że to wszystko prawda!

Esher przekrzywił głowę, jak ptak nasłuchujący szmeru dżdżownicy pełnącej tuż pod ziemią. Wychwycił odległe krzyki, brzęk tłuczonego szkła i huk wystrzałów, z początku były one słabe, ale z każdą chwilą przybierały na sile, przybliżając się do jego warowni.

- Zamieszki - akurat teraz? To z pewnością sprawka Sinjona!

- Nie sądzę, panie - wtrącił Pointer. - Ci ludzie atakują wszystkich bez wyjątku!

Niektórzy walczą nawet między sobą!

- Ty głupcze! To dżihad! Życie ludzi znaczy tyle co nic, niezależnie od ich przynależności!

- Ale co mamy teraz robić?

- Co mamy robić? A co robi armia podczas wojny? Walczy! Rozdziel sprzęt i amunicję specjalną! Uzbrój swoich ludzi po zęby i nakaż, by zabili wszystko i wszystkich, którzy staną im na drodze. Czy to jest jasne?

- T - tak, panie.

- No, to do dzieła! - uciał Esher. Skinął na wampiry podtrzymujące opryszka, aby wyprowadziły go z sali. - Dopilnujcie, by wyszedł z budynku. Nie chcę, aby zaszył się w jakiejś dziurze i zniknął.

Gdy dwa wampiry i śmiertelnik opuścili salę, Esher odwrócił się do zgromadzonych plecami i wlepił wzrok w okrągły witraż, kontemplując barwne szybki i z zamyśleniem

głaszcząc się po brodzie. Nagle, ni stąd, ni zowąd, poczuł ostry ból w piersi, jakby niewidzialna dłoń wbiła mu nóż prosto w serce. Przeszedł chwiejnie kilka kroków, po czym ciężko osunął się na tron, ręce i nogi miał ciężkie jak z drewna i niemal całkiem bezwładne. Tylko raz miał dotąd okazję doświadczyć równie dojmującej i bolesnej pustki, wiele lat temu, kiedy unicestwił Bakil. Spokrewnieni, będący ojcami liczego potomstwa, po pewnym czasie stają się uodpornieni na ich utratę, jak maciory, które wielokrotnie zaduszają swoje młode, tarzając się w zagrodach. Esher nie należał do wampirów tworzących wielu potomków. Miał tylko jedno dziecko i łączyła go z nim bardzo silna, rozbudowana więź emocjonalna.

- P - panie? - wyszeptał z niepokojem jeden z rekrutów.

- Czy coś się stało?

Usta Eshera wykrzywił tak przeraźliwy grymas, że zebrane na sali wampiry instynktownie skuliły się ze strachu.

- LADY DECIMA NIE ŻYJE! POMŚCIJCIE JA, MOI BRACIA! PRZYNIĘŚCIE MI GŁOWĘ NIEZNAJOMEJ! DOPADNIJCIE JA, ZNAJDŹCIE JA, ZANIM ZDAŻY UCIEC!

Pięćdziesiąt wampirów bez wahania opuściło salę audiencyjną, wydając przeciągły zawodzący krzyk, przypominającym ujadanie ogarów ruszających w pogoń za lisem.

Miała szczęście. Baraki świeciły pustkami. Zapleśniałe materace, gnijące kołdry i rozstawione gdzie popadnie kanapy przywodziły na myśl przytułek Armii Zbawienia. W tunelach śmierdziało jak w gnieździe węży. Musiała teraz tylko przemknąć przez główne pomieszczenie i przedostać się do któregoś z tuneli kończących się w odkrytych piwnicach dokoła warowni, aczkolwiek wciąż miała w głowie mętlik i nie wiedziała jeszcze, dokąd uda się po opuszczeniu Domu Eshera.

Znajdowała się w połowie katakumb, gdy z tyłu rozległo się wołanie.

- Tam jest! - Odwróciła się, by ujrzeć bladoliciego wampira z błyszczącymi jak u

wściekłego szczura ślepiami, stojącego u podnóża głównych schodów wiodących do sutereny i wskazującego w jej stronę. Za nim tłoczyło się kilka tuzinów postaci o białych jak ściana twarzach. - BRAĆ JĄ!

- Kurwa! - jęknęła, odwracając się na pięcie i ponawiając bieg w stronę najbliższego wyjścia. Próbowwała wejść w Akcelerację, ale przeszył ją potworny ból, jakby wypruwano jej wnętrzności. Mimo to przynajmniej była w stanie dostrzec atakujące ją wampiry, poruszające się widmowym krokiem. Jak choćby tego dupka, który śmignął obok niej, a teraz stanął u wylotu tunelu, dokąd zmierzała. Był wysoki i blady, o długich prostych włosach, przesłaniających jego pociągłe oblicze, miał na sobie obcisłe skórzane spodnie i czarny siatkowy podkoszulek. Uśmiechnął się do niej, ukazując ociekające spiczaste kły.

- Z drogi, truposzu! - warknęła, wbijając mu w gardło ostrze sprężynowca.

Wampir wydawał się zdziwiony - może nawet przerażony - zaciskając palce na szyi, lecz nieznajoma odepchnęła go na bok, nie poświęcając mu więcej uwagi. Gdy wbiegła do wąskiego, nie oświetlonego tunelu, umierający wampir zawył w agonii, jego przedśmiertny ryk rozbrzmiał gromkim echem wśród ścian jak zawodzenie wilkołaka. Reszta

Spokrewnionych wdarła się do tunelu, wampiry kłapały zębami i atakowały jeden drugiego pazurami, prześcigając się między sobą w gorliwej pogoni za ofiarą.

Musiała uciec. Musiała się stąd wydostać. Miała wrażenie, jakby żołądek wypełniono jej tłuczonym szkłem, a przy każdym kroku najeżony zadzioremami grot wbijał się coraz głębiej w jej plecy. Prawie nie czuła ramion, były jak połcie mięsa zwieszające się z obolałych barków, a nogi z każdym krokiem ogarniało coraz silniejsze odrętwienie. Prawe płuco miała wypełnione krwią, a lewe poprzebijane odłamkami kości. Dopisało jej szczęście, bowiem większość rekrutów Eshera stanowiły żółtodzioby, nie potrafiące korzystać właściwie z dobrodziejstwa widmowego kroku, jednak i ono musiało się kiedyś skończyć.



Zdała sobie sprawę, że wydostała się z tunelu, ponieważ ujrzała nad sobą coś, co wyglądało jak niebo. Odkrytą piwnicę zaścielały sterty śmieci, schody zaś zawaliły się już dawno temu. Nieznajoma rzuciła się na ścianę, wspinając się po niej z frenetyczną determinacją zapędzonego w kąt szczura. Jej prześladowcy wypłynęli z tunelu niczym chmara much z gnijącego trupa, wyjąc jak potępieńcy. Domagali się krwi. Gdy dotarła do obrzeża piwnicy, tuż nad nią zamajaczył jakiś cień. Nieznajoma zamarła, kiedy postać uniosła rękę. Trzymała w niej pistolet, lugera.

- Pieprzę was! - wrzasnęła Janice do wampirów w piwnicy. - Pieprzę was wszystkich!

- Broń, którą odebrała opryszkowi, była załadowana fosforowymi pociskami. Otworzyła ogień, śmiejąc się, gdy białolice potwory zaczęły wpadać jeden na drugiego, usiłując uniknąć zabójczych kul.

- Pomóż mi! - wychrypiała nieznajoma, chwytając dziewczynę za nogawkę spodni.

Była potwornie chuda, z brudnymi włosami pozlepianymi w strąki, nie myła ich od wielu tygodni; nosiła sprane dzinsy - - dzwony, krótki podkoszulek z wyblakłym wizerunkiem kota patrzącego na motyla i stare, poprute na szwach martensy. Jej ramiona od wewnętrznej strony pokrywały ślady po igłach, w tym wiele zaczerwienionych, zakażonych, ale wyglądała jak człowiek.

- Proszę, pomóż mi. Podaj mi rękę.

Janice spuściła wzrok na osobę mówiącą te słowa, po czym wymierzyła lugera w głowę nieznajomej.

- Ciebie też pieprzę, suko - wysyczała prawie z rozmarzeniem. Pociągnęła za spust, ale iglica trafiła na pustą komorę. Nieznajoma zamrugła zdumiona, że wciąż jeszcze ma głowę na karku, po czym schwyciła Janice za rękę, w której trzymała broń i szarpnęła silnie, pociągając narkomankę w głąb otwartej piwniczki. Wampiry ryknęły z zadowoleniem,

rzucając się na istotę ludzką, którą im ciśnięto.

Nieznajoma wygramoliła się z piwnicy i niezdarnie dźwignęła się na nogi. Smakowity kąsek rzucony prześladowcom powstrzyma ich na minutę lub dwie, na pewno nie dłużej. Gdy biegła przez terytorium ziemi niczyjej, pomiędzy piwnicami zburzonych budynków otaczających Warownię Eshera, miała wreszcie okazję ujrzeć rozmiary szaleństwa, które Inna rozpętała w Umarłym Mieście.

Kilka domów płonęło jak suche choinki. Choć słyszała krzyki i odgłosy palby, znikąd nie dobiegał jęk syren karetek ani wozów strażackich. Było to wszak Umarłe Miasto i jeśli nawet na jego ulicach rozpętało się Piekło, nikt nie zamierzał w związku z tym kiwnąć nawet palcem. Domy będą się palić, aż obrócą się w stertę gruzów, a ogień obejmie sąsiednie budowle i nikt nie pokwapi się, by powstrzymać pożogę. Ranni mieli do wyboru - skonać na ulicy lub zawlec się w jakieś bezpieczniejsze miejsce, by tam wylizywać rany.

Gdy oparła się o ścianę domu w jednej z uliczek, usiłując zaczerpnąć tchu i odrobinę odpocząć, dostrzegła paru Pointersów wędrujących w jej stronę. Wyglądali jak młode wilki, które jakimś cudem wymknęły się obławie, parli przed siebie tak szybko, jak tylko pozwalały im na to zmęczone nogi. A więc to wszystko było dziełem Innej. Obudziła drapieżców ukrytych w spokojnych dotąd ofiarach. Po raz pierwszy nie miała wyrzutów sumienia z powodu poczynań swej drugiej, demonicznej połowy.

Wzięła głęboki oddech, aby się opanować, skręciła za róg i potknąwszy się o leżące na chodniku ciało, upadła na zraniony bok. Ból był tak dojmujący, że nie mogła uczynić nic innego, jak tylko leżeć w bezruchu, czekając, aż minie. Gdy tak leżała, jej wzrok padł na zwłoki, o które się potknęła. Był to mężczyzna po czterdziestce o twarzy obłąkanego włóczęgi. Miał na sobie pełen mundur żołnierza piechoty morskiej wraz z baretkami i białymi rękawiczkami. Na mosiężnej plakietce na piersi widniało nazwisko KOPECK. Ktoś zrzucił na

niego z dachu fragment gzymsu, miażdżąc mężczyźnie czaszkę. Żołnierz wciąż ścisnął w dłoni M - 16, ale broń zacięła się, była zatem bezużyteczna. Mimo to komandos wciąż miał na sobie bandolier z granatami. Przygryzając dolną wargę, by przezwyciężyć ból, nieznajoma pospiesznie odarła ciało ze skórzanej upręży i założyła ją sobie na ramiona. Ważące po funcie granaty odłamkowe wciskały się w jej skórzaną kurtkę jak zabójcze owoce, a gdy podniosła się z chodnika, zagrzechotały, zderzając się ze sobą.

Słyszała nieartykułowany skowyt tropiących ją ogarów Eshera. Zbliżały się. Ponownie zerwała się do biegu, lecz jej prawe kolano zastrajkowało i przestało zginać się w tę stronę, co powinno. Ukryła się w pobliskiej bramie i zerwała z upręży jeden z granatów, mocno dociskając łyżkę lewą ręką. Po chwili wychyliła się lekko z bramy i rozejrzała się. Rekruci Eshera wyszli właśnie z bocznej alejki na ulicę. Wampir prowadzący pościg odchylił głowę do tyłu, wietrząc trop, podczas gdy pozostali przepychali się i atakowali jeden drugiego jak osobliwa mieszanka psów gończych i gliniarzy ze starych slapstickowych komedii. Gdyby nie to, że stawką w tej grze była jej głowa, na ten widok zapewne wybuchnęłaby śmiechem. Prowadzący pogoń wskazał kierunek, w którym się udała i cała gromada natychmiast ruszyła dalej. Nieznajoma wybiegła ze swej kryjówki i cisnęła granat, modląc się, aby nie była to atrapa. Granat zatoczył łuk i wylądował w samym środku grupy pościgowej, eksplodując przy uderzeniu w ziemię.

Dwa wampiry zostały ciśnięte do rynsztoka, ich nogi poniżej kolan zmieniły się w krwawą miazgę, trzeci zaś odkrył, że jego łydki zostały oplecione wyprutymi z brzucha pętami jelit. Podczas gdy ranni zaczęli przeraźliwie jęczeć i skowyczeć w agonii, pozostali wycofali się na bezpieczniejszą odległość. Spokrewnieni nie mogą umrzeć od takich ran, lecz żaden z nich nie miał większej ochoty na tracenie kończyn w wyniku gwałtownej eksplozji, a u słabszych wampirów podobne obrażenia mogły doprowadzić do zapadnięcia w stan

przypominającego sen odrętwienia. Nieznajoma skrzywiła się, gdy coś w jej wnętrzu - śledziona? - pękło, a na ustach, kiedy zakasłała, pojawiła się krwawa piana. Próbowwała uciec, mając na oku ścigającą ją sforę. Prowadzący pogoń wysforował się naprzód, ponagłając swych bardziej tchórzliwych braci do większego wysiłku.

- Szybciej, psy! Ona ucieka! W imię lorda Eshera, brać ją!

Nieznajoma rzuciła drugi granat, tym razem celując konkretnie w przywódcę pościgu.

- Głowa do góry, dupku!

Prowadzący instynktownie uniósł dłoń, by osłonić oczy i wszedł w Akcelerację, jego sylwetka rozmyła się jak kredowy obrys po deszczu i w tej samej chwili granat eksplodował.

W parę sekund później wampir ponownie się pojawił o kilka jardów od miejsca, gdzie stał poprzednio, tylko że teraz brakowało mu głowy. To tyle, jeżeli chodzi o plotki, jakoby wampiry były szybsze od pocisków z broni palnej czy odłamków granatu.

Nieznajoma chwiejnym krokiem wyszła na środek ulicy, unosząc w dłoni kolejny granat.

- Tak bardzo chcecie mnie dopaść, odsączone z krwi sukinsyny? No to chodźcie i złapcie mnie! Wszystkich was zabiorę ze sobą do Piekła!

Pozostałe wampiry wymieniły ukradkowe spojrzenia, po czym zrobiły w tył zwrot i wróciły tam, skąd przyszły. Nieznajoma cisnęła w ślad za nimi trzeci granat, choć ten, rzucony zbyt słabo i za blisko, wybuchł nie czyniąc im większej szkody.

- Banda cieniasów - wymamrotała pod nosem, patrząc, jak uciekają.

Zrobiła niepewnie krok do tyłu i niemal upadła, gdy załamało się pod nią prawe kolano. Na lewe oko prawie nic nie widziała, a w prawym raz po raz opadała jej powieka.

Przy każdym oddechu z jej nozdrzy i ust wypływała krwawa piana. Skrzywiła się i zmarszczyła brwi na widok zebra wystającego spod koszulki i ocierającego się o podszewkę

kurtki. Cholera, a dopiero co ją wymieniła. Miała nadzieję, że wytrzyma i dotrze do celu, do którego zmierzała.

W połowie schodów przewróciła się i upadła. Leżąc na wznak, wpatrywała się w szare cienie powoli lecz nieubłagane zaćmiewające jej wzrok. Wiedziała, że musi iść dalej, że musi się ukryć, zanim słudzy Eshera odzyskają rezon i powrócą tu, ale jej ciało zwyczajnie odmówiło dalszej współpracy. Nie czuła już nóg ani nie była w stanie poruszyć rękoma. Nie czuła nic, z wyjątkiem bólu ogarniającego jej ciało od stóp do głów.

Jeden z szarych cieni poruszył się, podszedł bliżej, aż w końcu zorientowała się, że był to mężczyzna. Śmiertelnik. Jego twarz była zatroskana i poorana głębokimi zmarszczkami, policzek i podbródek pokrywał szczeciniasty zarost, a szyję opasywała koloratka tego samego koloru co siwiejące włosy. Spojrzał na nią z mieszaniną lęku, fascynacji i odrazy jak na rzadkiego, lecz wyjątkowo paskudnego owada.

Wytężając resztki sił, jakie jeszcze się w niej tliły, nieznajoma uniosła prawą rękę w błagalnym geście.

Ksiądz drgnął i skulił się w sobie, ale nie zrejterował, gdy jej palce musnęły srebrny różaniec, który nosił na szyi. Spróbowała coś powiedzieć, lecz z jej ust dobył się tylko zduszony, przepelniony bólem jęk. Kapłan nachylił się nad nią, a ona, chwyciwszy za rękaw sutanny, pociągnęła go jeszcze niżej ku sobie, aby mógł ją usłyszeć.

- Azyl.

## **ROZDZIAŁ 11**

Kiedy znów otworzyła oczy, w pierwszej chwili niczego nie zobaczyła, ale poczuła zapach. Woń wilgotnej ziemi oszołomiła ją. Wzrok wciąż miała zamglony, dostrzegła jednak dokoła toporne kamienne ściany. Wróciła do lochu Eshera! Iskierka strachu przepłynęła przez jej poturbowane ciało, zmuszając ją, aby usiadła.

- Nie ruszaj się. Nawet nie próbuj. Jesteś bezpieczna - wyszeptał ojciec Eamon, mocno przyciskając dłoń do jej ramienia.

Nieznajoma zmrużyła oczy, usiłując dostrzec twarz kapłana. Miał około sześćdziesięciu lat i długie, siwe włosy sięgające do ramion. Nosił koloratkę i sutannę o mocno postrzępionych rękawach. Miał rzymski nos i mocną szczękę, a na policzkach, pomimo warstewki brudu, można było dostrzec rumieńce, efekt działania alkoholu. Jej uwagę zwróciły przede wszystkim oczy - błękitne jak czyste niebo, dzięki którym nie wyglądała na swoje lata. Położyła się na wznak, przygryzając dolną wargę, gdy jej ciało przeszył silny ból.

- Gdzie ja jestem? I kim ty jesteś?

- Nazywam się ojciec Eamon. Znajdujesz się teraz w piwnicy pod kościołem św. Everhilda.

- Św. Everhilda? Tego kościoła, który stoi naprzeciwko Czarnej Łoży?

Kapłan skinął głową i położył jej na czole wilgotną szmatkę.

- Obawiam się, że nie przywykłem do przyjmowania tu gości. Umościłem ci posłanie ze starych komży, ale niestety kilka z nich zapleśniało.

- Jakoś to wytrzymam.

Ojciec Eamon spojrzał w stronę, skąd dobiegł huk eksplozji, a zaraz potem przeraźliwe, ochryple wrzaski. Wstał i wyjrzał przez okratowane piwniczne okienko znajdujące się na wysokości ulicy. Jego dłoń odruchowo dotknęła wiszącego na szyi różańca. Kiedy się odezwał, głos miał niewiarygodnie spokojny, niemal rozmarzony.

- Dzisiejszej nocy ujrzałem Rękę Boga opadającą z nieba, by obrócić w perzynę

Umarłe Miasto. Już czas, aby sprawiedliwi powstali, a nieprawi zapłacili za swoje grzechy.

Tej nocy przezwyciężyłem lęk przed zmierzchem i po raz pierwszy od dwunastu lat

otworzyłem drzwi mego kościoła. - Spojrzał na nieznajomą, leżącą na prowizorycznym

posłaniu. - Gdy ujrzałem cię leżącą na schodach, wziąłem cię za nierządnicę Eshera. Tę z kolczykami.

Nieznajoma uśmiechnęła się półgębkiem.

- Wygląda na to, że wszyscy mnie tu z nią myślą. Ale to już się więcej nie powtórzy.

Ona nie żyje. Zabiłam ją.

Ojciec Eamon uniósł brew, lecz jego oblicze pozostało niewzruszone.

- Czy to wyznanie winy?

- Stwierdzenie faktu.

Ksiądz odsunął się od okna i spojrzał na nieznajomą, marszcząc brwi.

- Z dzwonnicy wiele widziałem. Ciebie również. Początkowo sądziłem, że jesteś jedną z nich, ponieważ całe dni przesypiałaś na poddaszu. Potem widziałem, jak wchodzisz do Czarnej Łoży. Dziś rano jednak w świetle dnia zobaczyłem cię z tym chłopcem. Wtedy zrozumiałem, że źle cię oceniłem, nie jesteś służebnicą szatana, lecz Dzieckiem Bożym.

- Nie posuwałabym się do takich stwierdzeń, ojcze - wychrypiała. - Powiedziałabym, że niewiele się pomyliłeś. Wiesz, co mam na myśli? - uśmiechnęła się i wyszczerzyła kły.

Ojciec Eamon gwałtownie przełknął ślinę i cofnął się o krok, zaciskając dłoń na różańcu.

- To niemożliwe...! Dotknęłaś mego różańca! Poprosiłaś o azyl... wniosłem cię do kościoła, przemyłem rany wodą z chrzcielnicy! Widziałem, jak idziesz ulicą w blasku dnia!

- Spokrewnieni są bardziej złożeni, niż się ojcu wydaje. W ich interesie jest robić ludziom wodę z mózgu. Nie chcą, by śmiertelni poznali ich słabości i mocne strony. Opłaca się utrzymywać swoich wrogów w niewiedzy. To prawda, że zabija ich światło słoneczne, ale większość Spokrewnionych poczułaby lęk przed różańcem nie ze względu na jego znaczenie religijne, ale z uwagi na wiarę, jaką w nim pokładasz.

- Nie wierzę.

- Wierz, w co chcesz. To nie zmieni tego, czym jestem ani faktu, że jestem teraz tutaj.

Ojciec Eamon wymierzył sobie siarczysty policzek. Uderzenie było tak silne, że aż się zachwiał.

- Znowu zgrzeszyłem! Sprowadziłem do świętego miejsca służebnicę Złego!

Nieczysty głupcze!

Uderzył się w twarz ponownie i jeszcze raz. Nieznajoma próbowała usiąść.

- Ojczy! Przestań natychmiast! - ucięła. - Nikogo nie zdradziłeś! Nie kościół czyni to miejsce niedostępnym dla nieumarłych, lecz wiara - tych, którzy go nawiedzają. Biała magia jest tutaj obecna dzięki tobie.

Eamon patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Kiedy w końcu przemówił, w jego głosie i zachowaniu nie pozostał najmniejszy ślad po trawiącej go jeszcze przed chwilą żądzy autodestrukcji, oczywiście jeśli nie liczyć zaczerwienionego policzka.

- To twoje dzieło, prawda? - zapytał, wskazując w stronę okna. - Czuję to w kościach!

To wszystko w jakiś sposób jest z tobą powiązane. Właśnie dlatego sprowadziłem cię do tej świątyni. Dlatego odczułem nieprzepartą potrzebę, aby ci pomóc!

Nieznajoma bacznie obserwowała kapłana. Czy to możliwe, że ten stary pustelnik przejawiał szczątkowe zdolności paranormalne? Nie ulegało wątpliwości, że spośród ludzi najbardziej wyczulonymi na świat cieni byli szaleńcy, pijacy i poeci. Ojca Eamona można było zaliczyć do dwóch spośród tych trzech grup.

Coś zamigotało w oczach starego księdza, gdy zaczął nerwowo przechadzać się po pomieszczeniu, przemawiając donośnym tonem, bardziej do siebie niż do nieznajomej.

- Głęboko w czeluściach Piekieł żyje boski potwór, istota przejawiająca zarówno cechy diabła, jak i anioła. Znana jest pod wieloma imionami, najczęściej jednak nazywa się ją



Aniołem Zagłady. Jest to zwiastun kary, zemsty, gniewu, śmierci i zniszczenia. Choć Anioł Zagłady znajduje się w niewoli szatana, służy Bogu i dopóki nie zacznie kroczyć pośród śmiertelników, ludzkości nie grozi ostateczna zguba. Gdy dane mu jest wymierzenie światu kary za grzechy ludzkości, w jego dłoni tkwi Miecz Boży. A ja dzisiejszej nocy ujrzałem Miecz Boży wzbijający się z ziemi i rozszczepiający niebiosy!

Nieznajoma zaśmiała się i słabo pokręciła głową.

- Na pewno nie jestem aniołem, ojcze!

Ojciec Eamon przystanął i zasępił się, gładząc palcami podbródek.

- Możliwe. Wiem jednak, że to, co dziś ujrzałem, było znakiem od Boga. Znak ten zwiastuje, że już czas, abym uczynił coś więcej, niż tylko ukrywał się w ciemnościach i co wieczór upijał się na umór.

Terkot pistoletu maszynowego ponownie zwrócił jego uwagę w kierunku okna.

Wyjrzał na ulicę, po czym cofnął się i przeżegnał.

- Co się dzieje? - wyszeptła.

- Pointersi. Całe tuziny. Idą w zwartym szyku, środkiem ulicy, w stronę Czarnej Łoży.

Nieznajoma podniosła się do pozycji siedzącej, choć w głowie huczało jej jak w ulu.

- Pomóż mi wstać. Chcę to zobaczyć.

- Nie powinnaś się w ogóle ruszać. W twoim stanie?!

- Muszę zobaczyć, co się dzieje! - wychrypiała przez zaciśnięte zęby, powoli, lecz z uporem podnosząc się z podłogi.

Ojciec Eamon zacmokał z dezaprobatą, ale objął nieznajomą jedną ręką i pomógł wstać. Zachwiała się lekko, zamykając oczy, przed którymi zawirowały czarne mroczki.

Ojciec Eamon podprowadził ją do okna. Zacisnęła drżące palce na framudze.

Na ulicy przed kościołem św. Everhilda rzeczywiście roіło się od Pointersów, wśród

których można było dostrzec członków enklawy Eshera. Młodzi osiłkowie i wampiry uzbrojeni byli w pistolety maszynowe i wojskowe karabinki szturmowe.

Gdy tak patrzyła, grupa Black Spoons z pobliskiej uliczki otworzyła ogień do nadciągających napastników. Kilku Pointersów padło, a ich kompani odpowiedzieli strzałami. Wymiana ognia zakończyła się wrzaskami i rozbryzgami krwi. Glocki i lugery Black Spoons nie mogły się równać z rozpylaczami M - 24s.

Zniekształcone dźwięki industrialnego rapu o przestrojonych basach zasygnalizowały przybycie Batmobilu w otoczeniu uzbrojonych Pointersów truchtających po obu stronach auta jak agenci tajnych służb ochraniający limuzynę prezydencką. Nieznajoma skrzywiła się, gdy jej trzonowce zaczęły wibrować w rytm dudniącej, pulsującej dziko muzyki.

- Wygląda na to, że Esher postanowił wpaść do Sinjona z niezapowiedzianą, wrogą wizytą. Chyba sentencja - kwiaty powiedzą za ciebie wszystko - faktycznie się sprawdza.

Batmobil zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko Czarnej Łoży.

Jeden z wampirów - ochroniarzy otworzył tylne drzwiczki i Esher wyszedł z samochodu. Pan wampirów oparł dłonie na biodrach i rozejrzał się dokoła. Przed Czarną Łożą wzniesiono nierówną barykadę ze starych mebli, kawałków muru i drewnianych belek, szczyt której zabezpieczono drutem kolczastym skrzącym się jak sreberka na choince w migoczącym blasku płonących budynków. Za szanćcem stali potomkowie Sinjona i osiłkowie z Black Spoons, o twarzach ubabranych krwią i sadzą.

Esher skinął na jednego ze sług, który sięgnął na przedni fotel Batmobilu i podniósł leżący na nim megafon. Esher uniósł megafon do ust i zakrzyknął:

- SINJONIE! PRZYBYŁEM, ABY ODEBRAĆ CO MOJE!

SŁYSZYSZ MNIE, WOLNOMULARZU?

Sinjon wyszedł na balkon na drugim piętrze i powiódł wzrokiem po zebranych na

ulicy poniżej „żołnierzach” swojej armii.

- Co to ma znaczyć, Esherze? Czyżbyś i ty, podobnie jak reszta mieszkańców tego parszywego miasta, postradał rozum? Do świtu pozostała niecała godzina. Najpierw obłąkami włóczędzy i bezdomni atakują moich ludzi za pomocą pochodni i koktajli Mołotowa, a teraz jeszcze ty!

- NIE IGRAJ ZE MNĄ, ŁAJDAKU! DOBRZE WIESZ, CZEMU TU JESTEM!

BĄDŹ CO BĄDŹ TO TY RZUCIŁEŚ PIERWSZY KAMIENI!

- Oszalałeś!

- CHCĘ ODZYSKAĆ MOJĄ KOBIETĘ! I KOKAINĘ, KTÓRĄ MI UKRADŁEŚ!

PRZEDE WSZYSTKIM JEDNAK CHCĘ, ABYŚ WYDAŁ MI ZDRAJCZYNIĘ, KTÓRĄ U SIEBIE UKRYWASZ!

- Nie wiem, o czym mówisz, Esherze! Wróc na swój teren, póki jeszcze możesz!

- W TAKIM RAZIE NIE POZOSTAWIASZ MI WYBORU! - Esher opuścił megafon i wykonał szybki, tnący ruch ręką.

Pointersi otworzyli ogień do Czarnej Łoży, kule podziurawiły fasadę budynku jak ser szwajcarski. Sinjon uchylił się, gdy fosforowy pocisk śmignął mu nad uchem i zrykoszetował od muru za jego plecami. Wampir natychmiast opuścił odkryty balkon, nawołując do swych podwładnych, aby odpowiedzieli ogniem.

- Tatusiu, co się dzieje?

Vere, nagi, z wyjątkiem czarnych winylowych slipek, zadrzał na łóżku z baldachimem, przyciskając do piersi fioletową narzutę. Oczy miał rozszerzone z przerażenia i po raz pierwszy od wielu miesięcy wyglądał jak wystraszony chłopiec, którego Sinjon zabrał z dworca autobusowego.

- Mag postradał rozum! Bredzi, abym oddał mu dziewczynę i narkotyki! I jest

przekonany, że ukrywamy tu dziecko Morgana!

- Powiedziałeś mi, że jej tu nie ma?

- Oczywiście, głuptasie! - wrzasnął Sinjon.

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła i na dywanie pomiędzy Sinjonem a chłopcem wylądował granat. Lord wampirów spojrzał nań, bardziej zdezorientowany niż przerażony.

- Ten sukinsyn ma granatniki!

Eksplozja zdemolowała pokój na drugim piętrze, odłamki szkła i gruz posypały się na stojących poniżej Black Spoons jak zabójczy deszcz. Potomkowie Sinjona równocześnie unieśli blade twarze ku górze, ich szkarłatne oczy rozbłysły paniką, z ich ust popłynęły błagalne jęki.

- OJCZE! - zakrzyknęli rozpaczliwie. - OJCZE, POMÓŻ NAM!

Sytuacja za barykadą była fatalna. Martwi i umierający Black Spoons leżeli jedni na drugich. Wśród Spokrewnionych także były ofiary, większość została zraniona granatami lub pociskami fosforowymi. Wampir imieniem Tristan, pozbawiony dolnej połowy ciała, czołgał się na łokciach i brzuchu, chłepcząc krew rannych Black Spoons w nadziei, że zdoła wypić jej dość, by przyspieszyć proces regeneracji. Umierający ludzie desperacko usiłowali umknąć wygłodniałemu wampirowi, lecz nie byli w stanie powstrzymać nieuchronnego. Ich wołania o pomoc zostały zignorowane przez niedawnych towarzyszy broni odpowiadających ogniem na nie słabnącą kanonadę Pointersów.

Ulica przed Czarną Lożą spłynęła krwią, chodnik został usłany ciałami. Słudzy Eshera podali tyły, kryjąc się za kosztami na śmieci i za oknami pobliskich domów, które jeszcze nie padły ofiarą pożogi. Esher wrócił do swego kuloodpornego cadillaca, obserwując rzeź z nieczłowieckim spokojem. Podczas krótkiej przerwy w wymianie ognia spojrzał na rolexa, którego nosił na rękę, i wyjął spod fotela krótkofalówkę.

- Król Piekieł do Ognistego Ptaka. Rozpocznij suitę, odbiór.

- Zrozumiałem, Królu Piekieł. Ognisty Ptak, bez odbioru.

Esher włożył krótkofalówkę na powrót pod fotel, oparł się wygodnie, splótł na piersiach ramiona i z niezmaconym spokojem oczekiwał na rozpoczęcie przedstawienia.

Dwóch Pointersów uzbrojonych w granatniki przemknęło zygzakiem przez ulicę pod ogniem osłonowym swoich kompanów, po czym zajęło pozycję na stopniach kościoła naprzeciwko Czarnej Łoży. Jeden z osiłków został trafiony i upadł, staczając się po marmurowych schodach, ale jego kolega zrobił swoje. Kiedy nacisnął spust, Black Spoons patrzyli z przerażeniem na opadającą w ich stronę szerokim łukiem smugę, zwiastującą, jak podejrzewali, wystrzelenie kolejnego granatu. Dopiero po chwili zorientowali się, że potraktowano ich napalmem.

Galaretką benzynową zajęła się w momencie trafienia w cel, zbryzgując żołnierzy kulących się za barykadą. Wampiry i ludzie zawyli w przeraźliwej agonii, gdy płomienie zaczęły pożerać ich ubrania i skórę. Młody wampir, Ethan, przeskoczył nad barykadą, wrzeszcząc na całe gardło i wymachując ramionami w daremnej próbie uniknięcia płomieni. Ludzie Eshera skosili go w kilka sekund.

Oddano strzał z drugiego miotacza, ognista mieszanka wpadła do budynku Łoży przez okno na pierwszym piętrze. Z wnętrza budowli dobiegł chór ochrypłych wrzasków, a z okien buchnęły kłęby gęstego dymu. Trzeci strzał dosięgnął balkonu na drugim piętrze, na którym zaledwie kilka minut temu stał pan wampirów, Sinjon.

Z Czarnej Łoży zaczęły wybiegać przerażone postacie, zarówno śmiertelnicy, jak i Spokrewnieni. Niektórzy z nich palili się, inni trzymali ręce w górze. Spokrewnieni przystanęli w progu, z niepokojem wpatrując się w jaśniejąc niebo, lecz płomienie skutecznie wyгнаły ich na zewnątrz. Zresztą to nie miało znaczenia, gdy tylko znaleźli się w polu

rażenia, jeden po drugim padali skoszeni fosforowymi pociskami.

Esher uśmiechnął się, patrząc, jak ci, którzy próbowali uciec, giną pod lawą ognia.

Wszędzie dokoła piętrzyły się sterty ciał, było ich coraz więcej; ponownie sięgnął po krótkofalówkę.

- Król Piekieł do Enklawy, odbiór.

- Tu Enklawa, panie, odbiór.

- Daj sygnał Spokrewnionym, aby się ukryli, nadchodzi świt, odbiór.

- Zrozumiałem, panie. A co z wami? Odbiór.

- O mnie się nie martw. Nie darowałbym sobie, gdybym nie zobaczył tego aż do samego końca, bez odbioru.

Rekruci z Enklawy Eshera zaczęli się wycofywać. Wschodziło słońce, a pan

wampirów nie chciał ryzykować utraty swych podwładnych, jeśli nie było to absolutnie

konieczne. Jedyne on, Esher, pozostanie na placu przed Czarną Lożą wewnątrz

zabezpieczonego przed słońcem Batmobilu, skąd będzie mógł bez przeszkód obserwować upadek swojego wroga.

Ze wszystkich okien Łoży na pierwszym i drugim piętrze strzelały jęzory ognia. Gęsty

dym bił z wnętrza budynku niczym wylatujące na zewnątrz biblijne roje szarańczy. Vere,

ubrany tylko w slipki, wybiegł na zewnątrz, fikuśna, winylowa garderoba pod wpływem żaru

wtopiła mu się w ciało. Włosy chłopca płonęły, z twarzy, ud i pleców zwieszały się pokryte

bąblami strzępy ciała. Krew sączyła mu się z nosa i uszu, było to skutkiem eksplozji w

buduarze granatu hukowego. Vere gwałtownie wymachiwał rękoma, usiłując w ten sposób

pozbyć się palącego bólu, przez cały czas krzyczał piskliwie i wysoko jak dziecko.

- Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! Nie chcę umierać! - zawodził. - Tatusiu, ratuj! Ocal

mnieee!

Kilka serii z pistoletów maszynowych posiekało chłopaka na strzępy w parę sekund, obracając jego ciałem jak dziecinnym bakiem.

Vere zrobił jeszcze kilka chwiejnych kroków, na jego zmasakrowanej twarzy pojawił się wyraz zdumienia, po czym upadł na zalany posoką chodnik.

- Boże miłosierny! - wyszeptał ojciec Eamon i przeżegnał się. Pochylił głowę, po czym odmówił po łacinie modlitwę za konających.

Nieznajoma miała ochotę powiedzieć księdzu, że dla chłopca było z pewnością lepiej, że zginął, ale zdołała się pohamować. I tak z trudem ukrywała w sobie zadowolenie wywołane widokiem rozgrywającej się za oknem rzezi. Sprawy przedstawiały się korzystniej, niż przypuszczała. Gdy ponownie skierowała wzrok ku płonącemu domowi naprzeciwko, w drzwiach Czarnej Łoży pojawił się Sinjon. Stary lord wyglądał fatalnie, jego strój był nadpalony, upudrowana peruka zniknęła gdzieś wśród pożogi, a przez poraną bliznami skórę na głowie wampira można było dostrzec świecąca wilgotnawo nagą czaszkę.

Skrzydłowy Pointersów przez chwilę rozmawiał z kimś przez krótkofalówkę, po czym zawołał do swoich ludzi:

- Wstrzymać ogień! Lord Esher rozkazuje wstrzymać ogień!

- Na władcę piekieł... Nie! Vere! - Sinjon przegramolił się przez barykadę i podszedł do ciała swego ulubieńca. Osunął się na kolana, a z jego ust popłynął zbolwały jęk. - Mój drogi chłopcze, co oni z tobą zrobili, spójrz tylko, co oni ci zrobili! - Wziął zmasakrowane zwłoki Vere'a w ramiona, tuląc je do piersi jak dziecko i kołysząc się w tył i w przód.

Wszyscy jego chłopcy zginęli. Umarli Śmiercią Ostateczną. Vere. Tristan. Ethan.

Wszyscy bez wyjątku. Jego linia krwi przestała istnieć. Strata zaboląła go jak brutalne obrócenie tkwiącego w ranie noża. Królestwo, które zbudował i kształtował przez ponad dwa stulecia, obracało się dokoła niego w perzynę, pochłaniane przez ogień i szaleństwo. Umarłe

Miasto zostało zawłaszczone.

Nagle uniósł wzrok ku niebu i ku swemu przerażeniu ujrzał malujące się na niebie pierwsze oznaki świtu.

- Esherze! - Sinjon podniósł się z trudem, kołysząc na nogach jak pijany. Przeszedł przez usłane gruzami pole walki do miejsca, gdzie stał Batmobil pulsujący dynamiczną rapową muzyką, jak samiec aligatora podczas sezonu godowego.

- Wygrałeś, Esherze! Umarłe Miasto jest twoje! Poddaję się! Uginam przed tobą kolana i uznaję cię za mego pana i suzerena!

Zaczął skrobać zakrzywionymi w szpony palcami mocno przyciemnioną tylną szybę w samochodzie i raz po raz zerkał przez ramię na wschodzące słońce. W jego głosie pobrzmiwała coraz gwałtowniejsza panika, aż w końcu puściły mu nerwy i rozpłakał się.

- Złożę ci przysięgę wierności i z radością przyjmę twoją krew jako własną! Będę twoim podnóżkiem i nigdy nie podniosę przeciwko tobie ręki, pierwej zabraknie wody w oceanach, niż mógłbym się na to odważyć. Obiecuję ci to na wszystko, kim jestem, Esherze, tylko nie pozwól mi spłonąć!

Skóra Sinjona zaczęła marszczyć się i swędzieć, jakby oblażyły go mrówki. I nagle buchnęła płomieniem. Wampir zasyczał z gniewu i bólu, unosząc do góry rękę, by osłonić się przed słońcem. Nic mu to nie pomogło. Zaczął tłuc pięścią o niewzruszoną czarną szybę cadillaca, ale nie zdołał jej roztrzaskać. Na chwiejnych nogach ruszył w kierunku ciała Vere'a, lecz upadł, nim przeszedł sześć kroków.

Egzystował jako nieumarły od kilku stuleci, nigdy jednak nie zaznał podobnej agonii, ból był niewyobrażalny. Wampir leżał na ziemi, ciężko dysząc, a oczy wypełniały mu się łzami i krwią, gdy płyny w jego ciele zaczęły wrzeć. Instynkt podpowiadał mu, że powinien się ukryć, znaleźć sobie ciemne i chłodne schronienie, gdzieś, gdzie nie dosięgłyby go palące



promienie słońca, lecz było już za późno. Nie miał dokąd uciec. Przez kilka sekund rozpaczliwie drapał paznokciami bruk, na którym leżał, w nadziei że zdoła dogrzebać się do zbawczej ziemi, lecz kostka, którą była wyłożona ulica, nie poddała się jego desperackim poczynaniom.

Jego ciało pokryło się bąblami i zaczęło skwierczeć jak plaster boczku na patelni. Czuł swąd własnego smażącego się ciała. Skóra na jego twarzy nabrzmiała, po czym spłynęła z niej niczym wosk. Oczy zrobiły się białe, ugotowawszy się we własnym płynie. Pomimo potwornych obrażeń i dojmującego bólu Sinjon wciąż pełził naprzód, poszukując przed sobą na oślep odartymi z tkanek kościstymi dłońmi. Choć nie miał już czucia, wiedział, że musi być niedaleko. Chciał powiedzieć Vere'owi, że jest mu przykro, iż tak się to kończy, lecz jego język zmienił się w poczerniały strzęp zeszywniałej, trupiej skóry. Chciał pocałować go po raz ostatni, ale nie miał już ust. Tyle chciał jeszcze zrobić. Miał tak wiele pragnień. I dążeń. Aż tu nagle, po prawie pięciu stuleciach, jego wielkie marzenie nieoczekiwanie dobiegało końca.

Nie miał już czasu.

Nadszedł...

Kres...

Esher patrzył, jak Sinjon rozplywa się w promieniach wschodzącego słońca i jego usta wykrzywił lekki uśmiezek. Gdy poranny wietrzyk rozwiął prochy wolnomularza, nie był w stanie dłużej się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. Śmiał się jeszcze, gdy energicznym gestem dał kierowcy znak, że mogą już ruszać.

- Pora wracać do domu - mruknął, zaśmiewając się do łez. - Tu nie ma już nic do oglądania.

Nieznajoma patrzyła, jak Batmobil rusza, miażdżąc leżące na ulicy, okrwawione,

okaleczone ciała; przednie koło samochodu rozniosło w pył odartą z tkanek czaszkę Sinjona. Pointersi podążający za autem swego pana wydawali się równie martwi jak ich wrogowie. Byli zbyt zmęczeni, by chełpić się i radować z odniesionego zwycięstwa, wielu z nich utykało, niektórzy mieli widoczne, krwawiące rany. Według szacunków nieznanego Esher utracił w wyniku zamieszek i w walce z Sinjonem ponad połowę swoich ludzkich popleczników.

To przypomniało jej, że sama nie czuła się najlepiej. Solidny zastrzyk adrenaliny, który otrzymała, gdy oglądała przebieg dżihadu, przestał już działać i nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo była wygłodniała. Odsunęła się od okna i opadła na klęczki, dotykając czołem chłodnej kamiennej ściany.

- Musisz się położyć - wymamrotał ojciec Eamon, nachylając się, by jej pomóc.

- Został już tylko jeden - wychrypiała, kiedy, wspierając się na ramieniu księdza, dotarła do swego prowizorycznego pośłania.

- Sinjon był podstępny wężem, lecz Esher to diabeł w ludzkiej skórze! - rzucił ojciec Eamon. - Teraz ulice Umarłego Miasta spłyną krwią niewinnych!

- N - nie byłabym tego taka pewna. Jeszcze nie wypadłam z gry... ojczy, czy masz kartkę papieru i ołówek?

- Kartkę i ołówek?

- Chciałabym, abyś zaniósł mojemu przyjacielowi wiadomość.

Ojciec Eamon wzruszył ramionami i wyszedł z piwnicy. Wrócił kilka minut później z ogryzkiem ołówka i pomiętą, brązową, papierową torbą, którą rozprostował na kolanie.

- To wszystko, co zdołałem znaleźć...

Pospiesznie napisała na odwrocie torby adres i numer telefonu.

- Chciałabym, abyś zaniósł to Cloudy'emu. To starszy mężczyzna, który mieszka w

suterenie niecałe dwie przecznice stąd...

- Masz na myśli hipisa?

- Jesteś chyba jedyną osobą w Umarłym Mieście, która nie nazywa go starym hipisem

- mruknęła, chichocząc pod nosem, zaraz jednak zaczęła kasłać, wypluwając skrzepy krwi.

- Nie mogę pozostawić cię w tym stanie! - zaprotestował ojciec Eamon.

- Rób, co mówię! - wychrypiała, wciskając mu torbę do ręki. - Nie ma czasu na

gadanie po próznicy! Czuję, że wszystko w środku mam pogruhotane, moje prawe płuco

zapadło się, a w sercu tkwi fragment złamanego żebra! Gdybym była człowiekiem,

wyzionęłabym ducha już parę godzin temu! Tylko jedno może mi pomóc - krew. Na tej torbie

zapisałam adres człowieka specjalizującego się w załatwianiu czarnorynkowej plazmy dla

takich jak ja. Chcę, aby Cloudy skontaktował się z nim i zaaranżował zakup. Rozpaczliwie

potrzebuję krwi - i to w dużych ilościach.

Ojciec Eamon z posępną miną wbił wzrok w pomiętą papierową torbę.

- Czy spełniając tę prośbę, stanę się narzędziem szatana, czy raczej sługą Bożym?

- Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie, ojcze. Naprawdę.

- Tja, czego chcesz? - warknął Cloudy, przyglądając się podejrzliwie starszemu,

zaniedbanemu mężczyźnie stojącemu przed drzwiami. Z uwagi na to, że był nie ogolony i

cuchnął, wziął go za bezdomnego. Dopiero po chwili Cloudy spostrzegł koloratkę.

- Miałem tu przyjść i przekazać ci to - rzekł ojciec Eamon, gwoli wyjaśnienia podając

mu zmiętą papierową torbę. - Ona twierdzi, że ją znasz.

Wyraz podejrzliwości znikł z oczu Cloudy'ego, ale hipis wciąż wydawał się

zaniepokojony.

- To ona cię przysłała? Żyje? - Zdjął łańcuch i otworzył drzwi, wpuszczając księdza do

środku. - Przepraszam, że ojca nie poznałem! Nie przywykłem do przyjmowania tutaj gości.

Zwłaszcza po zeszłej nocy. Przez większość czasu musiałem odpędzać tych pieprzonych świrów - wybacz, ojciec, mam niewyparzony język - aby nie puścili mego domu z dymem. To było istne Piekło na ziemi.

Ojciec Eamon stanął pośrodku pokoju, spoglądając na stosy książek dokoła.

- Widzę, że lubisz czytać - stwierdził z lekkim zdumieniem. - Nie sądziłem, że w Umarłym Mieście może być aż tyle , książek.

- Stwierdziłem, że pomagają mi zabić nocami czas - od - j parł Cloudy, wzruszając ramionami. - Ale, ale, do rzeczy, co f z nią? Nic jej nie jest? A może coś się stało? Gdy widziałem ją ! ostatni raz, ta suka Decima niosła ją przerzuconą przez ramię jak j worek mąki. A potem rozpętało się Piekło i przez resztę nocy miałem pełne ręce roboty.

- Żyje, ale jest ciężko ranna. Znalazłem ją dogorywającą na schodach przed kościołem św. Everhilda. Poprosiła o azyl i wniosłem ją do środka. Opatrzyłem jej rany i przygotowałem posłanie. Twierdzi, że uciekła z warowni Eshera, zabijając kobietę zwaną Decimą.

Cloudy pokręcił głową ze zdumieniem.

- I powiada ojciec, że ona potrzebuje mojej pomocy?

- Ona... twierdzi... że potrzebuje krwi - wykrztusił niepewnie kapłan. - Mówi, że bez niej umrze. Podała mi adres , i numer telefonu, który miałem ci przekazać. To rzekomo jakiś j jej znajomy mający kontakty na czarnym rynku.

Cloudy wziął od księdza papierową torbę i zmarszczywszy brwi, odczytał zapisaną na niej wiadomość.

- Powiedz jej, ojciec, żeby spokojnie odpoczywała. Zajmę się tym.

- Czy... mogę cię o coś spytać?

- Wal śmiało, ojciec. A propos, mów mi Cloudy.

- Czy ta kobieta jest służebnicą szatana?

Cloudy zamrugał, zaskoczony bólem i niepewnością w głosie starego kapłana.

- Szczerze mówiąc, nie wiem czym ani kim ona jest. Sądziłem, że to raczej księża powinni wiedzieć takie rzeczy.

- Szatan to podstępny przeciwnik. Jego słudzy noszą różne skóry. Niekiedy przywdziewają także sutanny.

- Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie, ojcze. Mogę tylko powiedzieć ci to, co sam wiem. Przyznaję, że ta nieznajoma naprawdę mnie przeraża. Dwukrotnie ocaliła mi życie - i w obu przypadkach wcale nie musiała tego robić. Pomogła temu chłopcu, Ryanowi, uratowała jego matkę, odbijając ją z rąk Eshera i dopilnowała, aby oboje bezpiecznie opuścili miasto. Tego również nie musiała robić. A jednak to zrobiła. Nie wiem, kim lub czym ona jest ani co sprowadziło ją do Umarłego Miasta, lecz z pewnością nie przypomina Sinjona, Eshera ani kogokolwiek w całej tej parszywej dzielnicy. Nie jest człowiekiem, choć w gruncie rzeczy trudno orzec, czy to coś złego. A jeżeli chodzi o to, czy stanowi narzędzie szatana... cóż... czyż nie jesteśmy nim my wszyscy?

Ojciec Eamon przemierzał ulice Umarłego Miasta, lustrując obraz zniszczeń powstałych w trakcie rozruchów. Był to istny koszmar. Na chodniku walały się trupy, a powietrze przesycone było wonią dymu i krwi. W większości były to zwłoki ludzi, głównie Pointersów i Black Spoons. Niepokonani dotąd osiłkowie zostali dosłownie rozdarci na strzępy. Ich ciała rozwłóczono po bruku. Trupy wisiały także na latarniach, a przy jednym ze skrzyżowań ksiądz dostrzegł zwieszające się ze słupa telefonicznego nowiutkie niki, stopy ich właściciela wciąż jeszcze tkwiły wewnątrz butów. Od czasu do czasu kapłan napotykał wśród tej panoramy rzezi i zniszczenia pozbawiony tkanek szkielet ze spiczastymi kłami zamiast normalnych zębów, co stanowiło dowód, że śmierć prócz synów Adama nawiedziła również potomstwo Diabła.

Pożary, czy to przypadkowe, czy będące wynikiem podpaień, starły z powierzchni ziemi większość starych budynków; kilka wciąż jeszcze dymiło, choć pozostały z nich jedynie zgliszcza. Ojciec Eamon przypominał sobie filmy dokumentalne opowiadające o Bitwie o Anglię i zdobyciu Berlina, które oglądał w dzieciństwie. Ulica Bez Nazwy stanowiła jawny przykład zagłady, jaka nawiedziła Umarłe Miasto. Choć Danse Macabre wydawał się prawie nie tknięty, salon bilardowy Stick's spłonął niemal doszczętnie. Kapłan z rosnącym zaniepokojeniem stwierdził, że jedyny w okolicy sklep monopolowy został ograbiony, a następnie podpalony; ogień podłożono też pod bodegi, gdzie pokątnie handlowano narkotykami.

Wszędzie, gdzie nie spojrzał, widział jedynie ruiny i zgliszcza. Wiedział, że jego obowiązkiem jako kapłana było udzielanie ostatniej posługi konającym i odmówienie modłów za umarłych, lecz jakoś nie potrafił się na to zdobyć. Od czasu do czasu dostrzegał jakiś kształt poruszający się wśród pogorzeliisk, ale w większości napotykał jedynie trupy. Ojciec Eamon z posępną ironią skonstatował, że po raz pierwszy od swych mrocznych narodzin Umarłe Miasto istotnie zasługiwało na swoją nazwę.

Lustrując wzrokiem panoramę śmierci i zniszczenia rozpościerającą się dokoła, raz po raz powracał myślami do istoty ukrywającej się w piwnicy kościoła św. Everhilda. To ona była w jakiś sposób odpowiedzialna za zagładę Umarłego Miasta.

I choć zniszczenia, które dostrzegał wokoło, były doprawdy przerażające, czy stanowiły one dzieło Złego? Jakże chciał to wiedzieć! Chciał mieć pewność. Czy ta kobieta była służebnicą szatana, czy raczej Aniołem Zagłady? Ona chyba tego nie wiedziała, a jeżeli nawet, nie zamierzała mu tego wyjawić. To, co usłyszał od Cloudy'ego, jeszcze bardziej zamąciło mu w głowie. Czy potwór mógł mieć duszę albo czy anioł mógł sprowadzić na niewinnych cierpienie? I co miał oznaczać fakt, że ta dziwna istota przybyła, aby błagać o

pomoc właśnie jego, najplugawszego spośród grzeszników?

Powróciwszy do kościoła, zastał ją w takiej samej pozycji, w jakiej ją pozostawił, skuloną jak płód w łonie matki. Jej skóra była w dotyku chłodna i sucha jak u węża, nic nie wskazywało, aby nieznajoma oddychała. W pierwszej chwili przestraszył się, że umarła, lecz kiedy ją szturchnął, uniosła leciutko powiekę, ukazując przekrwioną gałkę oczną.

Stwierdziwszy, że nie może pomóc jej w żaden inny sposób, ojciec Eamon wrócił na górę.

Gdy ukląkł przy ołtarzu, zauważył, że trzęsą mu się ręce. Zamknął oczy i jeszcze bardziej pochylił głowę, modląc się o siłę i przebaczenie. Był to jego pierwszy dzień od wielu lat, kiedy od rana nie miał w ustach alkoholu. Nawet gdyby chciał się napić, nie miał skąd wziąć kolejnej butelki.

Sklep monopolowy splądrowano i podpalono. Ojciec Eamon przeklinał się w duchu za swoją słabość, za to, że przez tyle lat żył w strachu i używał alkoholu, aby, jeśli nawet nie przed Bogiem, ukryć się przed samym sobą. Silne dreszcze wstrząsały jego ciałem, język był odrętwiały i szorstki jak papier ścierny. Święci patrzyli na niego z wyrzutem i choć żaden z nich nie odezwał się ani słowem, wyraz ich twarzy był aż nadto wymowny.

- Co mam uczynić? - zwrócił się do Matki Boskiej. - Czego żąda ode mnie Bóg?

Byłem świadkiem Jego Sądu, lecz teraz jestem w kropce. Mam mętlik w głowie. Czy powinienem pomóc tej istocie, czy raczej ją unicestwić? Skąd mam wiedzieć, jaka jest Jego wola? Święta Mario, Matko Boża, Oblubienico Pańska, daj mi jakiś znak! Uroń kilka łez, zwyczajnych lub nawet krwawych, ale uczyn coś! COKOLWIEK!

Gipsowa figura uśmiechnęła się doń dobrotliwie, jak to czyniła każdego dnia przez ostatnie dwanaście lat i podobnie jak co dnia przez ostatnie dwanaście lat nie powiedziała ani słowa.

- Ojcze?

Zadrżał na dźwięk głosu nieznajomej, jego mięśnie, zdrętwiałe po długim bezruchu, zareagowały porażającym bólem. Zdezorientowany wlepił wzrok w witrażowe okna.

Nadchodził zmierzch. Musiał zasnąć podczas modlitwy. Odwrócił się w stronę swego gościa, starając się nie krzyknąć z bólu. Mięśnie szyi i ramion miał tak zeszywniałe, że niemal słyszał, jak skrzypią z wysiłku. Nieznajoma stała przy końcu najbliższej ustawionej prosto ławki, opierając się o nią niepewnie. Choć zawsze była blada, coś mówiło mu, że wyglądała niezdrowo nawet jak na nie - umarłą.

- Wszystko w porządku, ojcze?

- N - nic mi nie jest. Wybacz. Zatraciłem się w modlitwie. Ale ty, w twoim stanie nie powinnaś nawet wstawać, a co dopiero chodzić!

- Tu się z ojcem zgodzę - mruknęła, siadając w ławce. - Ale nie znoszę, gdy ktoś nadmiernie się mną opiekuje. Czuję się przez to... bezradna.

Ojciec Eamon wstał, krzywiąc się, gdy krew ponownie zaczęła krążyć w jego nogach.

Miał wrażenie, jakby gromada diablików zaczęła dźgać go szpilkami w łydki i podudzia.

- Widziałem się z twoim przyjacielem. Powiedział, żebyś się nie martwiła. Zajmie się wszystkim.

- Cloudy jest w porządku. Mam tylko nadzieję, że nie spotka po drodze osiłków

Eshera. Ten skurwiel już wie, że nie było mnie w Czarnej Łoży. Gdybym tam była, Sinjon wykopałby mnie na zewnątrz już po eksplozji pierwszego granatu. Esher należy do tych, którzy nigdy nie zapominają ani nie przebaczą. Zabiłam jego dziecko i ukradłam oblubienicę. Chce mnie dopaść jeszcze bardziej niż Sinjona.

- Skąd wiesz?

- Powiedzmy, że mam silne przeczucie - odparła z ochryplym śmiechem, uderzając się

pięścią w pierś. - Czuję, jak przyzywa mnie jego krew, muszę wyężyć resztki sił, aby nie



wstać i nie pomaszzerować z powrotem do jego fortecy.

- Musisz znów się położyć, wyglądasz okropnie, jesteś blada jak śmierć na chorągwi.

Roześmiała się i palcem wskazującym podsunęła wyżej na nosie swoje lustrzanki. Był to zdumiewająco ludzki gest.

- Naprawdę umiesz pochlebić dziewczynie, ojcze. Jeśli jednak nie masz nic przeciwko temu, wolałabym zostać tutaj z tobą. - Rozejrzała się dokoła, lustrując popękane witraże, przewrócone ławki i kurz. - Ładnie tu u ciebie. Od jak dawna tu mieszkasz?

- Będzie już ze dwanaście lat.

Skinęła głową, jakby otrzymała odpowiedź na inne, nie wypowiedziane pytanie.

- Ee... ojcze, nie zrozum mnie źle, ale... czy ty naprawdę jesteś księdzem?

Eamon zachichotał. Wydawał się być trochę zdziwiony tym pytaniem.

- Nie poczułem się urażony i doskonale rozumiem, skąd to pytanie. Tak, naprawdę jestem księdzem. Ukończyłem seminarium w 1959. - Spojrzał na krzyż, po czym przeniósł wzrok na nieznajomą. - Mam nadzieję, że nie urażę cię, zadając osobiste pytanie... Czy byłaś osobą religijną, zanim... no... zanim...

- Zanim stałam się tym, czym jestem? - Zamyśliła się przez chwilę, aż wreszcie pokręciła głową. - Chyba nie. Jej rodzina była religijna, jak religijny jest przeciętny Amerykanin, czyli nie za bardzo.

- Jej? To nie była twoja rodzina?

- Ojcze, to skomplikowana historia. Widzisz, w roku 1969 siedemnastoletnią dziewczynę uwiódł i zgwałcił wampir imieniem Morgan. Kiedy z nią skończył, wyrzucił ją z jadącego samochodu na jedną z londyńskich ulic. Znalaziono ją i zabrano do szpitala, gdzie zamiast umrzeć, zapadła w śpiączkę. Gdy się z niej ocknęła dziewięć miesięcy później, stwierdziła, że jest odmieniona. Nie była już człowiekiem, ale ponieważ nigdy naprawdę nie

umarła, nie stała się typową wampirzycą. Odkryła, że jest fenomenem samym w sobie, mogła poruszać się za dnia, a także karmić się i kontrolować emocje otaczających ją ludzi. Mimo to żadna z owych cudownych mocy nie przypadła jej do gustu. Widzi ojciec, nie spodobało jej się, że stała się potworem. Zaczęła ostro walczyć, by nie poddać się tkwiącemu w niej okrucieństwu i żądzy krwi. Spróbowała nawet założyć coś na podobieństwo rodziny. Wciąż jednak się jej nie udawało. Raz po raz przegrywała. W tej sytuacji postanowiła poświęcić całą swą egzystencję na dopadnięcie wampira, który odebrał jej człowieczeństwo i zmuszenie go, aby zapłacił za to, co jej uczynił.

- Czy... czy odnalazła tego człowieka?

- - O tak, jak najbardziej. - Jej śmiech był szeleszczący jak suche liście. - I odkryła, że jej ulubionym pokarmem jest krew wampirów.

- Jak kończy się ta historia?

Nieznajoma wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się krzywo.

- O ile mi wiadomo, jeszcze się nie skończyła. Ale dość już o mnie, powiedz mi, ojczy, kim jest ów zagadkowy święty Everhild.

- Chyba raczej kim był. Wykreślono go z Księgi Świętych podczas II wojny światowej. Był wczesnoangielskim męczennikiem, którego wikingowie porąbali na kawałki i rzucili na pożarcie dzikom. Naraz ni stąd, ni zowąd odyńce pognały przed siebie i rzuciły się ze stromeego zbocza do Morza Północnego. Everhild był, jak mi się zdaje, świętym świniopasów. Może ogłoszono go świętym, ponieważ jego męczeństwo przypominało Jezusa egorcyzmującego demona imieniem Legion.

- Jaka jest historia tego miejsca? Dlaczego wzniesiono kościół na terytorium Spokrewnionych?

- Nie wiem. Historia powstania tej parafii owiana jest mgiełką tajemnicy. Nigdzie nie

ma dokumentów mówiących o budowie lub konsekracji kościoła, aczkolwiek mity i plotki na ten temat krążą już od ponad stu lat. Niektórzy twierdzą, że wzniesiono go jako opokę przeciwko ciemnym siłom. Plotki głoszą, że przydzieleni do tej parafii kapłani i zakonnice znikali zwykle w niewyjaśnionych okolicznościach. Pojawiły się opinie, jakoby Stolica Apostolska zsyłała tu celowo niewygodnych dla siebie heretyków, wichrzycieli i wolnomyślicieli. Wiem na pewno, że od czasów Wielkiego Kryzysu świątynia stała zupełnie opuszczona.

- Co więc ojciec tu robi?

Kapłan zamrugał i nerwowo wytarł usta dłonią. Naprawdę miał ochotę się napić.

Przeniósł wzrok na figurę Najświętszej Panienki, po czym znów spojrzał na nieznajomą. Z głośnym sieknięciem usiadł obok niej w ławce.

- To długa historia.

- Mam czas.

Spojrzał w zwierciadlane oczy nieznajomej i na swoje bliźniacze odbicie. Może faktycznie po tylu latach nadszedł czas, by wreszcie opowiedzieć tę historię.

- Nigdy tak naprawdę nie znałem swoich rodziców. Moją matkę bardzo wcześnie zmogła reumatyczna gorączka. Gdy zmarła, miałem zaledwie trzy miesiące. Mój ojciec zginął w wypadku drogowym, kiedy miałem cztery lata. Zamieszkałem z moją dalszą rodziną. Ciotkę i wuja nie mógłbym nazwać złymi ludźmi, ale nie mieli dzieci i byli już starzy. Nie wiedzieli, co mają ze mną począć, więc postanowili, że skoro mnie przygarnęli, będę pracować na ich farmie.

Nie bili mnie ani nie molestowali, w każdym razie nie w takich kategoriach, w jakich dziś rozpatruje się te pojęcia. Nie potrafili jednak okazywać uczuć ani mnie, ani wobec siebie. Jak już wspomniałem, traktowali mnie dobrze, ale nigdy nie stałem się dla nich kimś bliskim,

na zawsze pozostałem ich dalekim krewnym. A ja dorastałem i bardzo dobrze się uczyłem. Byłem pilny i bystry. Trudno mi było jednak znaleźć sobie przyjaciół. Moja ciotka i wujek nigdy nie tańczyli. Nie słuchali muzyki. Nie lubili zabaw ani rozrywek. Chodzili za to do kościoła. Tam właśnie spotkałem ojca Raymonda.

Spojrzał na mnie i zobaczył samotnego sierotę. Postanowił, że weźmie mnie pod swą opiekę. Taka jest wszak rola księdza, być ojcem dla wszystkich dzieci Bożych z całej parafii. To ojciec Raymond odkrył we mnie wielki głód wiedzy, to on załatwił mi stypendium na uniwersytecie im. Loyoli. To ojciec Raymond nakłonił mnie, abym poszedł do seminarium. Okazywał mi moc życzliwości i wsparcia, a ja postanowiłem, że chcę zostać właśnie takim jak on.

Jak już mówiłem, seminarium ukończyłem w roku 1959. Miałem wówczas dwadzieścia cztery lata, głowę pełną ideałów, a serce tryskające naiwnością i energią. W niecały rok później Ameryka wybrała na swego prezydenta pierwszego w swej historii katolika, ja zaś byłem pewien, że już wkrótce nastąpią wielkie, przełomowe wydarzenia. Chciałem dopomóc dzieciom z sierocińca, by odnalazły siebie, tak jak mnie pomógł kiedyś ojciec Raymond. Pierwsze lata kapłaństwa spędziłem, nauczając w kilku parafialnych szkołkach dla upośledzonych. Wreszcie w 1969 roku wysłano mnie do sierocińca dla chłopców pod wezwaniem św. Iwa.

Nie była to placówka zamożna, utrzymywała się głównie z datków i dotacji, o które całymi dniami zabiegał dyrektor, tak więc księża i braciszki zajmujący się dziećmi nie byli zbyt ściśle nadzorowani.

Z początku nie myślałem o tym wiele, aż w końcu zwróciłem uwagę na jednego z kapłanów, brata Martena. Zaczęło się od drobiazgów, choćby drobnych gestów, które dziwnie się przeciągały, gdy dotykał niektórych spośród młodszych chłopców. Było coś niezdrowego

w jego zachowaniu i osobliwych zainteresowaniach. Podejrzana wydała mi się gorliwość, z jaką zwykł sprawdzać, czy bielizna chłopców nie nosi śladów nieprzystojnych polucji.

Żywiłem pewne podejrzenia, lecz brakowało mi pewności. Nie odważyłem się powiedzieć o nich dyrektorowi w obawie przed skandalem, jaki mogłem przez to wywołać. Wiedziałem, że nie wpłynęłoby to pomyślnie na kolejne dotacje, na które liczył nasz ubogi sierociniec.

Wkrótce potem jeden z ulubieńców brata Martena, drobny sześciolatek o twarzy aniołka, został zabrany przez dalekich krewnych. Najwyraźniej chłopiec powiedział rodzinie coś, co wzbudziło jej podejrzenia i krewni powiadomili policję. Dyrektor udał się do biskupa, a ten załagodził sprawę, zarówno z policją, jak i z opiekunami chłopca. Brat Marten został usunięty z sierocińca i - jak sądziłem - odszedł ze stanu kapłańskiego. Było to w roku 1971.

Pozostałem u św. Iwa jeszcze przez cztery lata, po czym przeniesiono mnie do sierocińca św. Lewana. Wyobraź sobie, jaki przeżyłem szok i konsternację, gdy po przybyciu na miejsce zastałem tam brata Martena! Byłem wściekły. Poszedłem do dyrektora i opowiedziałem mu wszystko o ekscesach związanych z bratem Martenem, on jednak nie potraktował mnie poważnie i oskarżył o sianie zamętu. Przez ponad rok zmuszony byłem współpracować z bratem Martenem. Starłem się możliwie jak najlepiej pilnować chłopców i czuwać, by nie stało się im nic złego, lecz ostatecznie zawiodłem. Był tam pewien chłopiec o imieniu Christopher. Miał niespełna cztery latka.

Ojciec Eamon przerwał i nerwowo zaczerpnął tchu, kierując wzrok ku sklepieniu kościoła. Przez kilka chwil mrugał powiekami i w końcu zboliałym głosem podjął swój monolog.

- Christopher był pięknym dzieckiem. Absolutnie cudownym. Miał wielkie, łagodne oczy jak sarna. Nie sposób było nań spojrzeć, aby go nie pokochać. Opiece nad takimi właśnie dziećmi pragnąłem poświęcić swe życie...

Głos ojca Eamona zadrżał i zaczął się łamać. Wspomnienia były zbyt bolesne. Nawet po tylu latach ból wciąż pozostawał dotkliwy, a rana świeża. Zamknął oczy, lecz wciąż widział twarz malca, tyle że teraz nie było już alkoholu, który przytępiłby mu zmysły i zmącił obraz. Drżącą ręką otarł łzy z twarzy.

- Odnalazłem go w szafie. Slipki miał wepchnięte do gardła tak głęboko, że się udusił.

Wiedziałem, kto to zrobił. I ta świadomość przepelniła mnie szaleńczym gniewem. Zacząłem szukać Martena. Znalazłem go w piwnicy, gdzie zamierzał spalić w piecu swoją bieliznę.

Była poplamiona krwią i czymś jeszcze. Oskarżyłem go o gwałt i zamordowanie tego małego, precudownego chłopca. Skurwiel zaatakował mnie szuflą do węgla.

Mali chłopcy mogli się go bać, ale z dorosłym nie miał żadnych szans. Wyrwałem mu szuflę - oczy ojca Eamona zwęziły się, wyglądał jak ktoś, kto jest poddawany zabiegowi chirurgicznemu bez znieczulenia. - Przez krótką chwilę po prostu nad nim stałem ze świadomością, że cała sprawa znów zostanie zatuszowana jak u św. Iwa. Wiedziałem, że brat Marten nigdy nie trafi za kratki. W najlepszym razie mógł zostać wykluczony ze stanu kapłańskiego. W najgorszym otrzyma przeniesienie na nową parafię i wszystko znów zacznie się od początku. Tak czy owak dzieci były w niebezpieczeństwie. Dzieci takie jak Christopher. Biedny, niewinny Christopher.

Rozwaliłem bratu Martenowi łeb szuflą.

Policja uznała, że zrobiłem to w samoobronie. Archidiecezja również rozgrzeszyła mnie z tego czynu. Potrzebowano „księdza bohatera”, aby zatarł niesmaczne wspomnienia związane z osobą „pedofila - zabójcy w sutannie”. Przekonywałem sam siebie, że postąpiłem właściwie, że stałem się narzędziem Bożego gniewu. Było to jednak kłamstwo. Gdy tak stałem nad Martenem, słuchając, jak jęczy i błaga o litość, nie czułem nic prócz nienawiści! Kapłan powinien nienawidzić grzechu, lecz miłować grzeszników, a ja nienawidziłem tego

człowieka. Pałałem do niego nienawiścią za to, co uczynił temu biednemu dziecku!

Nienawidziłem siebie, że nie było mnie tam, gdy Christopher mnie potrzebował! Nie miałem w sercu Boga, gdy opuściłem szuflę na czaszkę tego zbrojnika i zdawałem sobie z tego sprawę. Wkrótce potem zacząłem pić. W roku 1982 przeżyłem załamanie nerwowe.

Archidiecezja wysłała mnie do zakładu zamkniętego. Po sześciu tygodniach uciekłem stamtąd. Przejąłem niewielki spadek pozostawiony po śmierci mego wuja i ciotki i od tej pory z tego się utrzymywałem.

O „parafii potępionych” usłyszałem, będąc jeszcze w seminarium. Odnalezienie jej zajęło mi rok. Przewędrowałem szmat drogi, ale w końcu natrafiłem na Umarłe Miasto.

Ludzie na różne sposoby są w stanie odnaleźć to miejsce, gdy ich życie straci sens i nie mają się gdzie podziać. Mieszkam tu od dwunastu lat, co noc upijając się na umór i modląc się, aby Bóg dał mi znak, że zostało mi wybaczone. Modlę się jednak na próżno, gdyż tak naprawdę nie żałuję swoich postępków. Nie mam wyrzutów sumienia z powodu tego, co uczyniłem.

Moja dusza została skalana krwią istoty ludzkiej, lecz nie jest to krew brata Martena.

- Nie możesz sobie wybaczyć z powodu tego chłopca.

- Zawiodłem go. Obiecałem, że nie spotka go nic złego - i skłamałem. Co noc przez ostatnie dwadzieścia lat, gdy tylko zamykam oczy, widzę go, jak leży w tej szafie, zimny i martwy. Czasami budzę się, dławiąc się tak, jak on musiał się dusić, zanim skołał.

- Ojczy, to nie była twoja wina. Zadręczasz się na próżno.

- Lekarze w zakładzie mówili dokładnie to samo. Ale mylili się. Ty także się mylisz.

Tego dnia umarło wszystko, co czyniło mnie kapłanem. Teraz jestem jednym z potępionych.

Właśnie dlatego odnalazłem Umarłe Miasto. Ponieważ Tu jest moje miejsce. - Wstał z ławki, usiłując opanować drżenie ciała. - Ja... muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Wybacz mi, proszę. Gdybyś mnie potrzebowała, będę na dzwonnicy.

Cloudy zlustrował uliczkę, przerzucając przenośną chłodziarkę z prawej ręki do lewej.

Ulice były jak na tę porę dziwnie puste. W sumie nocna przechadzka po Umarłym Mieście nie należała do najprzyjemniejszych, jednak Cloudy nie miał wyboru. Namierzenie handlarza czarnorynkową krwią zajęło mu niemal cały dzień. Zanim zaszło słońce, dokonał zakupu i o zmierzchu wrócił do Umarłego Miasta. Obiecał, że dostarczy nieznajomej towar, a on zawsze dotrzymywał słowa. Poza tym z tego, co usłyszał od księdza, wynikało, że wampirzyca może nie przetrwać nocy. Teraz musiał jedynie dotrzeć do kościoła św. Everhilda i nie dać się złapać sługusom Eshera.

Kiedy wyszedł z alejki, drogę zastąpił mu krępy, ogorzały osiłek w barwach Pointersów.

- Proszę, proszę, co my tu mamy!

Drugi, równie potężny Pointer wyłonił się z ciemności za plecami Cloudy'ego.

- Jakiś frajer odważył się złamać przepisy godziny policyjnej. E, stary! Nie wiesz, że mamy stan wyjątkowy?

Cloudy poruszył się nerwowo, usiłując nie tracić z oczu obu osiłeków krążących wokół niego jak sępy.

- Stan wyjątkowy? Kto go ogłosił?

- A jak sądzisz, dupku? Sam król Piekieł, lord Esher, władca pieprzonego Umarłego

Miasta! - Pierwszy Pointer uśmiechnął się. Szturchnął palcem w niesioną przez Cloudy'ego zamrażarkę. - Co tam niesiesz, palancie? Mamy rozkaz przeszukać i przesłuchać każdego, kogo napotkamy po zmierzchu.

- To nic, co mogłoby was zainteresować. Puśćcie mnie, dobra?

Drugi Pointer podszedł bliżej, szczerząc się złowrogo.

- Mój kolega zadał ci pytanie, co tam taszczysz, staruchu.



Może powinniśmy sami to obejrzeć.

Cloudy chlasnął pierwszego osiłka nożem, jednym cięciem pozbawiając go kciuka.

Gangster złapał się za rękę, z której buchnęła krew; wydawał się bardziej zaskoczony niż oszołomiony bólem.

- Kurrwa mać!

Cloudy wyminął Pointera stojącego mu na drodze, ten, który stał za nim, znajdował się zbyt blisko. Osilek przewrócił go na ziemię z taką siłą, że impet zderzenia wycisnął mu powietrze z płuc. Krzyknął, gdy jego obojczyk pękł jak zapalka.

Pierwszy z młodych bandytów, ten bez kciuka, kopnął Cloudy'ego tak mocno, że hipis aż podskoczył.

- Ten skurwiel mnie dziabnął! - zaskomlił. - Rozpierzdołę sukinkota!

Z cieni wybiegł trzeci opryszek, przywabiony wrzaskami i odgłosami bójki.

- Co się tu dzieje?

- Ten kutas mnie zranił! Oto co się dzieje! - warknął ranny opryszek, wymierzając

Cloudy'emu potężnego kopniaka w żołądek.

- Co jest w chłodziarce?

- Nie mam pojęcia - odparł Pointer, wzruszając ramionami. - Ten stary buc nie chciał nam pokazać. Pewno trzyma tam bimber. W tej dziurze została już tylko garstka meneli i ćpunów.

- To może zajrzyjmy do środka i zobaczymy, co Czerwony Kapturek ma w koszyczku?

- Trzeci Pointer uśmiechnął się do na wpół przytomnego, zakrwawionego Cloudy'ego. - Czy to prawda? Masz tam zapas księżycówki i nie chciałeś się nim podzielić? Oj, nieładnie, nieładnie! - Jego uśmiech przygasł, gdy sięgnął do zamrażarki i wydobył plastikowy woreczek z ludzką plazmą. - Zaprowadźcie go do lorda Eshera. Natychmiast!

Esher siedział na tronie z podbródkiem podpartym na zaciśniętej pięści i wpatrywał się w przestrzeń. Po wielu latach snucia planów został wreszcie nie kwestionowanym księciem Umarłego Miasta. Teraz on kontrolował cały handel bronią i narkotykami z terenu Wschodniego Wybrzeża. Nikt nie będzie mu już wchodził w paradę. Po tylu dekadach oczekiwania stał się jednym, jeżeli nie jedynym, spośród najpotężniejszych książąt Ameryki. Miast jednak odczuwać radość i satysfakcję wynikającą z ostatecznego unicestwienia znenawidzonego wroga, przepełniała go wyłącznie pustka. Cóż mu po zwycięstwie nad Sinjonem, skoro nie miał Nikoli ani Decimy, aby mogły dzielić z nim jego sukces? Ucieczka nieznajomej stanowiła jeszcze jedną łyżkę dziegciu w tej beczce miodu. Nie lubił być wystrychiwany na dudka. Ta lustrzanooka dziwka zapłaci za wszystko, co mu zrobiła, i to słono!

- Lordzie Esherze!

Wyrwany z zamyślenia uniósł wzrok i marszcząc brwi spojrzął na osiłka z plastikową chłodziarką w dłoni.

- Co tam masz? Nie widzisz, że jestem zajęty?

- Pochwyciliśmy jeńca, panie, i pomyśleliśmy, że powinieneś sam go zobaczyć. -

Pointer trzymający w dłoni chłodziarkę skinął na swoich kompanów, którzy wprowadzili posiniaczonego i okrwawionego Cloudy'ego do komnaty audiencyjnej. - Zatrzymaliśmy go za włóczenie się po ulicy po godzinie policyjnej. Gdy zażądaliśmy, by pokazał, co ma w chłodziarce, zaatakował nas.

- Pokaż mi to - uciął Esher. Wyjął schłodzone torebki z plazmą, spoglądając na etykiety jak koneser win, po czym ponownie włożył je do chłodziarki. - Podprowadźcie go bliżej.

Pointersi zaciągnęli oszołomionego hipisa przed podwyższenie i zmusili, by ukląkł

przed władcą wampirów.

- Znam cię - wysyczał Esher. - To ty próbowałaś ratować tego chłopca. Tego, którego miała dla mnie usunąć. Mów, gdzie ona jest, staruchu, a pozostawię cię przy życiu.

- Pocałuj mnie gdzieś, szcurzy pomioście! - burknął Cloudy. - Nic ze mnie nie wyciśniesz!

Uśmiech Eshera był cienki i ostry jak brzytwa.

- Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewny.

Nieznajoma siedziała przechylona w kościelnej ławce, wpatrując się w cienie rzucane przez migoczące płomyki wotywnych świec. Miała nadzieję, że Cloudy już niedługo się zjawi. Z każdą chwilą jej serce biło coraz słabiej. To dziwne, gdy czujesz, że umierasz, komórka po komórce. Zastanawiała się, kiedy w końcu straci przytomność. Może wcale. Może na tym polegało przekleństwo nieumarłych - że umierałeś, lecz do samego końca pozostawałeś świadomy i choć czułeś, jak gnijesz od środka, nic nie mogłeś na to poradzić.

Rozległ się huk, gdy drzwi na dzwonnicy otworzyły się na oścież i do kościoła wpadł rozgorączkowany ojciec Eamon. Dyszał ciężko, a jego twarz przybrała ciemnoczerwoną barwę.

- Mają go! - wysapał.

- Kogo? - Spróbowała się wyprostować, lecz był to dla niej zbyt wielki wysiłek.

- Cloudy'ego! Widziałem to z dzwonnicy! Złapali go! Nieznajoma przechyliła się w ławce jeszcze bardziej.

- A więc to już koniec.

- Chyba nie sądzisz, że zdradzi Esherowi, gdzie się ukrywasz, prawda?

- To bez znaczenia. Bez tej krwi jestem zgubiona. Już po mnie. - Wstała chwiejnie, krzywiąc się z wysiłku. - Chyba nie ma sensu odwlekać tego, co nieuniknione?

Ojciec Eamon zastąpił jej drogę.

- Dokąd się wybierasz?

- Muszę pomóc Cloudy'emu.

- Przecież powiedziałaś, że bez krwi nie masz żadnych szans!

- Ojczy, nie mogę tu siedzieć i pozwolić, aby Cloudy zginął. Ryzykował dla mnie

życiem, muszę wyciągnąć go z tego gniazda żmij! A teraz błagam, zejdź mi z drogi. Muszę to zrobić i nie próbuj mi w tym przeszkodzić. - Odepchnęła ojca Eamona z drogi i znalazła się w przejściu prowadzącym do drzwi frontowych. Skrzyżowała ręce na piersiach, aby stłumić ból, postąpiła krok naprzód i upadła.

Ojciec Eamon ukląkł przy niej i odwrócił jej wiotkie ciało, tak by znalazło się w jego ramionach. Zdecydowanym gestem zdjął lustrzanki i wzdrygnął się na widok jej przekrwionych oczu o wydłużonych, pionowych, gadzich źrenicach.

- Umierasz.

- Zauważyłeś - wyszeptła.

- Potrzebujesz krwi. - Kapłan spojrzał na posąg Matki Boskiej, a potem na krzyż

wiszący nad zdemolowanym ołtarzem. Nie ujrzał cudownych łez ani ociekających krwią stygmatów, ale nie potrzebował już tak wyrazistych znaków, by wiedzieć, jak powinien teraz postąpić. Ze spokojem uniósł obie ręce i zdjął z szyi koloratkę. - Wypij moją.

Oczy nieznajomej rozszerzyły się.

- Ojczy, nie wiesz, co mówisz...

- Wręcz przeciwnie. Wiem doskonale. Po raz pierwszy od wielu lat nie mam

wątpliwości. Nie mam pojęcia, czy jesteś aniołem, czy istotą z piekła rodem, ale wiem, że

Esher to diabeł wcielony. Wielu rzeczy nie wiem albo nie rozumiem, jednego jestem jednak

pewien - wszystko, czego doświadczyłem w swoim życiu, miało tylko jeden cel, doprowadzić

mnie tu, do tego miejsca, abym teraz mógł przy tobie uklęknąć. Nikt inny prócz mnie nie mógł przyjąć na siebie tej ofiary.

Przytulił ją do siebie jak śpiące dziecko, unosząc jej głowę i opierając o swoje ramię.

Zamknęła oczy, aby nie widzieć żył pulsujących w jego szyi. Czowała jego krew przepływającą tuż pod skórą. Słyszała szmer krwi pompowanej przez pracujące uporczywie stare serce.

Świerzbiły ją kły, czowała nieodparte pragnienie, aby wbić je w odsłoniętą szyję kapłana.

- Ojczy... nie... nie rób mi tego. Nie każ, bym cię zabiła - wyszeptała, usiłując wyrwać się z jego uścisku.

- Niech cię o to głowa nie boli. Ja już od wielu lat jestem martwy. Umarłem tego samego dnia co Christopher.

Oblizwała wargi, powiodła językiem po skórze jego szyi. Poczowała smak potu, brudu i człowieka. Zadrzała, gdy poczuła, że jej wewnętrzny opór zaczyna słabnąć, wypierany przez nienasycone pragnienie. Otworzyła usta szerzej i jej kły wysunęły się w pełni.

- ZRÓB TO - zasyczał w jej uchu głos Innej. SKORO TAK BARDZO PRAGNIE ZOSTAĆ MĘCZENNIKIEM, UMOŻLIW MU TO! JEŚLI TEGO NIE ZROBISZ, UMRZEMY OBIE, I DOKĄD WÓWCZAS TRAFIMY? DO NIEBA? DO PIEKŁA? A MOŻE Z POWROTEM, TAM GDZIE SIĘ TO WSZYSTKO ZACZEŁO DAWNO TEMU?

Ojciec Eamon zadrzał, gdy zatopiła kły w jego szyi, po czym rozluźnił się wskutek działania zawartego w jej ślinie naturalnego środka znieczulającego. Wiedział, że wysączyła z niego krew, ale nie odczuwał bólu. Wręcz przeciwnie, było mu dobrze. To było przyjemniejsze niż szum w głowie po wypiciu butelki whisky. Nie czuł lęku, gniewu ani nienawiści, a jedynie osobliwe zawieszenie, które pojawia się na ułamek sekundy przed zaśnięciem.

Skierował wzrok ku gipsowej Madonnie i ujrzał mleczo - białe oraz krwawe łyżki ściekające po jej popękanych, obłazących z farby policzkach. Coś zatrzepotało mu w piersi jak kartka papieru nadziana na drut kolczasty, a potem usłyszał dźwięk przywodzący na myśl stłumiony trzepot skrzydeł. Ojciec Eamon spojrzał w górę, ku belkom stropowym i zobaczył siedzącego na jednej z nich Christophera otoczonego stadkiem białych gołębic i kołyszącego nóżkami.

Malec uśmiechnął się do ojca Eamona i pomachał rączką.

Nieznajoma zlizwała krew z warg, gdy głowa ojca Eamona, który wydał właśnie ostatnie tchnienie, opadła ciężko do tyłu. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz jej ofiara umarła równie cicho i bez walki. Błede oblicze kapłana przepełniał dziwny spokój, w migoczącym blasku wotywnych świec martwy mężczyzna wyglądał prawie jak anioł.

Poczuła, że jej ciało zaczyna się regenerować, wracały jej siły. Wciąż jeszcze nie była u szczytu możliwości, ale na to nic już nie mogła poradzić. Doszła do siebie na tyle, by rzucić wyzwanie Esherowi i pokazać, na co ją stać. Podniosła się bez wysiłku, biorąc na ręce ciało ojca Eamona.

Ułożyła zwłoki księdza na ołtarzu, skrzyżowała mu dłonie na piersiach. Założyła mu na szyję różaniec i ustawiła ze świec wotywnych Drogę Krzyżową. Każda świeca oznaczała jedną stację. Potem wyjęła sprężynowiec i w drewnie ołtarza wyryła następujące epitafium:  
TU SPOCZYWA ŚW. EAMON - OBRONCA POTĘPIONYCH.

## **ROZDZIAŁ 12**

Dom Eshera wznosił się posępnie i samotnie ponad ruinami Umarłego Miasta, jego kształt odcinał się złowieszczo na tle wschodzącego księżyca. Grobowa cisza otoczenia sprawiała, że bardziej niż kiedykolwiek przypominał gigantyczne mauzoleum, domenę umarłych, unikaną przez żyjących. Nie było już przy nim punktów kontrolnych, a garstka

wartowników stojąca na chodniku paliła papierosy i rozmawiała szeptem między sobą. Nieznajoma obserwowała ich z cienia przez dłuższą chwilę, rozważając możliwości dalszego postępowania. Czy w celu unieszkodliwienia tej garstki osiłków warto było wchodzić w Akcelerację? Widmowy krok pochłaniał mnóstwo energii, a tej akurat nie miała pod dostatkiem. Poza tym, gdy tylko przestąpi próg, Esher ją wyczuje. Element zaskoczenia zniknie, zanim zdążyłaby z niego skorzystać. Nie, musiała skorzystać z innego wejścia. Wpełzła do jednej z odkrytych piwnic, które ziały dokoła w ziemi jak leje po bombach. W połowie drogi na dół zorientowała się, że na dnie spoczywa cała masa ciał. Pointersi, którzy przetrwali rozruchy i atak na fortecę Sinjona, przemienili tę piwnicę w masowy grób, wrzucając do niej ciała swoich kolegów, zamiast pochować każdego z nich z osobna. Choć smród był potworny, dopiero za dzień lub dwa fetor stanie się naprawdę nie do zniesienia.

Przez kilka chwil przerzucała zwłoki, aż w końcu odnalazła wejście do tunelu. Nie było ono duże, zatem uznała, że nie korzystano zeń zbyt często. Było jej to na rękę. Ściany tunelu nie zostały oszalowane i wyglądały tak, jakby korytarz wydrążyła wielka, żyjąca pod ziemią istota. Musiała czołgać się poprzez ciemność na brzuchu, podciągając się do przodu na łokciach i kolanach. Gdy tak pełzła przed siebie, w duchu modliła się, by nie napotkać po drodze jakiegoś Spokrewnionego z enklawy Eshera, podążającego w przeciwnym kierunku. Sprawy i tak mocno się już skomplikowały.

Po kilku długich, klaustrofobicznych minutach ujrzała w oddali przed sobą słabe światło. Ostrożnie podpełzła bliżej i stwierdziła, że dotarła do podziemnej groty pełniącej funkcję baraków dla rekrutów Eshera.

W olbrzymim pomieszczeniu nie było ani jednego ze Spokrewnionych. Bezszelestnie wyczołgała się z tunelu, po czym energicznie otrzepała z grudek ziemi włosy oraz ubranie.

Teraz, gdy już znalazła się w środku, musiała dowiedzieć się, gdzie przetrzymywano Cloudy'ego, a w tym szalonym tunelu strachu nie sposób było tego stwierdzić. Mogła jedynie liczyć, że zdoła odnaleźć loch, gdzie ją przesłuchiowano; mieścił się on w jednej z odnog głównego korytarza katakumb. Pokonując w odwrotnym kierunku tę samą co wczoraj drogę, poczuła krew Eshera pulsującą w jej wnętrzu niczym drugie serce. Gdy była osłabiona, ignorowanie zewu przychodziło jej ze znacznie większą łatwością, teraz natomiast stało się ono niemal równie natarczywe jak złowroga obecność Innej.

Na swój perwersyjny sposób Inna przygotowała ją do spotkań z osobnikami pokroju Eshera. Ponieważ poświęciła wiele lat na opanowanie sztuki tłumienia swej wampirzej osobowości, bez trudu przejrzała poczynania maga, który podstępem próbował przejąć nad nią kontrolę. Słabszy wampir mógłby mylnie przyjąć pragnienie Eshera jako własne i zareagować bez namysłu.

Drzwi do pokoju przesłuchań były otwarte. Weszła do środka. Pomieszczenie wyglądało prawie tak samo jak ubiegłej nocy, znikło jedynie pozostawione przez nią w kącie ciało Decimy, a na ścianie ktoś ludzką krwią napisał: ON JEST ZE MNĄ.

- Ach, spójrzcie, kto się zjawiał!

Esher siedział pod witrażowym oknem zwieszającym się nad jego tronem, opierając stopę na ciele Cloudy'ego. Broda starego hipisa była jasnoczerwona, a lewe oko i policzek tak obrzmiałe, że wyglądały, jakby ktoś chirurgicznie wprowadził mu pod skórę grejpfruta; mimo wszystko mężczyzna nadal oddychał. Pod ścianami komnaty stali rzędami Pointersi i Spokrewnieni, ich oczy błyszczały jak ślepia szczurów kanałowych.

- Puść go, Esherze - rzekła nieznajoma. - Masz mnie, on nie jest ci już potrzebny.

- Wręcz przeciwnie, moja piękna. - Esher uśmiechnął się, szturchając Cloudy'ego czubkiem buta. - Jest mi niezbędny. Bądź co bądź, to on ochraniał tego gnojka. Musi zatem



wiedzieć, gdzie jest Nikola.

- Nikola nie żyje. Zginęła w Czarnej Łoży.

- Nie pluj mi w twarz i nie wmawiaj, że pada! - warknął Esher. - Gdyby Sinjon ją miał, po pierwszych trzech minutach wyrzuciłby ją przez najbliższe okno! Nie, dopiero teraz uświadomiłem sobie, że uprowadzenie mojej oblubienicy nie było jego, lecz twoim dziełem. Nie wiem, dlaczego chciałaś wmanipulować mnie i Sinjona w dżihad, czy sądziłaś, że unicestwimy się nawzajem, pozostawiając Umarłe Miasto tobie? O to ci chodziło? Jesteś ssakiem spiskującym za ogonami dinozaurów?

- Nie pojałbyś motywów, które mną kierują, nawet gdybym ci je wyjawiała. Ale masz rację przynajmniej w jednej kwestii - przybyłam tu w ściśle określonym celu, aby unicestwić was obu - ciebie i Sinjona.

Esher wstał i odsunął się od Cloudy'ego, łypiąc gniewnie na nieznajomą.

- Kim jesteś, kobieto? Czy przysłała cię Camarilla? Jesteś jedną z Archontów?

- Camarilla! - Odwróciła głowę i splunęła. - Nie cierpię Camarilli, podobnie jak ciebie, Esherze!

- Odpowiedz, u licha! Kim jesteś? Wyjaw mi swoje imię!

- Chcesz wiedzieć, kim jestem? Jestem cieniem, którego lękają się potwory.

Koszmarem, który nawiedza sny umarłych! Spójrz w najgłębszy zakamarek swego czarnego serca, a odnajdziesz mnie tam! Jestem pogromcą umarłych, zabójczynią potępionych! Jestem tym, czego obawiasz się nade wszystko - jestem twoją śmiercią, Esherze!

Obecni na sali zaczęli szemrać, widać było, że są zaniepokojeni.

Esher uciszył szepty, wykonując energiczny ruch ręką.

- Wielkie słowa jak na małą zdrajczynię, którą jesteś! - mruknął ironicznie. - Sądzisz, że zaniepokoją mnie twoje chełpliwe słowa, anarchistko? Kimże jesteś, że ośmielasz się

rzucić mi wyzwanie? Mnie... magowi Tremerów? Jestem księciem tego miasta i ugniesz przede mną kolana! - Podszedł do skraju podwyższenia i skierował palec wskazujący ku dołowi.

- Słyszałaś, suko, rozkazuję ci, abyś złożyła mi pokłon!

Poczuła w sobie impuls jego woli, rozbijający mur jej samokontroli. Zupełnie jakby niewidzialna dłoń zacisnęła się na jej karku, zmuszając, aby pochyliła głowę, ona jednak pozostała niewzruszona.

W oczach Eshera pojawiły się gniewne błyski, nie przywykł do podobnej zuchwałości i ze zdwojonym wysiłkiem podjął kolejną próbę.

- Powiedziałem - złóż mi pokłon!

Zebrani jak jeden mąż podchwycili słowa swego pana:

- ZŁÓŻ POKŁON! ZŁÓŻ POKŁON! ZŁÓŻ POKŁON!

Nieznajoma zacisnęła szczęki i skrzywiła się, gdy jej mięśnie zaczęły walczyć ze sobą.

Zupełnie jakby brała udział w przeciąganiu liny, którą w tym przypadku zastąpiono struną od fortepianu. Wola Eshera płonęła w jej wnętrzu jak rozżarzone do czerwoności węgle, nękał jej umysł z zaciekłością pitbulla. Zachwiała się pod naporem mentalnego ataku i choć krzywiła się z wysiłku, nie ustąpiła pola.

- Walcz, skoro tego chcesz, podstępna suko! - zagrzemiał Esher. - To i tak ci nie pomoże. Pokłoń mi się, a przynajmniej obdarzę cię łaską szybkiej śmierci!

Jeden z niewolników Eshera podbiegł i chwycił nieznajomą za włosy.

- Słyszałaś, co powiedział lord Esher! Na kolana, suko!

Uklęknij przed swoim panem!

Nieznajoma wbiła łokieć w mostek wampira, zmuszając go, aby ją puścił. Następnie złapała go jedną ręką za głowę, a drugą za szyję i szarpnęła z całej siły, obracając o 360°.

Szyja wampira wydała trzask przypominający odgłos przełamывanego selera i głowa nieumarłego pozostała w rękach nieznajomej. Rzuciła owo ponure trofeum Esherowi, a ten odruchowo je złapał.

- I po co się mieszałeś, głupcze? - warknął do oderwanego czerepu. - Nie potrzebowalem twojej pomocy, aby podporządkować ją mojej woli!

Oderwana głowa otworzyła usta, aby przeprosić za popełniony błąd, lecz nie miała już płuc, które mogłyby wypełnić krtań powietrzem. Oczy jeszcze przez chwilę poruszały się z boku na bok, jakby oceniały sytuację, po czym przeszklily się. Esher prychnął z odrazą i cisnął martwy czerep za siebie.

Nieznajoma stała w otoczeniu sług Eshera, którzy ruszyli naprzód z głodnymi błyskami w przywykłych do ciemności oczach. Zbliżali się do niej, oblizując wargi i świergocząc między sobą jak nietoperze.

- Odsuńcie się od niej! - ryknął Esher, przedzierając się przez tłum i kopniakami odtrącając na bok Pointersów i Spokrewnionych. - Ona jest moja! - Pozostali, pochylając nisko głowy, potulnie zeszli mu z drogi.

Obecnie Esher i nieznajoma znajdowali się na równym poziomie, dzieliła ich odległość zaledwie dziesięciu stóp. Zaczęli krążyć wokół siebie, miękko, powoli i ostrożnie jak zamknięte w jednej klatce pantery. Esher wydał niski, gardłowy warkot, jego oczy płonęły jak dwa ognie piekielne.

Nieznajoma wyjęła rękę z kieszeni i z jej pięści wystrzeliło srebrne ostrze. Oczy Eshera rozszerzyły się ze zdumienia i niepokoju, ale nie cofnął się ani o krok. Nieznajoma rzuciła się naprzód, mierzając w pierś Eshera, lecz pan wampirów z gracją matadora okręcił się na pięcie i gładko uniknął ciosu.

- Szybka jesteś, zdradziecka suko, ale czy dość szybka? - zadrwił, unosząc dłoń

pałającą karmazynowym ogniem. Wykonał zwód, próbując pochwycić ją płonącymi palcami.

Zakręciła się zwinnie jak baletnica, o włos unikając zetknięcia z ręką maga. Wyszła z obrotu z równoczesnym cięciem, Esher jednak był już poza jej zasięgiem.

Poplecznicy lorda Eshera oglądali ten pojedynek z boku, pokrzykując i skandując donośnie, podczas gdy dwa wampiry kontynuowały swój morderczy taniec. Było to znacznie bardziej ekscytujące niż którekolwiek z Wyzwań w Danse Macabre.

Nieznajoma skoczyła do przodu i w tej samej chwili Esher uczynił to samo, zamykając jej prawy nadgarstek w stalowym uścisku. Nieznajoma zdusiła w sobie krzyk bólu, gdy po jej ręce popłynęła w górę struga płynnego ognia. Ból był rozdzierający, zupełnie jakby ktoś przypalał jej ramię palnikiem acetylenowym. Spróbowała się uwolnić, ale bez powodzenia.

Esher nie puszczał jej, choć wyrywała mu się z wszystkich sił. Jej palce rozwarły się spazmatycznie i sprężynowiec wylądował na podłodze. Esher uśmiechnął się i szybko odkopnął nóż w bok, aby nie mogła go dosięgnąć. Członkowie enklawy w popłochu odskakiwali na boki, by srebrne ostrze choćby przypadkiem nie musnęło któregoś z nich.

- Jesteś naprawdę silna, zdradziecka suko - wysyczał Esher, wzmacniając uścisk. - Ale ze mną od początku nie miałaś najmniejszych szans, podobnie jak ten muzealny relikw, Sinjon! W porównaniu ze mną jesteś niczym! Niczym!

Czuła, jak krew burzy się w jej żyłach, parząc tętnice. Zupełnie jakby płynął w nich kwas lub lava. Krwawe łzy zaczęły sączyć się z jej oczu i ściekać po policzkach, pozostawiając na nich szkarłatne ślady. Magia krwi Tremerów mogła ugotować jej mózg jak jajko, a jej organy wewnętrzne podsmażyć i rozsadzić na strzępy jak kiełbaski w mikrofalówce. Nawet jak na umarłą był to paskudny rodzaj śmierci.

Zakołysała się, zachwiała i uklękła. Esher puścił jej nadgarstek i ująwszy za szyję, uniósł jej głowę, aby nie odrywała spojrzenia przekrwionych oczu od jego twarzy.

- Widzisz? A nie mówiłem, że padniesz przede mną na kolana, moja śliczna? Co mam z tobą począć?? Czy mam zrobić z twojej czaszki ozdobny puchar do wina? A może rozczłonkować cię, kawałek po kawałku, ale powoli, abyś mogła się zregenerować i nie zaznać dobrodziejstwa Ostatecznej Śmierci? Kusząca myśl, nieprawdaż? Sporo mnie kosztowałaś. Odebrałaś to, co było mi drogie. Wiele lat zajmie mi znalezienie i wyszkolenie kolejnej Decimy... - Jego twarz powoli rozpromienił uśmiech.

- Tak, to jest to! Zastąpisz Decimę! Uczynię cię moją niewolnicą i zmuszę, byś uznała mnie za swego suzerena. Jesteś do niej nawet trochę podobna, wystarczy kilka drobnych poprawek kosmetycznych. Potem zmienię ci imię, jakkolwiek ono brzmi, na Decima i staniesz się Decimą! Będzie tak, jakby ona nigdy nie umarła, a ciebie w ogóle nie było. Jakbyś nigdy nie istniała!

- Nie! Tylko me to! Wszystko, tylko nie to! - wychrypiała nieznajoma. - Błagam!

- Błaganiem nic nie wskórasz, podła, zdradziecka suko! - Pulsująca energia wokół dłoni Eshera zamigotała i zgasła, lecz pan wampirów wciąż trzymał nieznajomą za szyję.

Wolną ręką skinął na jednego z niewolników, który stał najbliżej. - Przynieś mi claive!

Sługa zwinnie wszedł na podwyższenie i po chwili wrócił, niosąc rytualny sztylet.

Esher odsłonił lewy nadgarstek, a niewolnik rozplatał go szybkim cięciem i aż się zdrygnął na widok krwi swego pana wypływającej powoli z rozszerzającej się rany.

Esher przytknął krwawiący nadgarstek do warg nieznajomej. Pokręciła głową i usiłowała się cofnąć, lecz wampir trzymał ją mocno.

- Nie, proszę! Nierób mi tego! - wykrzyknęła błagalnie.

- Pij, oto moja krew. Nasyć się i połącz ze mną, teraz i na wieki! Napij się i stań się jednością z moim ciałem i moją wolą! Wypij - i bądź potępiona!

- PIJ! PIJ! PIJ! PIJ! - zawtórowali zgromadzeni na sali.

Nieznajoma zamknęła oczy i kilka kropel krwi Eshera dostało się do jej ust. Jęknęła w głos, a potem sama uniosła ręce i zacisnęła na jego nadgarstku i przedramieniu. Uśmiech na twarzy władcy wampirów poszerzył się. Teraz była w jego mocy, nie mogła mu się oprzeć, musiała wykonać każdy jego rozkaz i każdą zachciankę. To było lepsze od zadania jej Ostatecznej Śmierci. Znacznie lepsze. Śmierć była dla takich jak ona zbyt szybką i nieadekwatną karą. Całkowite złamanie umysłu i zdruzgotanie duszy, to zupełnie co innego. Wymazanie jej tożsamości i uczynienie z niej kopii ukochanej Decimy podsunął mu jego zmarły od stuleci ojciec, który chlubił się tym, że w identyczny sposób zastępował swe gończe psy oraz małżonki, tworząc dość udatną iluzję, że wciąż obcuje z tymi samymi istotami.

Esher spróbował odsunąć rękę od wygłodniałych ust, ale nieznajoma wcale nie zamierzała go puścić. Jej uścisk wzmógł się.

Zaczęła szybciej niż do tej pory chleptać jego krew. Na twarzy Eshera pojawił się wyraz zaniepokojenia, gdy druga próba uwolnienia się z jej uchwytu również nie przyniosła rezultatu.

- Dość! - wyszeptał ochryple. - Puść mnie!

Nieznajoma otworzyła oczy, zerkając nań ponad krawędzią lustrzanek, ale nie zaprzestała odsączania. Nad jej głową i ramionami pojawiła się fioletowoczarna, świetlista poświata niczym nimb upadłego anioła.

- Puszczaj! - ryknął Esher, chwytając ją wolną ręką za włosy.

Ciemna energia wystrzeliła jak piorun, zmuszając go do cofnięcia ręki. Jego palce i wnętrze dłoni wyglądały, jakby włożył je do frytkownicy.

Rozkoszne uniesienie wywołane dzieleniem się krwią prysło; zastąpiła je przejmująca panika.

- Nie stójcie tak! - wrzasnął do swoich podwładnych. - Zabierzcie ją ode mnie!

Wampir, który podał Esherowi claive, postąpił naprzód, chwytając nieznajomą za kołnierz kurtki. W chwilę potem stanął w płomieniach. Pozostali Spokrewnieni cofnęli się, sycząc i osłaniając twarze przed buchającymi jęzorami ognia. Po minucie donośnych wrzasków i gwałtownego wymachiwania rękami palący się wampir upadł i zamilkł na zawsze. Nieznajoma tymczasem zapamiętała piła krew Eshera; włosy lorda zaczęły siwieć.

- O kurwa! - rzucił jeden z Pointersów.

- Ja cię kręcę - mruknął drugi.

- Zabierzcie ją ode mnie! To rozkaz! - zaskomlał Esher.

Kolejnych dwóch niewolników zbliżyło się do niej i podobnie jak pierwszy natychmiast zajęło się ogniem. Ci byli bardziej wysportowani niż ich poprzednik, wykonali salto do tyłu i wylądowali poniżej podium w tłumie Spokrewnionych, gdzie miotając się w konwulsjach, przenieśli ogień na innych krwiopijców. W ciągu zaledwie kilku sekund w komnacie audiencyjnej zaroilo się od palących się żywcem wampirów, które biegały dziko we wszystkie strony, podczas gdy ogień powoli, lecz nieubłaganie pochłaniał ich nieśmiertelność. Esher jęknął z bólu i upadł na kolana, był zbyt słaby i nie mógł już utrzymać się na nogach. Nieznajoma przestała pić, otarła usta wierzchem dłoni i wstała z klęczek.

- Och, lisie, proszę, nie rzucaj mnie w te wrzose! - zaśmiała się. - Wszystko, tylko nie to!

Esher próbował odczołgać się w głąb sali, ale był na to za słaby. Z potężnie zbudowanego, muskularnego władcy wampirów pozostała jedynie skóra i kości, wyglądał teraz jak chudy, wynędzniały staruszek o skórze usianej plamami wątrobowymi i mocno przerzedzonych siwych włosach. Paznokcie miał długie, haczykowate jak dziób drapieżnego ptaka, twarz wychudłą i trupioblada.

- Czym ty jesteś? - wychrypiał głosem suchym jak piasek na pustyni.

- Wampirzycą, która karmi się krwią wampirów - odparła. - Skosztowałam twojej i naprawdę bardzo mi posmakowała.

Esher uniósł kościstą dłoń do twarzy, trudno powiedzieć, czy w geście samoobrony, czy może nie chciał dłużej patrzeć na tę, która przyniosła mu zgubę, a która przyciągnęła go ku sobie w brutalnej parodii miłosnego uścisku i przytuliła twarz do jego zapadniętego policzka.

Na widok obnażonych kłów Esher aż się wzdrygnął.

- Powinieneś poczuć się zaszczycony, Esherze - uśmiechnęła się. - Jesteś dopiero drugim wampirem, którego pożarłam. Pierwszym był mój Ojciec. I muszę przyznać, że jesteś od niego znacznie smaczniejszy.

- Proszę, puść mnie, dam ci wszystko, czego tylko zechcesz...

- Czy jeżeli cię puszczę, pozwolisz Cloudy'emu i mnie bezpiecznie opuścić Umarłe Miasto?

- Tak! Oczywiście!

- Zostawisz w spokoju Nikole i Ryana?

- Przysięgam na moją krew, że nigdy, przenigdy nie będę próbował ich odnaleźć!

Nieznajoma rozluźniła uścisk, ale nie puściła Eshera, przez chwilę przyglądała się postarzałemu obliczu pana wampirów.

- Coś ci powiem... - mruknęła jakby po namyśle. - Jesteś parszywym kłamcą, a twoje słowo nie jest warte funta kłaków.

Wbiła kły w tętnicę Eshera jak szpunt do beczki. Krew, która zeń wypłynęła, była gęsta, ciemna i miała konsystencję oleju silnikowego. Smakowała wyjątkowo słodko. Nigdy jeszcze nie kosztowała czegoś równie dobrego. Powiedziała mu prawdę, rzeczywiście bardzo



jej smakował.

Im dłużej piła, tym szybciej lord się starzał. Jego usta szerniały i pomarszczyły się, odsłaniając ciemne dziąsła i kły zaciśnięte w upiornym grymasie. Skóra zaczęła odpadać z jego ciała wielkimi płatami, stracił również wszystkie włosy, paznokcie i zęby.

Esher wciąż próbował uwolnić się z jej uścisku, lecz pomimo iż wierzgał nogami i okładał ją pięściami, jego wysiłki okazały się daremne.

W odpowiedzi na ten atak nieznajoma tylko wzmogła uchwyt, łamiąc kręgosłup Eshera jak suchą gałąź. Wrzaski wampirów osiągnęły poziom ultradźwięków i przypominały teraz popiskiwanie nietoperza. Oczy zapadły mu się w oczodołach, a ciało, a raczej to, co z niego zostało, utraciło jędrność; rysy twarzy wykrzywił grymas niepojętego przerażenia.

Dom Eshera zakołysał się.

Nieznajoma przestała się pożywiać i pospiesznie rozejrzała się dokoła. Wnętrze komnaty audiencyjnej stało w płomieniach, gobeliny zostały podpalone przez ogarnięte paniką, biegające po całej sali, trawione żywym ogniem wampiry. Jednak to nie płomienie były odpowiedzialne za to, co poczuła przed chwilą?

Dom Eshera znowu się zakołysał. Tym razem odebrała to jak dreszcz, delikatne drżenie.

- Co się dzieje...?

- Moja magia... - wyszeptał Esher głosem starego, bardzo starego człowieka. - Moja magia jest połączona z moją krwią... z moją siłą życiową... gdy mnie zabraknie... nic nie zdoła ocalić Domu... utrzymać jego stabilności... To domek z kart... a ty... właśnie... usunęłaś... króla...

Dom znowu zadrżał, a na podłodze sali audiencyjnej pojawiła się szczelina o szerokości dwóch stóp. Nieznajoma upuściła Eshera na ziemię, po czym podeszła, by

podnieść Cloudy'ego, który wciąż nieprzytomny leżał u stóp tronu władcy wampirów.

Esher rozciągnięty jak długi znieruchomiał na podwyższeniu, jego bezużyteczne nogi wygięły się do tyłu jak suche, powykrzywiane patyki.

- Nie zostawiaj mnie tu! - zawył Esher. - Umarłe Miasto jest twoje! Oddaję ci samego siebie i wszystko, co posiadam, tylko zabierz mnie ze sobą!

- Wciąż nie rozumiesz, prawda? - westchnęła, przerzucając sobie Cloudy'ego przez plecy strażackim chwytem. - Możesz sobie zatrzymać to pieprzone Umarłe Miasto, szczerze mówiąc, uważam, że jesteś wprost stworzony dla tego miejsca! A teraz wybaczone, ale już muszę lecieć!

Z wnętrza budynku dobieg głuchy grzmot; Dom zatrzęsł się w posadach, jakby pociągnięto go w trzy strony równocześnie. Nieznajoma zwinnie przeskoczyła nad szczeliną, która otworzyła się w posadzce i przystanęła tylko na chwilę, aby podnieść z podłogi swój sprzęzynowiec.

- Nie! Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie tutaj...! - zawołał Esher, lecz jego głos utonął w przeciągłym łoskocie rozpadającego się w posadach Domu.

Dał się słyszeć suchy trzask pękającej metalowej liny; Esher uniósł wzrok i ujrzał wiszące nad podestem witrażowe okno, które zakołysało się niebezpiecznie jak wahadło z opowiadania poety. Ostatnią myślą, która zaświtała mu w głowie, zanim zmiotła ją tona metalu i barwnego witrażowego szkła, było wspomnienie Bakil.

Nieznajoma kopniakiem otworzyła drzwi do komnaty audiencyjnej i chwiejnym krokiem wyszła na korytarz. Jeżeli poruszanie się po Domu Eshera było piekłem, gdy lord miał nad nim kontrolę, teraz sytuacja przedstawiała się znacznie gorzej. Czy miała oczy otwarte, czy zamknięte, dokoła panował nieopisany chaos. Ściany krwawiły, a drzwi poruszały się na cienkich, krabich odnóżach, klamki zaś wydłużyły się i wyglądały jak czułki.

Dywan pod jej stopami wyglądał na zrobiony z prażonych cukierków ślazowych. Zacisnęła zęby i pomaszerowała naprzód, starając się nie zwracać uwagi na istoty pojawiające się na obrzeżach jej pola widzenia.

Skręciła za róg i napotkała grupkę Pointersów tonących po pas w podłodze korytarza.

Wyglądali jak karaluchy pochwycone w pułapkę klejową. Odwróciła wzrok, gdy podłoga targnął potężny skurcz i wyrznęła swoimi ofiarami o sufit z siłą prasy hydraulicznej.

Nieznajoma spojrzała w dół i zauważyła, że chodnik jak wąż próbuje owinąć się wokół jej kostek. Schwyciła mocniej Cloudy'ego i klnąc pod nosem, przyspieszyła kroku. Budowla ponownie zadrżała, rozległ się przeciągły jęk pękających belek. Z ledwością uchyliła się przed krokwią, która przebiła się z góry przez wszystkie piętra aż do piwnicy. W powietrzu wokół niej wirowały chmury gipsowego pyłu, kurz, gruz i drewniane drzazgi. Wyglądało to tak, jakby Dom Eshera próbował zapaść się w głąb siebie.

Nagle, choć nie pamiętała, by napotkała po drodze jakieś drzwi, znalazła się na zewnątrz, po prostu ściana na wprost niej przestała istnieć. Chwiejąc się na nogach przeszła szybko przez ulicę, w obawie, by nie przysypała ją lawina cegieł lub walący się komin.

Jej samej zapewne by to nie zaszkodziło, ale wątpiła, czy Cloudy zdołałby przeżyć podobną przygodę. Dopiero gdy uznała, że oddaliła się na bezpieczną odległość od Domu Eshera, położyła swoje brzemie na ziemi i odwróciła się, aby obejrzeć upadek świetnej ongiś budowli.

Odniosła wrażenie, że budynek miał ukryte zawiasy i był składany do wewnątrz przez parę wielkich niewidocznych dłoni. Przypominało jej to pokaz iluzjonistyczny, podczas którego magik złożył pudło wielkości samochodu do takich rozmiarów, że mogło je unieść dziecko, tyle tylko, że tamto pudło składało się prawie bezgłośnie, a Dom Eshera czynił przy tym potworny hałas. Odgłosy miażdżonych na proch ścian i tłuczonego szkła nie były w

stanie zagłuszyć wrzasków dochodzących z targanego kolejnymi wstrząsami wnętrza.

Dostrzegła kilka okrwawionych postaci wyskakujących z okien na ulicę, lecz wszystko wskazywało na to, że większość sług Eshera, zarówno wampirów, jak i ludzi, została uwięziona wewnątrz budynku.

Rozległ się przeciągły, gardłowy jęk - przypominający trochę pieśń wielorybów - a zaraz potem Dom Eshera zniknął w gęstej chmurze kurzu i gipsowego pyłu. W jego miejscu pozostał tylko pusty plac. Nieznajoma zauważyła, że wraz z Domem musiały również zniknąć katakumby, gdyż teren, na którym zaledwie przed paroma sekundami wznosiła się budowla, był idealnie płaski.

- No cóż, Bogu dzięki, że już po wszystkim - wymamrotała nieznajoma, pochylając się, by znów przerzucić sobie Cloudy'ego przez ramię.

Staruszek miał dziwny, świszczący oddech, musiała zanieść go do szpitala. I nagle dostrzegła stojący opodal Batmobil. Otworzyła drzwiczki od strony kierowcy i pośpiesznie zlustrowała wnętrze wozu. Kluczyki wciąż tkwiły w stacyjce. Kierowca bez wątpienia ściekał teraz z sufitu w zaświatach czy jakimkolwiek innym piekielnym wymiarze, do którego powrócił Dom Eshera. Otworzyła tylne drzwiczki i delikatnie ułożyła Goudy'ego na siedzeniu. Stary hipis otworzył zdrowe oko, a jego ciało wyprężyło się jak struna.

- Spokojnie, Cloudy - wyszeptała. - Już jesteś bezpieczny.

- Ja... nic mu nie powiedziałem - wymamrotał bełkotliwie hipis przez to, co pozostało z jego zębów.

- Wiem.

Cloudy zamknął oko i ponownie stracił przytomność.

Pielęgniarka pełniąca dyżur w recepcji na OIOM - ie na dźwięk otwierających się automatycznych drzwi uniosła wzrok znad czytanego czasopisma. Trochę się zdziwiła na

widok wysokiej, szczupłej, białej kobiety po dwudziestce o nienaturalnie bladej cerze i krótko przyciętych, ciemnych, gęstych włosach, ubranej w wytartą, czarną skórzaną kurtkę, džinsy i martensy, w lustrzankach na nosie, dźwigającej na rękach dorosłego mężczyznę.

- Mój przyjaciel jest ranny - wyjaśniła krótko.

Po chwili zjawilo się przy niej dwóch pielęgniarzy ze składanymi noszami. Kobieta zawahała się przez chwilę, ale w końcu przekazała im swoje brzemie.

- Uhm, proszę pani?

Kobieta w lustrzankach odwróciła się, by spojrzeć beznamiętnie na pielęgniarkę za stołem recepcyjnym, która podała jej czysty formularz i długopis.

- Proszę to wypełnić.

- On nazywa się Cloudy - powiedziała kobieta w lustrzankach, po czym odwróciła się na pięcie i wyszła z budynku.

- Proszę poczekać! - zawołała w ślad za nią pielęgniarka. - Niech się pani zatrzyma!

Nie może go pani tak zostawić! Skąd mamy wiedzieć, czy ten człowiek jest ubezpieczony?

Cloudy leżał w szpitalnym łóżku. Jego lewą nogę włożono w gips i podwieszono na wysięgniku ortopedycznym. Prawy obojczyk i ramię hipisa również zostały w podobny sposób obandażowane i wzmocnione metalową podpórką, dzięki której ręka mężczyzny była stale wyprostowana i odchyłona pod odpowiednim kątem. Brodę i włosy umyto z krwi i wymiocin, a opuchlizna z jego lewego oka zeszała na tyle, że mógł je lekko otworzyć. Siedział po ciemku, sącząc przez słomkę sok jabłkowy i oglądając telewizję przy ściszym głosie. Parawan oddzielający jego łóżko od łóżka sąsiada był rozstawiony, więc pacjent nie mógł zobaczyć drzwi.

- Cloudy.

Podskoczył na łóżku, oblewając się sokiem.

- Wybacz, nie chciałam cię przestraszyć - powiedziała nieznajoma, wyłaniając się z cienia.

- Jezu - wykrztusił. - Przynajmniej jestem we właściwym miejscu, gdybym miał zaraz doznać ataku serca.

- Jak się czujesz? Co mówią lekarze?

- Że cholerny ze mnie farciarz. Mam złamaną nogę, rękę i wyrwany ze stawu bark.

Czeka mnie również seria wizyt u dentysty. Do tego dodać należy parę połamanych żeber i przebite płuco, ale łapiduchy nie doszukali się uszkodzeń mózgu i wygląda na to, że nie stracę oka.

- Co im powiedziałaś?

- Że zostałem napadnięty. Poniekąd jest to zgodne z prawdą.

Uniósł głowę i spojrzał na nieznajomą.

- Nie spodziewałem się, że po zeszłej nocy jeszcze cię zobaczę. Po co wróciłaś?

- Aby sprawdzić, jak się czujesz i pożegnać się. Poza tym przyszło mi na myśl, że podczas rekonwalescencji zechcesz trochę poczytać. - Podeszła bliżej i położyła na nocnym stoliku egzemplarz *Oxford English Dictionary*.

- Dzięki. Naprawdę doceniam, że o mnie pomyślałaś - rzucił Cloudy, uśmiechając się krzywo.

- Przyda ci się, kiedy już stąd wyjdiesz. Umarłe Miasto przestało istnieć, Cloudy, nie próbuj tam wracać. Za rok lub dwa zbudują w tym miejscu wielkie centrum handlowe albo kompleks biurowców.

- Dokąd, twoim zdaniem, powinienem się udać? Nieznajoma wzruszyła ramionami.

- Słyszałam, że w San Luis Obispo jest całkiem przyjemnie. Cloudy uśmiechnął się, ukazując puste dziąsła.

- Kapuję. Dzięki.

Gdy nieznajoma odwróciła się, aby wyjść, Cloudy zawołał do niej po raz ostatni.

- Panienko... wiem, że może to zabrzmieć niestosownie, ale chyba nie dosłyszałem, jak masz na imię?

Nieznajoma przystanęła, jej sylwetka odcięła się wyraźnie na tle parawanu. Było za ciemno, aby mógł zobaczyć, czy się uśmiechnęła.

- Nazywam się Blue. Sonja Blue - wyszeptała. - Żegnaj, Cloudy.

Pacjent po drugiej stronie parawanu jęknął i zaczął coś mamrotać przez sen. Cloudy spojrzał w tę stronę, aby upewnić się, że sąsiad nie podsłuchiwał, o czym rozmawiali. Kiedy ponownie się odwrócił, dziewczyny w lustrzankach już nie było.

Sonja Blue ziewnęła, przeciągnęła się i strzeliła kłykciami, przytrzymując kierownicę kolanami, podczas gdy Batmobil pruł na pełnym gazie po pustej o tej porze autostradzie.

Spojrzała w lusterko wsteczne i przez chwilę patrzyła na niknące w oddali światła wielkiego miasta. Dokąd teraz? Słyszała pogłoski o zborze wampirów w Detroit; z Bostonu również doszły ją dziwne i nader interesujące wieści. Na dalekim południu plaga wampirów już od dawna pieniała się w najlepsze i przydałoby się położyć temu kres. A mówią, że od przybytku głowa nie boli. Sonję od nadmiaru alternatyw stale dręczyły uciążliwe migreny. Co miała począć w tej sytuacji? Dokąd powinna się udać? Cóż, najlepiej będzie, jeśli zadecyduje o tym w tradycyjny sposób.

Wyjęła z kieszeni na piersi nóż sprężynowy i wdusiła sztyft. Nie odrywając wzroku od autostrady, rzuciła nożem w leżący obok niej na siedzeniu atlas samochodowy. Spojrzała, co wypadło i cicho mruknęła. No cóż, wyglądało na to, że zmierzała na północ.

Wcisnęła klawisz wyjmowania taśmy w magnetofonie Batmobilu i wyjąwszy kasetę z industrialnym rapem, wyrzuciła ją przez otwarte okno. Następnie sięgnęła do kieszonki na

piersi, wyjęła z niej kasetę i zwinnie wsunęła do pustego otworu magnetofonu. Z wielkich jak walizki głośników Batmobilu popłynęły pierwsze, zniekształcone, wrzaskliwe dźwięki *Wariatek z rzeźnickimi nożami* Diamandy Galas.

- No, taką muzykę to ja rozumiem - rzekła półgłosem, uśmiechając się od ucha do ucha.

## **SŁOWNIK WYBRANYCH POJĘĆ ZE ŚWIATA WAMPIRÓW**

**AKCELERACJA** - stan nadaktywności, który mogą osiągać wampiry, aby unikać wykrycia i poruszać się z prędkością nie do uchwycenia dla ludzkich oczu. Jest fizycznie wyczerpujący i nie wszystkie wampiry posiadają tę umiejętność. Znany również pod nazwą „Szybkości” i „Widmowego Kroku”.

**ANARCHISTA** - młody, zbuntowany Spokrewniony, nie szanujący swoich Starszych. Odpowiednik wśród wampirów punka lub młodego gniewnego.

**CAITIFF** - wampir nie przynależący do żadnego klanu i nie mający Potomków.

**CAMARILLA** - ogólnoświatowa sekta wampirów, sprawująca nieoficjalnie władzę nad Spokrewnionymi.

**DZIECKO** - określenie młodego, niedoświadczonego lub głupiego wampira.

**ENKLAWA** - grupa wampirów nie związanych przez Linie Krwi, ale podległych jednemu przywódcy.

**DŻIHAD** - konflikt lub wojna pomiędzy rywalizującymi wampirami.

**KLAN** - grupa wampirów o wspólnych cechach ducha i ciała. Wyróżniamy następujące klany - Brujah (buntowników), Gangrel (zmiennokształtych), Malkavian (szaleńców), Nosferatu (odrażających), Toreador (artystów), Tremere (czarowników) i Ventrue (rządzących).

**KREW** - dziedzictwo wampira; to, co czyni go wampirem.



**KSIĄŻĘ** - wampir, który rości sobie prawo bycia władcą jakiegoś terenu, np. miasta.

**NIEUMARŁY** - inne określenie wampira.

**NIEWOLNIK** - wampir będący pod wpływem Przysięgi Krwi, a tym samym znajdujący się w mocy i pod ochroną innego, potężniejszego wampira.

**NOWICJUSZ** - inaczej Dziecko.

**OJCIEC** - rodzic, stwórca wampira. Rodzaj żeński - Matka.

**OSZUŚCI** - mityczne istoty, członkowie legendarnych ras cieni, żyjący wśród ludzi i „udający” śmiertelników. Zalicza się do nich wampiry, wilkołaki, serafinów i ogry.

**POTOMSTWO** - grupa potomków zgromadzonych wokół jednego Ojca.

**PROGENITURA** - ogólna nazwa wszystkich wampirów stworzonych przez jednego Ojca.

**PRZEISTOCZENIE** - akt przemiany śmiertelnika w wampira.

**PRZYSIĘGA KRWI** - najsilniejsza więź uczuciowa, jaka istnieje między wampirami; przyjęcie krwi w poddańczym hołdzie. Daje duchową więź i władzę nad tym, kto ją złożył.

**SABAT** - sekta złych, nieludzkich wampirów, rywalizuje z Camarillą.

**SŁUGA** - wampir, który służy lub podąża za silniejszym Spokrewnionym.

**SPOKREWNIENI** - określenie używane przez wampiry w stosunku do siebie samych.

**STARSZY** - wampir, który ma trzysta lub więcej lat.

**ŚWITA** - śmiertelni słudzy wampirów, np. Cyganie.

**UŁOMNY** - wampir, który z własnej woli lub wskutek uzależnienia karmi się krwią alkoholików i/lub narkomanów.

**ŻÓŁTODZIÓB** - młody, niedawno stworzony wampir. Patrz: Nowicjusz lub Dziecko.